



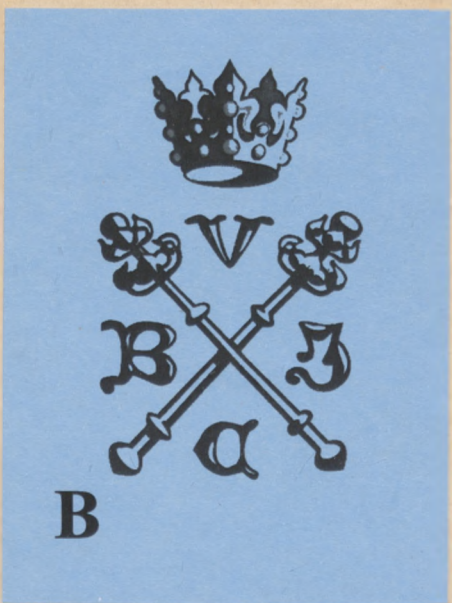
BIBLIOTHECA  
UNIV. JAGELL.  
GRACOVENSIS

**B** 85661

**II**

1  
136

1801



① 25

5

2



HELENA MNISZEK

# PUSTELNIK

POWIEŚĆ

Książka  
po dezynfekcji



Biblioteka Jagiellońska



1000352535

Towarzystwo  
Rozwoju Ziemi Wschodniej  
Warszawa, Żytna 5 m. 4  
Telefon 510 10 10

WIELKOPOLSKA KSIĘGARNIA NAKŁADOWA  
KAROLA RZEPECKIEGO W POZNAŃU

1919

0X58 - 48360

ZARZĄD GŁÓWNY  
TOW. ROZW. ZIEM. WSCH.  
SEKCJA BIBLIOTECZNA

17175

BIBLIOTEKA  
UNIV. JAGIELL.  
KRAKÓW  
CRACOVENSIS

B 85661

II ZN

Bibl. Jagiell.  
1993 W 736/46

*Kaj usochan*  
*120*  
*WANDY WAITKNEC*  
*pechy nej*  
*Im f m m*

EDWARDOWI SŁOŃSKIEMU

POŚWIĘCAM

*na*  
*pramie*  
*W. S.*

*W. S. 12. VI*





## I.

Zdenerwowanie księżny Bożenney dosięgło szczytu. Zerwała się z kanapki i krokiem gwałtownym, lecz nie bez wdzięku przebiegła przestrzeń, dzielącą ją od lustra. Szeleścił i otulał miękko jej postać szlafrok ze złoto miedzianej, jedwabnej materji. Fantazyjne draperje, spięte węzłem poniżej kolan, opływały ją jakby strugą płynnego złota. Ciemne, rdzawo połyskujące włosy kipiały z jej głowy falistą kaskadą na plecy, u skroni przytrzymane złotą przepaską. Szyję obnażoną głęboko, owijał dwukrotnie i spadał na piersi gruby sznur cennych pereł. Stopy w złotym atlasie ślizgały się szybko po puszystym dywanie buduaru. Siadła z rozmachem na taburecie, przegięła się w tył i ramiona, z których spadły szerokie rękawy złotej tkaniny, założyła sobie za głowę ruchem desperackim.

— Aach!... — jęknęła z widocznem znudzeniem.

Długo siedziała tak z zamkniętymi powiekami, drżąciami czarną rzęsą, naprzeciw luster, kryształów, srebrnych i złotych wykwintnych cacek, flakonów, puzderek, drobiazgów. Jej twarz ściągnęła, perłowa w tonie, okraszona lekkim przebłyskiem rumieńca, jakby zastygła, tylko pulsa

na smukłej szyi tętniły widocznie i pierś wysoka falowała oddechem. Po długiej chwili delikatne powieki księżny Bożenny drgnęły i uniosły się powoli; z pod rzęs czarnych błysnęły źrenice takim przepysznyim szafirem, jakiem bywa niekiedy niebo włoskie lub toń morską Adryjatyku w najcudniejszą pogodę. Temi szparkami przeblyskującymi szafirem, poprzez las czarnych, złotawych rzęs, patrzała księżna uparcie na odbicie swej twarzy w lustrze. Przez krótki moment zajaśniał na jej wargach uśmiech rozkoszny, jakby zadowolenie z własnej urody. Lecz trwało to chwilę, ironja wygnała zachwyt, usta skrzywiły się wyraźnie i niechętnie.

— Ach, co mi z tego?!...

Zapukano do drzwi i jednocześnie wszedł do buduaru średniego wzrostu mężczyzna. Rasa szła przed nim i za nim, otaczała go w koło, była w jego pańskiej postawie, w rysach wykwinicie delikatnych, w ubraniu codziennem a wytwornem, wyzierała z jego ruchów, kładła się na wązkich, białych, prawie kobiecych rękach, widać było nawet w sposobie noszenia krawata i dewizki.

Księżna drgnęła; szybkim półobrotem twarzy, w stronę wchodzącego spojrzawszy, skamieniała znowu w swej nieruchomości. On z po za fali jej włosów dojrzał w ślicznym skrócie twarz i zauważył niechęć ruchu. Niezrażony śmiało podszedł, stanął za taburetem, pochylił się i ogarniając ją ramionami, dotknął delikatnem muśnięciem palców jej obnażonych wyżej łokcia, rzeźbionych rąk.

Otworzyła oczy, była gniewna.

— Książę sobie życzy?...

— Ciebie...

— Och!!!

— Znowu jakaś chimera?...

Usunęła go lekko, nie odpowiadając.

— Nie pojmuję cię, Eno — rzekł spokojnie, trochę urażony i siadł opodal na foteliku kapiącym rzeźbą, adamaszkim, złoceniami i stylem.

— To rzecz zwykła — odparła.

— I czego właściwie kaprysisz, jesteś tak piękną.

— I to już słyszałam milion razy.

— Trudno, nawet dla różnaitości nie mogę powiedzieć, żeś brzydka. Żyjemy z sobą pięć lat i co raz nowe odkrywam w tobie ponęty. Sam się zdumiewam nad siłą twego uroku, którym tak mię trzymasz.

— Kryst! przestań.

— Ależ owszem! Więc pomówmy o czym?... Niema tematu, któryby cię nie nudził; wyczerpały się wszystkie. Są kobiety, które nie lubią polityki, ale za to salonowe ploteczki uprawiają z zamiłowaniem. Inne nie chcą literatury, wolą mody, inne sport, inne znów romansują; lubią nastroje i wytwarzają je mniej lub więcej udatnie, ale rzadko zabawnie. Filozofki znowu inny rodzaj. Taka pani będzie cię karmiła rano Nietzscheizmem, na obiad poda ci Hegła, podleje go suto sosem metafizyczno-sofizmatycznym, na wieczór znów Peryklesy, Sokratesy, Platony... A, a, a! aż do znudzenia. Czujesz się biednym, małym jak polna mysz. Taka sawantka patrzy naturalnie na mężczyzn z góry, jak na istoty upośledzone i zupełnie do istnienia jej zbyteczne. Najwyżej jaki tęgi, przystojny ~~ale~~ byle zdrowy okaz samca, zwróci jej uwagę, wówczas go śledzi z pod zmrużonych powiek i szeptem: *voila mon type!*... Jak naprzykład Eustachoweczka. Ty Eno przy-

war takich nie posiadasz, ale znowu masz inną wadę — nic cię nie bawi. —

— Powiedz raczej, wszystko mię nudzi, dręczy.

Książę Krystyn spowaźniał.

— To bardzo smutne Eno, trzeba się wyleczyć, to chorobliwe. Trzeba się rozerwać... wyjechać.

— Ach komunał, daj pokój! wiesz, że mi i to obrzydło.

Powstała szybko, chciała biedz gdzieś w nieokreślonym kierunku, lecz on ją zatrzymał za rękę, ciągnął ją ku sobie.

— Ena... moja...

— Puść mię, puść!...

— Nie!

Przemocą posadził ją sobie na kolanach i ogarnawszy ją ramionami tulił do piersi jej głowę płonąca, pomimo, że się szarpała i chciała wyrwać z uścisku.

— Krystyn, ja tego niechcę, puść! Ach, te wieczne czułości!

— Nie lubisz?... Szczególna ty jesteś, doprawdy! Masz temperament szalony, ale trzymasz go jakby na munsztuku. Często doznaję wrażenia, że zwalczasz go umyślnie, z pasją, żeby sobie i mnie dokuczyć. Wzdra gasz się od moich pieścot... czy i to cię już nudzi?...

— Nudzi, męczy, wstrętem przejmuję!... Niechcę, niechcę!...

Wyszarpnęła się gwałtownie z ramion męża. Stała znowu przed lustrem i jęła czesać swe ciemno-rdzawe włosy. Książę wstał również, zapalił cygaro : pykając dymem, z założonemi w tył ramionami chodził wzdłuż pokoju. Cedził wolno słowa.

— Ha!... wobec tak silnych argumentów nic mi więcej nie pozostaje, jak... nie narzucać się... księżnej pani. Niewiem czego ci brak. Nie pojmuję, co wpływa tak ujemnie na twe usposobienie. Masz i możesz mieć wszystko, czego zapragniesz, co nawet wyczarujesz w marzeniu.

— O la la!... nie zapędzaj się, Kryst, tak daleko.

— Wiesz przecie, że na twe skinienie czeka falanga ludzi, którym tylko rozkazuj, że ja wreszcie zrobię dla ciebie bardzo dużo... co zechcesz.

— Trzymając się zasady: nic darmo. Ha... ha!... łatwa maksyma!

Książę ochłódl, lecz mówił dalej.

— No, a środków nam chyba nie zabraknie... Mój majątek, nie licząc nawet twojej fortuny, masz u nóg.

— Tego, zaczem ja tęsknię, ty mi dać nie możesz, twoje miliony również.

Książę zatrzymał się.

— A...! zaintrygowałaś mię! Ja nie mogę obsypać cię tem, czego zapragniesz? Jaktó?... czym za biedny... czy nie jestem w stanie? Zdaje mi się, że egzalterujesz! Chociaż może być... tak może być istotnie. Nawet nie jednej, dwóch rzeczy dać ci nie mogę: korony królewskiej i kochanka. To już nie leży w zakresie mej władzy. Berła odemnie nie otrzymasz, kochanka również. Ale możesz go sobie sama zdobyć, o, bardzo łatwo!

— Czy dajesz mi na to carte blanche?...

— Nie! powtarzam, że jedynie do takich żądań ręki nie przyłożę.

Uklonił się sztywno i wyszedł z pokoju.

Księżna zaśmiała się suchym, ironicznym chichotem, zdawało jej się, że to śmiech nie jej własny, że demon jakiś będący w niej śmieje się jej głosem. Po szyderstwie spadło na nią gwałtowne opamiętanie, aż boleśnie dotknęła ją świadomość, że jest niesprawiedliwą względem męża i swego losu. Jest wszakże niezwykle obdarowaną, może się nazwać dzieckiem szczęścia, a jednak... jednak...

Popadła w tęskną jakąś zadumę.

...Ależ tak, wszystko mam czego tylko zapragnę, w czym lubię się nurzać — myślała tępo, bez wglębenia w swoją istotną, duchową psychikę. Jak w zwierciadle widziała cały przepych, całą wszechwładność swego bytu; tytuł, nazwisko starożytne i znane w kraju, męża, który był no, nie w jej wymarzonej typie, ale który kochał ją po swojemu, miała urodę, młodość, zdrowie, wdzięk, miała zdolności, inteligencję, wielmożność jej sięgała niezwykle szerokich zakresów, oparta na fundamencie potężnym, jakim była olbrzymia fortuna mężowska i jej własna. Miljony otwierały przed nią cały świat, pozwalały jej czerpać z życia wszystko piękno i to co ludzie szczęściem zwa. Nic nie było dla niej niemożliwego, nic trudnego do spełnienia. Zależała tylko od swej woli i swego kaprysu. Otaczał ją zewsząd przepych, zbytek, wykwin, arcydzieła sztuki, najwspanialsze kwiaty, najdrogocenniejsze rzeczy.

...Więc czegoż ja jeszcze pragnę?... Jestem wprawdzie milionerką, mil...-jo...-ner...-ką, mogę się tarzać w złocie jak Ali Baba. Czegoż ja chcę, czego, czego?

W przystępie gwałtownego szału wybiegła do drugiego pokoju obok buduaru, szarpnęła drzwi od szafy wbitej w ścianę i jęła wyrzucać na dywan pudełka, puz-

dra, szkatułki większe i mniejsze, z safianu, skóry, aksamitu. Niektóre padając otwierały się, inne szczelniej zamknięte przewróciwszy się kilkakrotnie, spoczęły nieruchomo, w jakiejś jakby zdumionej martwocie, jak ludzie, których z dobrobytu i wygody wyrzucono nagle na bruk. Ta niema, lecz w plastyce swej wyrażona fizjonomja pudder, chowających w sobie bezcenne klejnoty, niemile dotknęła księżnę. Dywan zajaśniał blaskiem drogich kamieni; tu i owdzie z pootwieranych pudder spływały z aksamitu brylanty, rubiny jak krwawe słońce, szmaragdy. Jedno wielkie pudło czworokątne z żółtej wężowej skóry, ciśnięte z pasją, osiadło na miejscu, ale sprężyna puściła, pudło rozsunęło paszczę, ukazując wewnątrz dwa sznury wielkich pereł, które zalśniły jak zęby rozwścieczonego potworka, pudro to miało fizjonomję złą, szyderczą, gotową do zemsty. — Księżna wyrzuciwszy całą zawartość szafki, z tąż samą furją pootwierała wszystkie pudełka, wytrząsając klejnoty wprost na dywan. Robiła to z niewydowionym szyderczym śmiechem, z wyrazem twarzy takim, jakby wyrzucała robactwo. Gdy już dywan zasłany był klejnotami, wielka pani wyprostowała się, dłonie splecione założyła za tył głowy i zaczęła się śmiać cicho, zjadliwie, z bezgraniczną drwiną w głosie, szepcząc przez zaciśnięte zęby.

— To wszystko moje, mój Sezam, to zaledwo drobna cząstka tego, co posiadam. Ha, ha! no dalej! tarzaj się w tem, pław się w blasku brylantów, okraszaj się rubinami, owijaj w perły, nurzaj się w tych cennych kamuszkach, strój się w ich tęczę. Dalej-że, dalej, ha ha! — To wszystko twoje, czyż tylko to? Szczęśliwa jesteś, bogata jak Nabab, jak Krezus. Czyż tylko to?... Czyż tylko?...

Zakręciła się na miejscu, pchnęła drzwi sąsiedniej ubieralni, otwierała szafy, kufry, komody, po kolei wydzieriała z nich stroje świetne, oryginalne kimona japońskie, negligé, koszule z bezcennych koronek, futra, pióra. Całe naręcze ciskała na dywan obok klejnotów. Piętrzyły się przepiękne koronki, złote i srebrne lamy, cenne materje lite złotem, hafty, jedwabie chińskie, tureckie adamaszki. Cały świat bajecznych tkanin na wagę złota cenionych, tęcza barw, wykwint najwybredniejszego gustu, przepych. I znowu kobieta stanęła nad tym nowym sezamem, leżącym bezładnie u jej stóp.

— Ha, ha! i to moje, a jakże! Królewska garderoba, królewski zbytek! Niejedna królowa w Europie pozazdrościłaby mi tych cudów. Jak w bajce ha, ha! jak w bajce! Jakże jestem szczęśliwa, posiadając to wszystko! A czyż tylko to? Och, och, za bogata jestem! Gdyby tak wszystkie moje miljony rozsypać na ten dywan, góra, góra złota, sufit by podparła, ściany rozepchała, a wtedy deptać po tem, och deptać, wiażdżyć gniewić, szarpać, rwać ten przepych, ten cud, to moje, moje szczęście ha, ha, ha!

Śmiała się przez łzy, śmiechem rozdzierającym niemal. I znowu syk przez zęby sączony.

— Po co mi to! Ach rozdać, wyrzucić, zmieszać z błotem, to szczęście moje, to szczęście. Och! Och!...

Załamala ręce nad głową.

Już chciała deptać rozrzucone stroje i klejnoty, gdy w tem usłyszała za drzwiami szybkie drobne kroki, szamotanie się, szept gwałtowny i krzykliwy głos dziecka.

— Mamuś! Mamuś! Do mamusi...

Jednocześnie drzwi się otworzyły z impetem i do pokoju wpadł jak kula, chłopaczek trzyletni; śliczny jak



cherubin. Czarne, rdzawe loki spływały mu w puklach aż na ramionka, z pod równo przyciętej grzywki na czole gniewnie błyszcząły oczy matki, wielkie, szafirowe, ocienione czarną rzęsą, z łukami czarnych, lśniących brwi nad powiekami. Czerwone usteczka ułożyły się do płaczu, tworząc podkówkę; bródka trzęsa się, źrenice nabierały łzami. Dzieciak podbiegł do matki i rzucił się twarzą do w fałdy złotego szlafroka, wybuchając głośnym szlochem.

— Co się stało?

— Proszę księżnej pani, nie mogłam go niczem zabawić, do mamy i do mamy, wyrwał mi się i przybiegł tu, — tłumaczyła bona zakłopotana, ze zdumieniem patrząc na dywan zarzucony cennościami. Strwożone oczy podniosła na księżną. Magnatka zauważyła jej zdumienie.

— Proszę mi dziecko zostawić, gdy będę potrzebowała, zawołam.

Bona wyszła.

Księżna przysiadła przed malcem, który przestał płakać, tupał tylko nóżką i wrzeszczał na całe gardło:

— Do mamy! do mamy!

— Kryś cicho, nie płacz, jesteś u mamy, patrz, widzisz jakie tu cacy — mówiła księżna pieszczotliwie, gładząc śliczną główkę syna i pokazując mu klejnoty.

Książątko spojrzalo przez łyzy, twarzą rozjaśniła się radosnym uśmiechem, klasnął w rączki i usiadł pomiędzy klejnotami, chwytając je w małe garsteczki. Księżna położyła mu na kolanach kolje z rubinów. Wielki djadem brylantowy włożyła mu na główkę. Dziecko z podniesionymi rączkami jęło wołać:

— Kyś cacy, Kyś cacy!...

Księżna bawiła się wybornie. Djadem wypadł z wą-  
 tłych rączek, stuknął na dywanie. Kobieta mimowoli  
 drgnęła.

— Rozbije się, szkoda! Ach mniejsza o to!

— Masz Krych nowe cacko — rzekła podając kilka  
 sznurów różowych pereł, jakimi szczyć się mógł skar-  
 biec szacha perskiego, posiadający sławne klejnoty.

Książątko nie mogło się nacieszyć, cisnąc kolje do  
 piersi, biegło do drzwi.

— Bońci, bońci pokazię ciaci.

Księżna nie zatrzymała malca. Słyszała tupot małych  
 nóżek przez długi szereg pokojów i wołanie dziecka. Gdy  
 zapanowała cisza, kobieta zachmurzyła się, łowiąc jakby  
 w niewód mnóstwo rozpiezchłych myśli; tłoczyły się do  
 mózgu natrętnie, jedne ginęły inne napływały, chaos  
 bezład. Jedna zatrzymała się dłużej i zaniepokoiła.

— Marnotrawnica jestem! Za te sponiewierane klej-  
 noty mnóstwo ludzi biednych miałyby dobrobyt, szeregi  
 nędzarzy przestałyby być nędzarami, ile łez otartych, ile  
 jęków w radośny uśmiech zamienionych, ile niedoli ustę-  
 pującej miejsca szczęścia... A tu... walają się jak śmiecie  
 takie skarby...

Przez niedomknięte drzwi ujrzała idącego lokaja.  
 Zastukał i wszedł, niosąc w ręku kolję z pereł.

— Proszę jaśnie oświeconej księżnej pani, odebrałem  
 to z rączek małego księcia, niewiem skąd wziął, czy...

Spojrzał na rozrzucone klejnoty, na stroje, ciśnięte  
 bezładnie i unilkł, patrząc tylko wystraszoną wzrokiem  
 na dywan i na księżną siedzącą wśród skarbów.

— Dlaczego zabrałeś to dziecku?...

— Bo... myślałem...

— Trzeba było zostawić.

— Mały książę wybiegł na balkon i zobaczył księcia pana jadącego konno, wołał na konia i machał kolją, byłby upuścił na ziemię pod kopyta, więc wyjąłem z rączek, nawet nie gniewał się, zajęty był koniem.

— Nie mów mały książę, tylko Kryś, dzieci tak małych nie tytułuje się.

— Czy książę pojechał?...

— Tak jest, proszę jaśnie oświeconej.

— Każ mi siodłać konia, albo nie, poczekaj, wołaj panny Anastazji.

— Gdy panna służąca weszła, księżna nie patrząc na nią wydawała polecenia.

— Pochowaj to wszystko do szaf, klejnoty do pudełek i do szafki, klucz oddasz mi potem, teraz podaj amazonkę, którąkolwiek, prędko!

— W dziesięć minut potem księżna opięta jak posąg w ciemne sukno, stanęła przed stajniami, lustrując przeprowadzane przez masztalerzy wierzchłowce. Konie jakby rozumiały, że to popis, rewja przed komendantem. — Szły z gracją, z fantazją, niekiedy majestatycznie z pompą wielkopańską, to znowu z lekką kokieterją i wdziękiem tanecznym przechodząc obok swej pani, więksi faworyci wyciągali szyje rżąc cicho i węsząc chrzapami. Księżna klepała po karku lub dała klapsa w nozdrza, z uśmiechem, czasem niecierpliwie. Szereg koni następował nieskończenie.

— Osiodłać mi Machmuda!

Masztalerz zląkł się.

— Jaśnie oświecona księżno, niebezpiecznie to... wścickły ogier.

— Proszę spełnić rozkaz.

Masztalerz ściał zęby i odszedł.

Szalony arab rzucił się w szczupakach, gdy księżna zbliżyła się do siodła.

Dwuch masztalerzy trzymało go przy pysku, koniuszy, który nadszedł podał księżnie dłoń drżącą z obawy, inny dygnitarz stajenny czuwał z drugiej strony siodła. Księżna jednym susem znalazła się w kulbace, zgarnawszy wodze, rzekła sucho:

— Dziękuję, proszę odstąpić.

Koń oswobodzony skoczył gwałtownie, zaczął cofać się w tył, przysiadać, munsztuk trzymał go silnie. Kierowany ręką śmiałej amazonki, podcięty energicznie pejczem rzucił się naprzód i znowu tańczył, wspinał się, ciskał głową, kopytami walił z góry, aż huczał bruk i skry szły z kamieni. Koniuszy dosiadł drugiego wierzchowca, chcąc pani bez opieki nie puścić. Lecz ona krzyknęła zdyszana:

— Proszę zostać! pojedę sama...

— Ależ... księżna pani...

— Pojadę sama! Otworzyć bramę.

Jeszcze kilka susów nieprawdopodobnych, Machmud wspiął się w górę, dał młyńca, szarpnął się, prychnął i ostrym kurc-galopem runął za bramę. Księżna swobodnie puściła wodze; koń odczuwszy wolność pognał zdwojonym pędem, rwał naprzód niby huragan pochłaniając drogę przed sobą.

Księżna upajała się szalonym pędem, od czasu do czasu szarpnęła munsztukiem pobudzając Machmuda, bieg jego stawał się nieledwie nadpowietrznym, leciał z szybkością strzały, mijał drzewa przydrożne, które uciekały

szybko w pierwszej mgle majowej zieleni. Droga ocieniona gęsto drzewami, biegła równą linią jasną, w świetliste słoneczne plamy, wskroś pól, falujących pierwszą zielenią, o jedwabnym połysku i chrzęście. W cichem powietrzu była słodycz miodowa, nasiąkła zapachami i jakiś spokój bezmierny, który napawał jednocześnie rzeźwością i energią.

Księżna Bożenna uspokoiła się znacznie, przemożna siła natury ukoili jej stargane nerwy, fala gorącej krwi napływała do żył, ocuciła młodą, życiową wenę.

Wierzchowiec z amazonką wyglądali jak duża torpeda, mknąca z chyżością pocisku przez przeczyste fale rozslonecznionego powietrza. Wiatr majowy świstał koło uszu księżny, rozwiewał jej włosy nad czołem. Ona zaś wchłaniała w piersi pełnym haustem ten szampan eteryczny, płynący szerokim prądem. Myśli księżny rozpierchły się, cała jej istota żyła tylko słońcem, majem i tą jazdą szaloną. Z drogi wysadzonej drzewami wpadli na groblę wśród olch. Było tu grzązko, woda chlupała pod kopytami konia, który zwolnił biegu, wpadając w lekkiego klusa. Machmud rozgrzał się i nabrał werwy, jakby podniecił go również zapach łąk. Parskał głośno i gryzł wędzidło; wypadały mu z pyska duże kłapcie białej piany, wygięta, piękna szyja była zlana jakby wodą, lśniła w słońcu przepysznią barwą hebanu. Koń kołysał księżnę na swym grzbiecie, sam niby na sprężynach huśtał się na prętach gęsto nałożonej faszyny, na błotnej grobelce. Zapach bagna i wodnych porostów zawiercił w nozdrzach mocno, jak tabaka.

Ciepłej tu jeszcze niż wśród drzew, gdyż słońce biło w wodę prawie prostopadle, zalewając gorącym złotem

całą przestrzeń. Bagniska te i przyboczne łąki księżni lubiła, były one bowiem jakby ilustracją wiosny, jej uosobieniem. Nad niezmierną bujnością traw i kwiecica unosiła się istna chmura motyli, obłoki komarów, muszek i pojedyncze, ostre strzały śmigających ukośnie jaskółek. Roztocz pastelowa i barwna, wonna, bujna i ruchliwa.

Odzywały się w bagienkach solowe głosy żab, kunkami nazywanych i na dane hasło powstawały rozhowory głośne, lecz rytmiczne urozmaicone często wrzawą głosów kłótliwych lub znowu pojedynczym kunkaniem. Była to muzyka wyłączna, monotonna i bezbarwna, jednak w swej prostocie piękna. Księżna zasluchiwała się trochę i rozmarzyła. Grobelka tymczasem i łąki zostały w tyle, dokoła rozległ się szum znamienny potężnych sosen, prostych jak maszty o korze miedzianej, o koronach bujnych, sięgających nienal obłoków. Machmud kłusował po czarnej, korzeniastej drodze wśród lasu <sup>nie był zarządcą</sup> rzadkiego jeszcze, gdyż olbrzymie sosny stały tu jakby pikieta, liczna, lecz rzadka przed zwartą armją boru. Po kwadransie kłusowania wśród tych filarów leśnego przedsiönka, wierzchowiec wpadł prawie nagle w ciemną nawę lasu. Chłodniej tu i mroźniej, lecz poważnie jak w świątyni. Słońce przesiewane przez gęste sito igliwia, rzucało miljardy iskier złotych w głębiny leśne, różowiąc przepysznie gładkie pnie, iskrząc się na świeżych piórach paproci. Bór milczał głucho, zdawał się być zaklętym, żadna gałązka nie drgnęła, żaden szmer nie płoszył uroczystej ciszy jakby rytualnej. Księżnę przeraził ten las surowy a potężny, dreszcz nią wstrząsnął zimny, uderzyła konia pejcem; Machmud popędził cwałem. Droga dość szeroka, chociaż pełna sęków i korzeni wila się kręto, pośród nieboty-

cznych korytarzy sosen i jodeł, których baldachimy zwisały nad drogą jak olbrzymie sztandary. Niekiedy Machmud wchodził w istne tunele gąszczów; księżna wówczas odchyłała gałęzie, napawając się ich odurzającym aromatem. W jednym takim tunelu, zatopionym w igliwia i wachlarzach jodeł, zatrzęsionym niskim podszyciem leszczyn Machmud flagle prychnął i skoczył w bok przerażony. Z pod grubego puia jodły odpowiedziało mu pukanie, rechtanie i łomot racic. Księżna ujrzała przez sekundę ogromny, najeżony łeb dzika z błyszczącymi gniewnie oczkami; białe kły zaśniły przy wydatnym zjadliwym ryju i czarno-ruda masa przewaliła się ciężko z tupotem i pukaniem w czarną otchłań podszycia, tylko swąd specyficzny dziczyzny podrażnił powonienie. Machmud parsknął niecierpliwie, wyrzucając delikatnymi nozdrzami ordynarną woń. Spotkanie z potężnym parwenjuszem leśnym zdenerwowało go; drżał szlachetną skórą i nie szedł już stępą, lecz klusował ostro wpadając w galop, pomimo gąszczu i wązkich krętych przesmyków. Księżna leżała prawie na szyi konia, chroniąc się od zaczepiających ją gałęzi, tętent głośny leciał po lesie, budząc milczące knieje. Rozhukany koń, z rozwianą amazonką przyklepioną doń prawie, gnali tak z pół godziny, aż wypadli z boru na nie dużą polanę leśną, otoczoną niby murem, czarną potęgą sosen i omszałych, sędziwych jodeł. W środku pustej przestrzeni stała prosta chata, kryta słomą, z czerwonym kominem i bocianiem gniazdem na węgle dachu. W oddali widać było niedużą szopę, kilkanaście sągów drzewa wykarczowanego i ułożonego pracowicie. Pomiędzy borem, z którego przycwałował Machmud a chałupą, pędził po korzeniach wartki strumień,

miejscami spieniony, to znów gładki jak sztaba żelaza. Woda była w nim koloru czarnej kawy, żywicą i smołą nasiąkła, a chłodna i nadzwyczaj bystra. Nieco wyżej, na wzgórku stała studnia z żurawiem, opodal paś się na łące koń, spętany za przednie nogi. Skakał dziwacznie i ociężale, rozwiewając przy tem grzywę olbrzymią i zamaszysty ogon.

Machmud zwietrzył sadybę ludzką i ujrzał skaczącego krewniaka, a chociaż odrazu poznał, że to prostak, jednak obyczajem koni kulturalnych zarzął gościnnie, akcentując zarazem wyższość swego rodu. Rżał z temperamentem, lecz dystyngowanie, raczej konchami nozdry niż głosem. Porozumienie trwało krótko, gdyż spętany prostak niechciał się zaznajamiać z arystokratą z pałacowych stajni; majdnął łbem kilka razy brutalnie i odskoczywszy na przyzwoitą odległość, zanurzył głowę w kożuchu soczystej trawy.

Rzenie Machmuda zbudziło osadę. Z chaty wyszedł na próg człowiek już stary, ale młodzieńczy w ruchach, średniego wzrostu, suchy, z głową bardzo niezwykłą w typie. Twarz o rysach wydatnych wyrażała siłę i charakter, oczy szare, stalowe przyćmione cienką powieką, głębokie były bezdennie, spokojne, poważne i tak łagodne jak u dziecka. Nie nosił zarostu, tylko bujne, krzaczaste brwi i przeredzoną lecz jeszcze niezłą czuprynę, lekko szpakowatą. Cała postać pomimo prostego niemal w swej skromności stroju była jednakże niepospolitą i zupełnie otoczeniu nie odpowiadającą. Ręka, którą przykrył powieki od blasku słońca, razila trochę przy całości, była również sucha i dość drobna, ale powleczone skórą opaloną i zgrubiałą jak u wyrobnika.



Księżna podjechała wolno, z przyległej szopy gapił się na konia i na nią parobek z siekierą w ręku.

— Dzień dobry, profesorze!

— Witam „jasną z pałacu“, tak nazywa księżnę mój dryblas. Ale gdzież on jest?... Semén, Semén!

Księżna zręcznie zeskoczyła z siodła. Staruszek oddał chłopu zgrzanego Machmuda, przestrzegając miejscową gwarą, aby dobrze pilnował konia.

— On go nie utrzyma, niech go lepiej przywiąże w szopie, rozkielzna i da trochę trawy.

— Że też księżna nie bała się takiego bucefala?... Toż to i ogier! Chyba ponosił, co?... bo zlany jak wodą, księżna także zmęczona.

— Machmud złąkł się dzika, a przytem szalenie prędko jechałam.

— Książę pozwolił na tym koniu samej?...

— Nie, prosiłam go o pozwolenie. Będę u pana dziś na obiedzie. Czy dobrze profesorze? — zajrzała mu figlarnie w twarz.

Stary pan uśmiechnął się.

— Proszę unizenie na kaszę ze słoniną i kwaśne mleko, to moje menu. Trochę nie książęce. Ot... ot...

— Zgoda na kaszę! Jak tu u pana zawsze ładnie, co za powietrze, niczem Tyrol! Lubię Smolarnię!

Młoda kobieta upadła na zielony puch trawy, pod olbrzymim dębem stojącym o kilka kroków od chaty, oparła się na łokciach i z uśmiechem zamyślonym patrzyła na czarny las tonący w powodzi złotego południa. Była to widocznie ulubiona poza księżny, gdyż profesor ani słówkiem nie zaprotestował; usiadł spokojnie na ławce pod ścianą chaty i ręce położył na kolanach. Długą

chwile trwało milczenie. Siwe, dobre oczy pustelnika spoglądały na księżną trochę pobłażliwie a trochę tkliwie; palce rąk niecierpliwiły się na kolanach. Wreszcie pierwszy przemówił niskim głosem.

— Księżna znowu się nudzi... He?...

Żadnej odpowiedzi.

— Może jestem natrętny?...

— Chyba do mnie się to stosuje, przerywam panu samotność i pracę. Ale... proszę mi wybaczyć! Tak na mnie kojąco działa Smolarnia i pańskie towarzystwo, że doznaję tu najmilszych wrażeń w tej pustce. Panu zapewne sprawiam dystrakcję; nie lubi pan ludzi...

— Och, nie lubię, czy może lepiej niechcę ich?... Za dużo ich miałem, zanim doszedłem do przekonania, że się można bez nich obejść. Ale księżna kiedy jest sama, sprawia mi radość.

— Czy to zdawkowy komplement?...

— Nie umiem w ten sposób rozmawiać.

— Dziękuję. Ja wiem, że mnie pan trochę lubi, tylko mego męża nie.

W tej chwili księżna parsknęła szczerym, swobodnym śmiechem.

— Ach, pamiętam, było to zeszłego lata w sierpniu. Cała nasza wakacyjna socjeta dowiedziała się skądś o pustelniku zamieszkałym w Smolarni od miesiąca, no, więc w prośby do mnie, aby ich tu przywieść. Miałam kłopot! wykręcałam się długo, w końcu byłam zmuszoną uledz. Posądzono mnie już nawet, że ukrywam tu kochanka; zakrawa to na romantyczną historję. No i przyjechaliśmy konno, brekami, powozami. Cały parów się zwałił; polanka ta wyglądała jak pole elekcyjne; miny

zaciekawione, oczy rozglądają się bacznie. Ha, ha, ha! — zanosila się od śmiechu.

— A bohatera romansu ani śladu, drapnął! Hipohondryk jeden!

— A tak, a bohater drapnął! Co za intencję pan miał szczególną. żeby się tak schować. Jasnowidzący!?!...

— I... bez tego się obyło. Prostu ot... ot... siedziałem sobie na brzegu lasu, ot tam, za sągami i delektowałem się jakimś robaczkiem, aż tu patrzę, najazd! Żaden goniony przezemnie turkuć podjadek nie zmyka tak do nory, jakom ja zmykał do mego wykrotu pod zwaloną jodłą.

— A szukali profesora długo w lesie, w szopie, pomiędzy sągami, ach, jak się śmiałam z radości, że pana nie zobaczą. Umyślnie tak się zachowywałam, żeby intrygować. Kilka osób było przekonanych, że to spisek, że ukrywam tu kogoś i ostrzegłam go. Szczególnie Eustachowa drżała z ciekawości, wietrząc romans.

— Ona wszakże swego strzelca nie ukrywa, wolno-myślna niewiasta — przerwał profesor półgłosem.

— Właśnie! W końcu mąż mój zdenerwował się; otworzył drzwi chaty, wprowadził wszystkich do środka i oglądali sobie romantyczne milieu; lupy, lupki, mikroskopy, tabliczki z zasuszanymi robakami, zioła, księgi, zeszyty, zielniki, spartańskie łóżko, garderobę, ha, ha, ha! Zdaje się, że garderoba najplastyczniej ich przekonała.

— Kochanek księżny Bożenny w powypychanych na kołanach spodniach i z powycieranymi łokciami. Awantura! — uśmiechnął się profesor.

Księżna pokładała się ze śmiechu.

— No i za mały jakiś, za szczupły, cóż to za kochanek?! — Niech się profesor nie krzywi, stwierdzam tylko to, co zauważyłam, zresztą znam tych gogusiów i gogusiowe. Uśmiechały się dyskretnie niby zażenowane, ale oglądały każdy szczegół mniej lub więcej cenzuralny.

— Wiem, wiem, nawet moje notatki w kieszeniach przewracali.

— Ach, cóż pan chce?! szukali przecie jakiegoś billet doux, jakiś liścik, schadzka, czy moja fotografia, a tu nic i nic! Coś tam hrabia X. wyczytał o kręgosłupie jakiegoś potworka leśnego, któraś z dam o odrostku ogonowym u jakiegoś szanownego skorupiaka i koniec! Najmniejszego szczegółlika romantycznego, żadnego śladu zagadki. Rozczarowanie! Eustachowa sarknęła: »to jakiś nudziarz, może kwakier«, ktoś szepnął »czasem i naturaliści iniewają chwile«, ogólnie jednak wszyscy wyszli skwaszeni, nie udała się eskapada, bo naturalista siedział w wykrocie.

Księżna umilkła, wyciągnięta na trawie, niby długa liszka ciemna. Z pod sukna amazonki wysunął się śliczny but, lakierowany jak cacko. — Szybkim ruchem zdarła księżna mały trykorn z głowy i cisnęła go daleko.

— Profesorze! czego się pan boi ludzi, co oni panu zawiniłi? Nie jest pan ani piękną kobietą, której zazdroszczą inne piękne lub mniej piękne niewiasty, nie jest pan miljonerem, któremu także zazdroszczą i utopiliby go w łyżce wody różni ludźkowie, niezależnie od tego schlebiają mu i dbają o znajomość z nim...

— Nawet dopuszczeni do sympatji chcą zostać przyjaciółmi od serca, — sarkastycznie rzucił profesor.

— A tak przyjaźnią się, żeby przy pierwszej okazji wyśmiać się i ogadać. O, znam to doskonale! już nic nie nęci przyjaźni szczególnie z babami; wolę mężczyznę w roli przyjaciela.

— Hm! tylko, że ot, w tym wypadku to się zwykle inaczej kończy i inaczej świat to ochrzcił.

— Imbécile! no ale przyjaciółką pana już mi chyba wolno być, — uśmiechnęła się wdzięcznie.

— Prawdopodobnie, — z komiczną powagą odparł profesor — chociaż moja teoria głosi: nikomu nie ufaj, — tak może i mnie... ot... ot...

— Ee, pan już taki... zrobaczywiały!

— Dziękuję za łaskawy, książęcy żart.

— No, bo profesorunio tak ciągle z temi tam, robaczyskami, że nawet do Jarowa nie chce przyjechać. Oboje z mężem zapraszamy ciągle i nic z tego.

— Za wielki tam przepych, za dużo tam ludzi, istne kasyno, pani moja.

— Otóż to właśnie, manja pustelnicza! Wracam do tematu; dla czego pan ludzi nie lubi?...

Profesor Medard Hruda zasępił się, zaczął palcami wębnić sobie po kolanach, powieki zasunął całkiem na oczy i długo milczał, wreszcie rzekł, jakby się tłumacząc.

— Nie tyle nie lubię, ile się ich obawiam i ot, unikam ich sobie, skutecznie dla własnego zdrowia. Siedzę w lesie jak grzyb, pewny tu, że już mnie nikt w żadnym barszczu gotować nie zechce. Do pańskich sosów jako przyprawa, jestem też niezdatny, bo stary, robaczywy, jak księżna mówiła, trułbym ludzi, a toż na co? Każdy i tak prędzej czy później truciznę połknie, na co ja mam być tym aptekarzem? Na świecie czuję się strasznie już sta-

rym i źle mi, a tu ot, jak młodziak jaki, tu to ja sam sobie królem, a poddany tylko Bogu. Rozwielmożniłem się, śmiało miewam myśli; że ta cała natura dla mnie, bór dla mnie rośnie i dla mnie szumi, kwiaty dla mnie pachną, ptaki dla mnie śpiewają, woda w źródle dla mnie tryska, choć ona smolna, ale moja. Czasem to już myślę, że i słońce dla mnie świeci, taki ja magnat! A na świecie tak, cóż, robaczek ja maleńki, pyłek, ale do niczyich butów nie przylgnę, za twardym orzech do zgryzienia. Trudny byłem dla ludzi, a ludzie dla mnie, bo to i niewiadomo co?... w salonie za mały, a w przedpokoju za wielki. Ot tobie ananas! Kłopotliwa figura.

— Wszakże pan nie był salonowcem, tylko pracownikiem dużej miary, uczonym.

— Et, jaki tam uczony!

— Jest pan w swej dziedzinie sławą.

— Księżna pani bardzo łaskawa. Ludzie mnie nazywali warjatem, maniakiem, idjotą starym. Jak się to często słyszy dokoła siebie i wyczytuje się to z ludzkich min, to ot człowiek sam w sobie zwątpi, sam się stuka w rozum, czy aby nie wyparował. Ludzie wszyscy tacy wielcy, tacy mądrzy, tak szybko z miernoty wyrastają w genjuszów, że choć ty się marny prochu w mysią dziurę chowaj razem ze swymi robakami i skryptami. I ot, głupiałem wśród ludzi. Prawdy mówić im nie wolno, a słuchać bredni ludzkich znowu ja nie mogłem. Awantura! Jak się komu podobało kłamać, albo delikatniej blagować, toż trzeba było słuchać z miną skupioną, zachwyconą albo pokorną, zależnie od wysokości i jakości podmurówki owego kłamcy.

— Jakto, podmurówki?

— A ot, bo różne bywają; jeden ma leb pusty jak wydrażona dynia, ale stoi na złotej podmurówce i ot, już wielki, na co jemu mózg, jak ma złoty postument. He?!... Inny rękoma własnej zarozumiałości i brutalności postawi ci sobie piedestał taki wysoki, że go na nim i nie dopatrzysz, a na złote czy inne urojone wyżyny skakać nie każdy ma zdolności, no i nie każdy chce. Eh, pani moja, dużoby gadać!

— Niech pan mówi, lubię słuchać pana.

— Jak starego zrzędy, he?!...

— Och nie, wiem, że pan mówi prawdę, bo to prawdziwe o tych piedestałach. A jeśli kto nie posiada podmurówki takiej, siakiej lub owakiej?

— To wszystkie kozy na niego skaczą. Voyons, dobrze, lecz bywają wyżyny cenniejsze niż złote. Co wtedy? Takie nie są plastyczne, trzeba je dopiero przeczuć i odczuć, potem ocenić. A toż za wiele trudu dla większości ludzi. Co bije w oczy, to łatwiejsze. Intuicja gnieździ się nie w każdym umyśle, a cóż dopiero umiejętność oceny takiej abstrakcyjnej wyżyny. Księżno droga mało żyjesz na świecie, więc nie wiesz, że ludzie nie lubią w niczem zadawać sobie trudu; co łatwiejsze to lepsze, co bogatsze to pewniejsze, co błyszczący to cenniejsze, a szperać, doszukiwać się prawdy he, he, za wiele ambarasu. Zresztą prawda pi, pi, pi! to bardzo niepopularna i niestrawna potrawa; boją się i unikają jej ludziska. Skosztować jej niebezpiecznie, rozsmakować się w niej i bliźnich nią częstować, to już spokój przepadł! Si dis vera loqui, disce flati. Sam cierpisz i komuś sprawiasz wątrobiano żółciowe zaburzenia. Najlepiej prawdę do torby i precz od ludzi! w las! tak, jak ja dawno już zro-

biłem. W kazamatach, w lochach dziesiątego pawilonu odwykłem od ludzi. Ot... ot... już tak; natura człowieka uszlachetnia, a życie wśród ludzi upodla. Tu się oddycha szeroko, swobodnie, umysł nabiera mocy, serce uczucia, dusza jakoś potężnieje. Eh! tylko natura! to życie! tu dopiero szczerść i prawda, mają swój rozkwit! Ot... ot... już tak!...

— Więc pan już zupełnie zwątpił, że ludzie szczerzy?...

— Są, owszem, ale nie wielu ich, bo nie można wierzyć w każdą akcentowaną szczerść. Ja mam taką maksymę do tego: Kto zbyt głośno szczerść własną reklamuje, ten najzręczniejsz bliźnich swoich okłamuje.

— Pan za ostro sądzi ludzi i jest zbyt wielkim pesymistą.

— Tylko praktykiem, badałem ludzi, miałem z nimi dużo do czynienia, toż ich i poznałem do gruntu. Rozróżniam odrazu wszystkie ich gatunki. Nawet ich nie sądzę surowo; nie mam do tego prawa i sam jestem ułomny. Jeden tylko rodzaj potępiam stanowczo.

— Już wiem, fałszywych. Czy tak?...

— Otóż właśnie, uśmiech na ustach a w sercu szyderstwo, gniew, zazdrość, zawiść i inne podobne gody, wszystko pokryte uprzejmością zdawkową; gdybyż tylko uprzejmością, to gorzej, że pozorami przyjaźni, nawet serdeczności. To się nazywa wcale ładnie — dyplomacja, modna teraz bardzo i miękko brzmi, dużo elegancji niż ordynarny fałsz — chociaż jest tem samem. Wolę otwartego wroga, niż ukrytego za takim słodkim parawanikiem — bo ten łatwiej ugryzie, a jad ma bestja żrący, rana po nim ropyje.



Rozległ się nagle gwałtowny tętent na polanie, jednocześnie profesor i księżna ujrzeni rozpedzonego jak burza Machinuda, który przeciął ukośnie polankę i znikł w lesie. Z za węzła chaty wypadł przerażony parobek, robiąc mimiczne, desperackie ruchy i bełkocąc z przestraszu.

Profesor zerwał się z ławki.

— Cóżś zrobił najlepszego Semén.

— Jej Bohu! ja jemu ne zdubał, welykij a silnyj jak czart! — tłomaczył małoroś, waląc pięściami w piersi.

Księżna zaśmiała się.

— Nic mu nie będzie, zemknął na południowy obrok do Jarowa, pomyślą tam, że spadłam.

— Ot, książę się przerazi.

— Czy wiedziano w pałacu dokąd księżna jedzie?

— Nikt nie wiedział, będę tu siedziała dotąd, aż trafią na ślad.

— Może Semena wysłać do Jarowa?

— Nie trzeba! Niech się profesor nie kłopoce. Czy tak go już zmęczyla? Mielismy przecie jeść obiad, ową kaszę; bardzo ciekawam i trochę głodna.

— Prawda, prawda. Ot mi gościna na Smolarni. Słońce akurat w zenicie stoi. Semén! szykuj połudenek, a żywo!

— Dla jejże sijutielstwa toże? — spytał chłop, prostując się po żołniersku i patrząc z niedowierzaniem.

— Toże, toże! A możeby księżna wolała zjeść tu, na powietrzu, he?...

— Ależ tak cudownie! będzie prawdziwa majówka. Semén wyniósł mały stolik i z wielkiem namaszczeniem nakrył go białym płótnem. Ustawił dwa głębokie

talerze z grubego fajansu, położył łyżki, poczem znikł na dłużej.

Księżna przypatrywała się tym przygotowaniom z zajęciem i z uśmiechem. Przyszło jej na myśl, że mąż jej w Jarowie siada również do stołu, ale jakże inaczej; we wspaniałej sali z dębowymi buazerjami, zdobnej w stare portrety, wśród zgrai lokajów, stół pełen sreber, świetnej porcelany, kryształów, kwiatów; wnoszą wykwintne śniadanie, wina... ech! jakie to nudne i od dzieciństwa znane. A jednak można żyć i tak jak tu, na Smolarni i nawet przyjemnie, prawda, że bardzo pierwotnie...

Odgadując trochę jej myśli, profesor zagadał.

— Pewno księżna obiadała tak pierwszy raz. Ale?!

— Istotnie pierwszy, ale mam wielką przyjemność, tak tu miło.

— Hm, nowość bawi. To gorzej, że mój dostojny gość będzie głodny; bo frykasów nie mam, a znowu księżę niespokojny, też śniadania jeść nie będzie, czekając na księżnę.

— Ach, przyzwyczajony do moich fantazji, śniadania dla mnie pewno nie odłoży.

Semén wniósł <sup>tu</sup> kładyszeczkę z mlekiem zsiadłym, czerpak zwany hohlą i salaterkę pełną kaszy jęczmiennej ze skwarkami. Znalazł się czarny, pachnący chleb i dwa płaskie, podpieczone na rumiano podpłomyki pszeune. Profesor żwawym i wytwornym ruchem wskazał księżnie ławkę pod ścianą.

— Proszę uprzejmie na skromny posiłek, skoro miły gość nim nie gardzi. Proszę.

Księżna z ładnym uśmiechem zerwała się z trawy.

— Jestem doprawdy zachwycona i głodna. Acli i podpłomyki są, brakuje tylko miodu i szarańczy, byłoby jak na pustyni.

Pustelnik strzepnął palcami.

— Ha, prawda! Szarańczą służyć nie mogę, nawet zasuszoną, ale miód jest. Semén dawaj miodu!

Profesor poszeptał coś chłopu na ucho, a gdy odszedł zajął się gościem z wytwornością światowca. Księżna sama nakładała mleko na talerze, apetyczne było chłodne i fałdyste, przetkane kremową śmietaną. Gdy napelniła talerze, roześmiała się wesoło.

— Śliczna sielanka! Ale na co nabierzemy kaszy, niema talerzyków deserowych.

— A no, niema! — zafrasował się gospodarz — to już mój cały serwis. Musimy jeść z jednej salaterki, więc tak księżna będzie jadła ze swojej strony, a ja ze swojej, dobrze? może się nie pobijemy?

— Z pewnością! Ha, ha, gdyby to Eustachowa widziała! Ale ja mogę pana przejeść, jak to mówią, bo mam szalony apetyt.

— Aby na zdrowie i aby smakowało.

Księżna wzięła łyżkę, spojrzała na nią filutnie, ze zdumieniem zastanowiła się, oglądając bacznie choć dyskretnie, nawet poczerwieniała trochę. Stary to zauważył.

— Nie srebrna, pani moja, nie, zwyczajnie blaszanna. Semén w miasteczku na targu kupił, ale cienka przynajmniej; drewnianą to i ja nawet nie mogę jeść, za gruba jakaś, do ust przykro wkładać. Takie ot ma człowiek wybredne przyzwyczajenia.

— Pan wybredny?! Ach profesoruniu, żyjesz jak święty na pustyni. Ale cóż, niechcesz nic z Jarową przyjąć, jesteś dumny jak król.

— Dumny na swych śmieciach i dobrze mi. Taki ot jestem dzik! Cóż tam, mleczo smakuje z blaszanej łyżki?...

— Wyborne! widzi pan, że pochłaniam żarłocznie.

— Ale kasza w ząbki kole. Hę?...

— Cóż znowu, bardzo smaczna, tylko pić mi się chce, więc wolę mleko.

— Dyplomacja, pani moja.

— Nieszkodliwa profesorze — uśmiechnęła się wdzięcznie.

Semén wniósł ostrożnie dwie, dziwnego kształtu wazki pełne miodu ciemnego i gęstego jak roztopiony brąz, w płynie tkwiły dwie łopatki małe, zręcznie wystrugane, smac świeżo wykończone. Zapach pszczelny i syty rozszedł się łagodnie, jak woń skoszonego siana w parne południe, lub kwitnącej lipy.

Księżna klasnęła w ręce.

— Miód! jaki apetyczny! Cóż za osobliwe naczynia, z czego to jest?

— Zeszłoroczne tykwy, przecięte na pół i wydrążone, a łopatki miejscowego snycerza, Semena, zrobione ad hoc. Miód już świeżo podebrany, wiosenny, bardzo smaczny, z pierwszych ziół i kwiatów, przedziwnie aromatyczny. Proszę niech księżna spróbuje, do podplomyków to będzie deser.

Młoda pani rozweselona niezwykłą uczcią, nabierała bursztynowego płynu na drewnianą łopatkę i sącząc go z wysoka na podplomyk, zachwycała się przezroczystością

ulepu, błyszczącego złotem w słońcu, zanurzała potem białe zęby w lepkiej słodyczy, chrustając zarazem podłomyk.

— Wyborny, przypomina mi się Anglja; tam jadają miód na deser. Ależ ja się u pana uraczę jak nigdy! Czy pan był w Anglji?

— Byłem w Londynie, Szkocję znam lepiej i trochę Irlandję.

— Pan chyba zna cały świat, z brzegu w brzeg, prawda? Od bieguna do równika?

— Ot, tak znowu nie, bieguna nie znam, a równik:.. trochę tam za gorąco, lecz wytrzymałem nie gorzej od tubylców. Księżna przecie także zna środek Afryki, fiordy norweskic.

— Polowaliśmy na równiku jeżdżąc na słoniacz, a potem odpoczywaliśmy w wygodnych szałasach-pawilonach. W fiordach marzyłam na pokładzie statku spacerowego. Ale to nie to, czego bym chciała. Pan zapewne inaczej używał tych cudów?...

— Toż pewno, że bardziej pierwotnie. Mieszkałem w pustyniacz dla swych badań przyrodniczych. Polowałem i ja, ale samowtór z jednym krajowcem i z psem tylko. Hej, hej, dobre to były lata, młode, silne, zapalne. W pomroce już one, pokryte mętnią czasu.

Pustelnik westchnął, podniósł w górę, głębokie swe, dobre oczy i zamyślił się z rzewnym jakimś uśmiechem, na świeżych jeszcze, jak jagoda jesienna ustach. Napływały doń wspomnienia dni minionych, dni, które już zapadły w przeszłość, by nie odrodzić się nigdy w cudnej swjej jawie; dni, które już z popielaly przez czas i teraz na popieliskach swych wydają jeno piękne kwiaty wspo-

mnień. Profesor zrywał je układając w równianki, oczyma zda się widział ich barwy, zapatrzył się, zasłuchał w ich sznery, zapominał jakby o obecności księżny.

Młoda kobieta trąciła go lekko.

— Profesorze kochany, zbudź się, bo jesteś w ekstazie wspomnień, jakby w niebowzięty. A tu wszakże Smolarnia, lasy wołyńskie, nie podzwrotnikowe puszcze.

— Tak, tak, ot, przepraszam księżnę. Zadumałem się o fali życia, która się już rozbiła o brzeg; żaden wicher już jej na pełne morze nie wyrzuci. Tu na tej polanie mój port, ostoja po tulaczcze życiowej. I miła, bardzo miła przystań, z łaski księżnej otrzymana.

— Z jakiej tam znowu łaski? profesorunio kpi! Wybrał sobie mieszkanie jak prosty osadnik, bez żadnych wygód. Przecie to śnieszne, żeby nawet krowy, ani konia, ani nic, nic, z Jurowa nie przyjąć, czy to się godzi?

— Ale mam las, łąki, wyręby, drzewo.

— O co się targowałem do upadłego, chcąc nam za to płacić, ha, ha, ha! nam dzierżawę płacić! Nawet tego, prezentu niechciał pan darmo przyjąć od rodaczki. Skandal!...

— Przyjąłem księżno kochana, ot, i przyjąłem... i mam przytułek dla skolataniej głowy, naturę bogatą, dziewczę, prawie jak pod równikiem, zwierzęta, ptaki, owady, a głównie swobodę i kraj rodzinny. Ach, paniż moja droga, co znaczy miłość do ziemi rodzinnej, ty jeszcze tego nieznasz. Szorowały moje nogi różne lądy, wszystkich części świata, oczy widziały cuda, najśmielsza wyobraźnia milkła z zachwyty, a tęsknota do Wołynia żarła duszę, piła krew serdeczną. Nostalgia to straszna rzecz! Ani mi się śniło, że będę kiedyś koczował w naszym borze, na ziemi gdzien

się urodził. I gdyby nie spotkanie księżny na statku pod <sup>ru</sup> Pikušem, nie znalazłbym obecnej rozkoszy. Ot... ot... już tak!...

— Niech profesor doda, gdyby nie rzucona przez niego piosenka małoruska — »U sosida chata bila« — Przecie usłyszeć coś podobnego na wodach Archipelagu, można zdrętwieć; będąc samej wołyńianką oczywiście. Udawałam, że drzemię na leżaku, a pan biorąc mnie za zmęczoną morską chorobą lady angielską, o kilka kroków odemnie, oparty o burtę pokładu, patrzył na błękitne fale morza, swemi dobrymi oczyma i tęsknie nucił dumki wołyńskie. Pamiętam, że bałam się spłoszyć chwilę, najłżejszym ruchem, zastanawiając się jednocześnie, kto pan jest, raczej kim być może? Odgadłam romantyka, bo to było łatwo, lecz nie przeczułam przyrodnika.

— Robaczywego w dodatku.

— A fe! drugi raz mi pan to wypomina.

— Toż nie z gniewu, nie z obrazy pani moja. A co do księżny, to nie myślałem, że angielfka, ale, że greczynka z pokolenia Afrodyty, żyjąca za późno, w czasach upadku starożytnej Attyki, kiedy już nie stawiają świątyń boginiom i zabrakło praksytelesów, genialnych odtwórców piękną. Dla tego też spóźniona prawnuczka Afrodyty smutna i znudzona.

— Fiu, fiu! — świsnęła księżna łobuzersko, — co za olimpijskie porównanie. Wcale ładne, wcale!

— A ot, tak sobie myślałem, patrząc na piękną damę, drzemiącą na leżaku. Aż tu raptem, Chryste ty panie! słyszę, a moja greczynka śpiewa dalszą strofkę dumki, najczystszy małoruskim akcentem: »Pijdu meży lisy i hory, pijdu meży tiomnyje bory.« — Oszalałem pani ty

moja, coś mię porwało z miejsca i rzuciło do kolan księżny. Pierwszy raz od pacholących lat, kiedym z Wołynia wywędrował, usłyszałem dumkę tego kraju, śpiewaną przez inne usta, niż własne. Boże ty mój, co za szczęście miałem w piersi!

— Płakał pan jak dzieciak, klęcząc przy mnie i całując mnie po rękach — szepnęła księżna ze wzruszeniem. — Pamiętam wybornie; właśnie wtedy wszedł mąż z kapitanem.

— A jakże! Ot mi dziwowisko! Książę oniemiał, a kapitan posunął się do mnie prędko przerażony, myślał pewno, żem zwarjował. Wszakże mnie znał dobrze. Na wyspach robiłem wycieczki kapitańską szalupą, obdarzałem go muszlami, za którymi przepadał. A jednak w owej minucie gotów mię był zrzucić z pokładu, tak się zgorzszył i obruszył za moją konfidencję z księżną. On sam do księżny wzdychał tajemnie.

— Nawet nie bardzo tajemnie — zaśmiała się. — Kokietowałam go zawzięcie, ostrzegał mię ten stary pastor anglikański — pamięta pan? — że mogę doprowadzić do katastrofy; bo kapitan, zamiast na basolę patrzeć w gwiazdy. A wtedy in gratiam spotkania się rodaków, kapitan wyprawił nam uroczystość na statku; z żył się na profesora za niepicie szampana, orkiestra grała, tańczyliśmy! Uh! wesoło było na Archipelagu!

Zerwała się z ławki.

— Dziękuję profesoruniu za obiad, nasyciłam się aż nadto.

— Co tu tak pachnie?

— Czeremchy kwitną na brzegu lasu, chyba je ta ręka Boża nasiała, bo jest mnóstwo, toż tu przepaść



kwiecica, macierzanka okadza moją chatę, mięta rośnie pomiędzy karczami...

— Chodźmy w bór profesorze, zgoda?

— Ot tobie masz! ja ciągle w borze siedzę. Pokażę księżnie osobliwość; węża pięknego, wiem, gdzie się chowa.

— Dziękuję za łaskę!

— Wszak oswojony i nie gryzący.

— Czy pan i w Himalajach i w Congo oswajał węże?...

— Pytonów, Boa, to nie, bo mógłbym się znaleźć w brzuszku, którego z tych żarłaczy. Ale chodowałem pyszny okaz jaszczurki Gekona, jedyny gatunek wydający głos; gdy ją trącić lub gdy kogo ujrzała w nocy, w dzień prawie niewidoma, wydobywał się z jej paszczki dźwięk, jakby pytający — tok... ktooo... szik... szik... lekko... Mój towarzysz, Hindus brał to za czary i bał się jej, a przytem i mnie jak ognia. Drugą oswojoną przezemnie jaszczurką była Hetterja, bardzo rzadki gatunek, z brzuszniemi żebrami. Najlepiej lubiła przebywać w moim rękawie. Śliczne zwierzątko. — Chodowałem również Marabuty, ale to obrzydliwe ptaszyska, zupełnie tutejszy »czynownik«, skrzydła jak poły fraka urzędowego wiszące, chudy, na długich nogach, z myszkującym nosem i dobrą torbą na »wziatki«.

— A papug pan nie miał?...

— Nie lubiłem! Ot, już tak! papugi i małpy zanadto przypominają ludzi, papugi z języka, a małpy z postaci i obyczajów. Raz w pustyni Congo, zabiłem goryla, tylko dla tego, że o mało nie rozszarpał mnie i przewodnika. Miałem wrażenie straszne, że zabiłem człowieka. Był to piękny okaz, chciałem go wypchać i oddać do ga-

binetu zoologicznego w Warszawie. Ale cóż ot, nie mogłem się do niego zbliżyć dla zdjęcia skóry, bez tego podłego uczucia, że to potworny trup ludzki. Taka ot głupota, nie do darowania. Nas dwóch tylko było w puszczy, przewodnik bał się, czy brzydził i także niechciał.

— A ja lubię małe małpeczki, takie głupiutkie, idjotyczne potworki.

— Tfy! hadkie małpy! — W zagrodzie mojej nad Zambezi miałem różne zwierzęta; węże, ptaki, czworonogi. Najlepiej lubiłem małego słonia, nazywałem go „muzykiem“ (chłop po małoprusku) i żyrafkę panienkę. Tak się ślicznie wdzięczyła smukłą szyjką i przymilała pysznemi oczyma, jak owalne ayaty. Rzęsy czarne i taaakie ...ot, podawała główkę miękko, pieściwie, żeby ją łechtać po różkach.

— Mówi profesor jak o kochance.

— Ot, bo kochałem tę swoją panienkę, aż mi ją zastrzelił krajowiec złodziej, jak skubała sobie liście »mokali« czyli akacji, niby dziewczyna rwąca wiśnie z drzewa. Tylem ja widział, zbójów kilku, konno dogonić ich ani sposobu. Zresztą już poco? Nie mogłem się uspokoić, takie to było śliczne, mądre i dobre.

Profesor westchnął ciężko, jakby istotnie po stracie drogiej osoby. Szedł ze zwieszoną głową, czyniąc rękami ruchy desperackie. Tyle żalu i smutku było w całej jego postaci i w twarzy, że księżna zamyśliła się, ciekawie go obserwując. Wiatrem strącone, padły na pustelnika białe płatki czeremchy, kwitnącej opodal. Uśmiechnął się, ujął w palce delikatne welinki kwiecica i jak do małych dzieci przemawiał do nich.

— Ot... ot... opadacie już?... Szkoda! Roztrwonicie całą kiść kwiatu w ten sposób, smarkatki jedne!... A całości się trzymać! a pachnąć w kupie!... nie latać osobno! Zachciało się motylki naśladować... Widzicie ich... ot... ot...

— Czemu się pan nie ożenił, profesorze?...

Zapytanie to zgrzytnęło trochę.

Pustelnik stanął i utkwiał w księżnej zdumione oczy.

— Awantura! a toż co?... Ja żonaty?... ot tobie masz! A mnie to poco było ot, ot!...

— Bo jest w panu tyle uczucia, że lepszego ojca rodziny trudno by znaleźć. Mówię szczerze, pan by umiał kochać, nie tam żyrafy i Hetterje, ale kobietę wybraną, dzieci, dom, rodzinę.

Honda zaśmiał się.

— Księżna sobie kpi ze starego? Co jabym z żoną robił w swoim życiu koczowniczem i czembym ją utrzymał przy sobie materjalnie i moralnie?...

— No, nie oddawałby pan tak jak teraz wszystkich dochodów na cele społeczne i na biednych, więc może by wystarczyło?

— Eh! za mały cel, żeby poświęcać większe. Żona? dla mnie żona, może jeszcze piękna? He, he! A toż nudziłaby się przy mnie potępieńczo, z mojemi mikroskopami i owadami, a ja razem z kuferem, zawierającym zdobycze moje, jeszcze bym musiał ciągać żonę? Bóg strzegł!

— Zostałaby w kraju lub gdzieś za granicą.

— Hm! Ot, to już lepiej nie narażać się w takich warunkach na różne możliwe kolizje. Bo cóż tam ja?... tetryk, robociaż; ni piękny, ni romansowy, ani salonowy

elegant, ani bogaty, ani demoniczny, jak kobiety lubią, ot takie dziwadło!

— Jest pan przede wszystkim obrzydliwy cynik — ładnie pan maluje kobiety? Tyran! Trzyma się pan zapewne zasady: sapiens sufficit sibi?

— Nie księżno, taki zarozumiały nie jestem, aby się za mędrca uważać, ja się rządzę inną zasadą: providentia est melior poenitentia. Pani moja, czyż możliwa symbioza jakiegokolwiek gatunku niewieściego z takim, jak ja dziwką włączę?! Ot, niema o czem i mówić!

Machnął ręką z lekceważeniem, przecinając kwestję...

Księżna miała na ustach pytanie, dotyczące się ewentualnych przeżyć erotycznych i uczuciowych profesora, lecz niedyskrecja ta nie spłynęła z jej warg, zatrzymana pewnikiem nagłym, że byłaby nieprzyzwoitością wobec starca, który nawet w swej postawie miał coś, co nakazywało szacunek. —

Po długiej minucie ciszy, kobieta zagadnęła miękko, jakby pragnąc złagodzić poprzedni, niepotrzebny zwrot rozmowy.

— Wiele już profesor przebył różnych siedzib dłuższych w swoim życiu.

Staruszek ożywił się natychmiast.

— A ot, w Himalajach koczowałem pięć lat; na stokach Dhawalagiri u stóp Gaurisankaru dwa — i rok błąkałem się, wspinając na stoki Kintschindjunga, to spadając w doliny. W Congo mieszkałem rok, nad Zambem i półtrzecia roku w Kalifornji, w lasach i stepach jako skwater — trzy lata, w Tatrach i Karpatach dwa lata, w Queenstlandzie pół roku i w Japonji rok. To były najdłuższe siedziby moje, pozostawiły dobre wspomnienia.

A tak po kilka, po parę miesięcy to gdzie mnie nie było!?... Na przylądku Dobrej Nadzieji, na Cejlonie, w Nowej Zelandji, na Madagaskarze, na wyspie św. Heleny; gdzie łowilem wśród skał ostatnie sapiry Napoleona; w Chinach, w Palestynie, przy Sfinksie, który jest największym filozofem świata, bo nic nie mówi, a najwięcej widział. Meksyk znam wybornie, wszystkie stany amerykańskie i Brazylię. Najlepiej jednak lubię całą Afrykę, Azję południową, głównie Indje oraz wszystkie wyspy pomiędzy Azją i Australją.

— A Europa? Co w Europie?

— W Europie, ot, prawdę powiedziawszy, Karpaty i Wołyń, no i stary, — ale stary, nie nowy Rzym; drogę na Wezuwjust, którą przebyłem parę razy, wyspy Balearskie, Sycylję; lubię też Archipelag.

— A Włochy, Capri, Paryż, Riwiera Szwajcarya?...

— Za dużo tam ludzi i cywilizacji!

— Gotów profesor i ze Smolarni jeszcze uciec po kilku latach. Pragnienie nowych wrażeń poniesie w świat. Ja to znam.

Pan Medard Honda z poważniał bardzo, poczem rzekł uroczyście głosem stłumionym, jakby wykonywał przysięgę.

— Nie, stąd nie ucieknę; tu niosła mnie tęsknota całego życia. Ziemia tutejsza wołała mnie, a ja się ku niej kłoniłem całą siłą ciężkości, aż i przyciągnęła. Tu już zostanę.

Starzec był wzruszony, ze łzą pod powieką. A bór wołyński słyszał i zaszumiał radośnie, lejąc swe miodne wonie i szeptu dostojne na głowę podróżnika, który po

wielorakiej tułaczce, po obcych łądach i morzach w nią szuka swej ostoji; jak syn w ramionach praojca.

Usiedli na zwalonym chojarze, pokrytym już sędzizną mchu siwego; mając za podnózek zielone kozuchy młodych mchów, ścielących miękkie łoże spoczywającemu pradziadowi. Profesor zasłuchiwał się w gwarę boru, księżna siedziała cicho z pochyloną głową, opartą na dłoni.

— Jaki pan jednak szczęśliwy.

Starzec drgnął.

— Kto szczęśliwy.... ja?...

— No, tak, że może pan tak spokojnie mówić sobie — to mój port i ostoja — więc już za niczem nie tęskni?... Ja tak nie potrafię..

— Hm!... będąc w wieku księżny, ja bym chyba zabił tego, ktoby mi wskazywał takie ciche dożywocie, mówiąc: — to twój port. Ale obecnie przekraczam siedemdziesiątkę; to droga księżno nieco więcej niż jej dwadzieścia pięć lat. Ja mam już za sobą młodość, wiek średni, dojrzały, któryś tam stopień starości, i to wszystko co mi życie dać mogło, co potrafiłem sam z niego wyłowić. Mam za sobą nie tylko idee, mam... czyny — wyrzekł prawie szeptem, jakby się wstydząc własnych słów.

— Ma pan sławę; nie trzeba być zbyt skromnym.

— Mam pracę, pani moja... ot! nieprzemarzyłem życia, nie zmarnowałem darów Bożych, bo nie próżnowałem. To dar Boski największy!

Słowa te zastanowiły księżnę. Wpatrzyła się bystro w mądrą twarz pustelnika i spytała z lekkim niepokojem.

— I nigdy pan nie doznawał nudy, apatji, zniechęcenia do życia, nigdy nie nawiedzał pana spleen, pragnienie nirwany?...

Pustelnik zachnął się niecierpliwie.

— Spleen, nirwana?... modne wyrażenia na określenie modnych chorób grasujących w naszym społeczeństwie, jak żółta febra, nad Gangesem. Ot... wytworna, arystokratyczno literacka szata, w którą się owija jak w bawełnę dla przyzwoitości zwykle, nagie próżniactwo. Taj hodi! — jak mówi mój Semen... A na cóż pragnienie nirwany temu, kto w niej siedzi po uszy. He?... ot... ot... już tak!...

— Jeśli ktoś za czemś tęskni, ten chyba w tem nie siedzi, wedle pańskiego wyrażenia, — sarknęła księżna.

— Czemże jest życie wasze, choćby księżny z mężem, jeśli nie nirwaną?... Jestem jak tabaka w rogu!

— Ja również i zdaje się, że pan mię nie rozumie? Księżna była rozdrażniona.

Błady uśmiech błysnął na ustach profesora, chwilę namyślał się, przeważał na wadze swego sumienia: — warto, czy nie warto? — szale przeważyły: — warto i trzeba!

Stary podniósł głowę.

— Co książę i księżna robią w życiu i jak z użytkowują młode lata?

Piękna pani uczuła się zaskoczoną.

— Czy pan mnie pyta?

— No,... tak.

— Pytanie dziwne! Jakto, co robimy?... Pan chyba wie?...

— To nie odpowiedź, księżno. Ja wiem, to za mało. Powinni o was wiedzieć wszyscy współrodacy... kraj, ale inaczej. Ja wiem tyle: Oboje księstwo jesteście piękni — to nie wasza zasługa; bywają piękni i chłopci. Jesteście rasowi; — to już wynik długowiecznej kultury rodu, łą-

czenia pierwszych gatunków z najpierwszymi. Jesteście milionerami; — to także nie wasza zasługa, jak Vanderbilda lub Morgana, amerykańskich miliardów. Oni sami dorobili się tych milionów, wam zaś dał je kraj rodzinny, raczej hojność królów — i umiejętne dobieranie małżeństw w celu ciągłego uświetnienia rodu. Jesteście przeto jedynie posiadaczami trustu finansowo konsumacyjnego w kraju, lecz nie produkcyjnego. Ot i w tem gruba różnica. Dalej... ale może ja księżnę nudzę?...

— Owszem, proszę, to mię zajmuję.

— Jesteście bardzo bogaci... wielmoże. O!!... nie zasługa, a potężny atut w ręku. Nie jest również zasługą lwa, że ma tęgie kły, siłę i zdrowe pazury, a wszakże to sprawiło, że otrzymał berło przodownictwa zwierząt. Drugi atut zasadniczo większy jeszcze niż miliony, to młodość... i zdrowie. Pi, pi, pi! przepych! To jakby kto snop promieni słonecznych dał komu w garść! Na! trzymaj i użytkuj, a kieruj mądrze, bo to nie przelewki, to nie zabawka, z tego zdasz rachunek!

Księżna nerwowo skubała trawę, brwi jej zbiegły się, usta drżały.

— Ot, ot! A tymczasem, nie każdy się na tych promieniach słonecznych zna — i miast użyć tej kolosalnej siły i władzy do dużej roboty, z użytkowuje ją na duże zabawy. Złotą bryłę życiowej weny, przerabia na drobne ludwiczki, bo to praca najłatwiejsza. I tak te drobne toczą się, brzęczą, cieszą oczy, a latka płyną, płyną... snop promieni, przez los udzielony gaśnie, gaśnie, wycieka, aż wypśnie się z rąk niewiadomo kiedy. Ale on jest, tylko się zmienił. Młodość, zdrowie, siły wtórowały brzękom ludwiczków, gdy nadejdzie starość, złoto traci blask. Złoto



jest złotem w młodości, w starości staje się miedzią. Więc i promienie gasną, są już tylko sztabami. To już ciężkie, ręka drży, niema władzy, wszystko powoli słabnie. Wzmacnia się tylko słuch i wzrok. Uszy słuchają chciwie tego co szeptem sumienie i... świat, oczy dopiero wtedy widzą ruinę tam... gdzie powinny być gmachy. Tragedja! wyrzuty, rozpacz!... Ph! czasem i tego nie ma, ślepotą i głuchotą do końca.

Długa cisza. Las szumiał poważnie do wtóru... Do wtóru.

— Więc my... jesteśmy w której kategorii?... — sucho spytała księżna.

— A księstwo wkraczacie już w drugą. Ot, snop promieni w garści jest, złota bryła życiowej weny jest, ale nie wprzęgnięta do potężnego motoru; już ją rozmięniacie na drobne; już gruchają ludwiczki... toczą się, lśnią... Ot i za małe one, pomimo swego blasku, by nie dopuścić do was hydry co nazywacie spleenem; nie wyrwą was one z tej nicości, z tego spoczynku za życia, z tego bezwzględnego spokoju w sybarytyzmie, z tego oddalenia myśli od wszystkiego co cierpi i co boli, z tej oto nirwany waszej, w której grzęźnicie, a za którą tęsknicie.

Wzburzenie a zarazem zdumienie księżny, w miarę słów profesora, rosło. Przez chwilę zdawało się, że obrazą zwalczy w niej wszelkie inne uczucia; górowała ona ponad wszystkim, szarpiąc nerwy młodej kobiety. Gniew zbudził się nagle i zjadliwie ugryził. Jad ten pobudzał do wybuchu; już, już bryźnie słowami, jak szpony będą, ostre, bezwzględne.

Wrodzona delikatność natury zamykała piękne usta, by nie skalaly się złośliwością. Ale duma już warczała

złowrogo na wkładane jej kagańce, kipiało w piersi księżny, dyszącej oburzeniem.

W tem, jak kula gwintowana wywinęła się z mózgu, prawda. Uderzyła z siłą. Wnet ocknął się, śpiący gdzieś głęboko w duszy, samokrytycyzm, podążyła za nim gorzka ironja. Osaczyli brutalnie gniew i obrazę. Coś się zalało w sumieniu, w duszy jętko wspomnienie niby echo dalekie. Powstawał, rósł, majaczył — wstyd — i już bolał, już zgnębił. Płonąca twarz księżny ochłodła, gasły na niej gniewne łuny, na rysach drżał niepokój, głowa wolno opadła, jakby przeciążona myślą.

Profesor nie patrząc widział i odczuwał przełom w duszy kobiety. Spokojnie czekał rezultatu.

Ze zbladłych ust świetnej pani wydobyło się trochę niepewne pytanie; głos był nieco z tremowany, bezwzdechny, głuchy.

— Cóż więc mamy robić, niech pan powie?...

Dobry, serdeczny wzrok profesora, spoczął na twarzy księżny, rozradowany.

...To już dobrze, że pyta, to już dobry znak — pomyślał i odrzekł jaknajcieplej, bardzo serdecznie.

— Oddajcie ojczyźnie choć w części to, coście od niej dostali. Gdy ona była magnatką obdarzała was szczodrze, teraz gdy... z biedniała, waszym jest obowiązkiem podtrzymywać jej siły. To już nie tylko rzecz etyki, to już sprawa sumienia, to obowiązek dziecka dla matki i drogi obowiązek, powinien być płynący z serca.

— Więc cóż, więc cóż panie?... Co my możemy dla kraju zrobić więcej nadto co robimy?...

— A... a co księstwo robią? Ot, ot, wracamy do początku naszej rozmowy. Co robią?...

— Co robimy... no wszakże... no przecie...

Księżna zacięła się, zabrakło jej słów, nie wiedziała co z sobą robić. Nastąpiła chwila przykrew ciszy, którą profesor przerwał, udając znowu, że nie widzi bezradnego niepokoju księżny.

— Ot, ot... życie prowadzą księstwo wesołe, podróżują, polują, bawią się za granicą, czasem w kraju przez kilka miesięcy. Macie państwo piękne rezydencje, ogrody, sławne stajnie, całe sztaby administracji, nieprzeliczone szeregi służby... Eh, co tam wyliczać! Księżęta udzielni rzeszy nie mają połowy tych zbytków, nie mówiąc już o tem, że wielu z nich schowałoby się w dobrach księstwa razem ze swemi państwami. No, więc jest z tem trochę roboty, trzeba to wszystko utrzymać, żeby zawsze błyszczało, ale to już robi pieniądz, ręka rękę myje. Dotąd są tylko zabawy i wszystko skierowane dla i do zabawy. Ale gdzie czyny?

— Mamy różne fabryki, zarobkuje w nich mnóstwo ludzi — przerwała księżna.

— No, tak, to są biali murzyni, pracujący w waszych kopalniach, którzy dostarczają księstwu złota. Lecz ot... ot... złoto płynące z wiadomych źródeł, zgarnione do olbrzymiej kupy przez mnóstwo rąk waszych pracowników, na jakież idzie cele?...

Profesor chrząknął, poruszył się nerwowo i rzekł cicho, łagodnie, trochę zakłopotany.

— Przepraszam, bardzo przepraszam księżnę, że się ośmielałem... swoje uwagi... ja, który księstwu zawdzięczam dużo... zbyt dużo. Ale ja, to za mało, to nic, trzeba coś robić dla społeczeństwa, społeczeństwo, kraj oczekują na waszą działalność, na wasze czyny, w dziedzinie oświaty,

postępu w przemyśle krajowym, mądrze i praktycznie zrozumianej filantropii i tak dalej i dalej. Trzeba ot, trzeba, żeby wasz dom był ogniskiem, z którego rozpada się moc promieni dokoła, grzejących i oświecających. Trzeba nie tylko świetnie błyszczyć blaskiem zimnym, ale trzeba świecić, promieniować. Ot tak! Być reflektorem prima sorte i zamykać latarnie dalekonośne o dużej sile, by miał szerokiemi gościńców światła dla ludzi przeznaczonych sobie tylko nim ozłacać, to ot, ot, za mały cel, to sybarytyczny cel, to egoizm...

Długie milczenie i cichy szept.

— Ale ja przepraszam, ja ot, może i nie powinienem... wiem... bo każdy tak żyje, jak sam chce. Pragnąłbym jeno, aby księżna była, ot, pragnąłem tylko wytłómaczyć, dlaczego nawiedza księżnę ów spleen... bo brak czynu, myśli, celu. Ot, to jest. Nic, nawet podróże, choćby po całym świecie, ale bezcelowe w końcu znudzą, zmęczą. I to się przeje i to. Za nirwaną tęsknią tylko życiowi wykolejenci... i... i... może buddyści...

Próżniacy — zaszumiały stare sosny dokoła, próżniacy — wołały krzykliwie sójki i ptactwo leśne, próżniacy — wionął lekki prąd powietrza do ucha zamyślonej księżny. Podniosła głowę i patrząc przenikliwie w przymknięte oczy starego, rzekła bez gniewu:

— Nie dokończył pan swej myśli, tak jak zamierzał, zmienił pan ostatnie słowo.

Usta profesora drgnęły dobrym, trochę kłopotliwym uśmiechem.

— A ot... już tak... może być.

— Ja odgadłam, to słowo nieodpowiedzialne, jak odgaduje się rym we właściwym miejscu.

— Tak i dobrze, paniż ty moja, tak i dobrze, że odgadłaś.

Stary z wielkiem ożywieniem wziął ręce blado uśmiechniętej kobiety i gorąco ścisnął je w swych pracowitych dłoniach.





## II.

Gdy na obszerny dziedziniec, przed stajnie jarowskie wpadł rozhukany Mahmud, ziający ogniem z nozdrzy, z rozwianą grzywą i ogonem, niepokój zapanował wśród służby.

Wypadek z księżną zdawał się rzeczą pewną. Oglądano konia, czy niema jakich śladów, najsmutniejsze przypuszczenia, domysły krążyły pośród wystraszonych masztelarzów, stajennych i forysiów. Nikt nieśmiało zawiadomić o tem księcia, spożywającego właśnie śniadanie.

Wieść dosięgła szybko pałacu i strzelec księżnej Daniło małorus z krwi i kości, szczerze przywiązany do swej pani, nie zastanawiając się ani chwili, ruszył do księcia. Wszedł do sali stołowej, wyprostował się jak struna w swej bogatej liberji i nie pytany, rzekł krótko:

— Nieszczęście!

Księżę jadł właśnie ostrygi i smakowicie wyciskał na jedną sok z cytryny, z apetytem myśląc o jej przełknięciu. Podniósł niechętnie głowę i gniewnie spojrzał na strzelca. Ostrygę trzymał w palcach w zawieszeniu.

— Co się stało?...

— Nieszczęście — powtórzył Daniło, tragicznym głosem.

— Jakie? — mówże baiwanie!

— Jaśnie oświecona księżna pani spadła z konia.

Książę drgnął, lecz opanował się natychmiast.

— Łżesz! księżna nie spada nigdy — odrzekł z flegmą i zabrał się do oczekującej ostrygi.

Daniło zamienił z kamerdynerem błyskawiczne spojrzenie.

Książę był trochę z tremowany, ale nie okazywał tego. Przelknął mięczaka i biorąc drugą muszlę spytał:

— Gdzie jest księżna?

— Niewiadomo. Mahmud przybiegł sam, a skąd, też nikt nie wie.

— Koniuszy zawiadomiony?

— Tak jest. Rozjedni wyjechali na różne drogi szukać...

— Powozy wysłane?...

Daniło zdziwił się.

— Powozy?... Nie.

— Jesteście durnie. Czemże przyjedzie księżna?... Ruszaj do szorowni, niech wysyłają powozy. Podawać pieczyste — rzucił przez ramię do lokaja.

Strzelec wyszedł z nieokreślonem uczuciem niepewności w swej prostej duszy; czy książę przejął się możliwością wypadku, czy nie. Wszyscy jakoś potracili głowy. Jeden książę był spokojny. Widać tak jest po pańsku — myślał Daniło i gorączkowo zajął się rozesłaniem ekwipaży.

Po śniadaniu książę zjawił się przed stajniami, z zimną krwią wysłuchał relacji masztelarzy, obejrzał Mahmuda i cisnął przez zęby.

— Wściekły ogier!



Trzepiąc szpicrutą po swoich sztylpach, myślał: odważna Ena — lecz nawet sam przed sobą niechciał się przyznać, że on na tego konia niewsiadłby za nic.

Trwoga wśród dworu wzmagala się, gdy rozjezdni i powozy wracały z niczem. Nigdzie księżnej nie widziano.

Marszałek dworu, Onufry Orzęcki, starzec prawie stu-letni, odwieczny dworzanin rodu księżnej Bożenney w Jarowie, chodził jak struty i co raz kogoś nowego wysyłał na poszukiwanie.

Książę denerwował się tym ogólnym nastrojem dworu i sam konno, zwiedził bliższe drogi. Nadjechał wreszcie ostatni powóz pusty, z ostatnim rozjezdnym i masztalerzem. Podniecenie było niesłychane i już zupełna pewność katastrofy.

Służba cicho radziła między sobą. Spoglądano na księcia nieżyczliwie. Stary kamerdyner i Daniło okazwali największe zgnębienie, marszałek ręce łamał i cicho mruczał:

— Przepadło, zginęło wszystko! Jarów w rękach księcia na wieki wieków. Tegom się doczekał przed śmiercią.

A kamerdyner dodawał:

— Jak nie stanie naszej hrabianki, to z Jarowa trza umykać, bo tu psu będzie lepiej niż człowiekowi.

Daniło milczał ponuro i nie odstępował Mahmuda, jakby go chciał badać. Pałac głuchy, szepty i grobowe miny lokajów i garderobianych do reszty rozstroiły księcia Krystyna. Czuł się bezradnym i z przyczyny zamącenia swego spokoju bardzo nieszczęśliwym. Był zły, że jest narażony na tyle kłopotu i taką niepewność — z przy-

czyny tej szalonej Eny. Gniewała go i męczyła sytuacja, która niepokój wprost nakazywała, — on zaś bał się tyranicznie każdego odruchu silniejszych wrażeń i wszelkiego rozfalowania otaczającej go atmosfery. Właśnie z goryczą rozmyślał na ten temat, chodząc nerwowo po gabinecie, paląc, jątrząc się na żonę i lekko medytując co przedsięwziąć; bo instynktownie czuł, że cały dwór czeka już teraz na jego inicjatywę. Wtem usłyszał jakiś dziwny turkot na żwirowanym podjeździe. Obojętnie spojrzął w okno. Do ganku zbliżał się prosty wasążek zaprzężony w jednego konia, powoził chłop w siermiędze i rogatej czapie na kudłatych włosach, a za nim, na siedzeniu z kilimów, siedziała smukła, piękna amazonka, opięta w czarne sukno, i wesoło śmiała się do kogoś.

— Ena!...

Książę spojrzął głębiej.

Ujrzał cały tłum oficjalistów, służby wyższej i niższej zgromadzonej przed podjazdem. Wszyscy skoczyli do wasągu, koniuszy pomógł księżnie wysiąść z przygodnego ekwipażu, witano ją radośnie z widocznem uszczęśliwieniem. Stajenni oblegli wystraszonego Semena ze Smolarni. Chłop był pierwszy raz przed jarowskim pałacem, gapił się, rozglądał, drapał po głowie, rezolutnie jednak odpowiadał indagacjom dworzan, ośmielony i uszczęśliwiony niespodziewanie sutym napiwkem od księżnej.

Książę wzruszał ramionami.

Nagle z impetem wpadła księżna, rozbawiona, elegancka, promieniejąca. Trzymała w ręku amazonkę błyskając wytwornym butem, drugie ramię z pejczem uniosła wysoko w górę i zawołała z brawurą:

— Salve Sultano!

Książę był skrzywiony złym dąsem, milczał.

— Cóżes taki kwaśny Kryst?... Słyszałam, że umieras z niepokoju o mnie, tak mi tam nagadali. Ale widzę, że nic ci nie grozi szczególnego. Widziałeś mój wehikul?... na którym tryumfalnie wiózł mię ten chłop. U... ha! dzika jazda!... trzęsie, twardo, ale coś nowego! Witano mię za to owacyjnie. Widziałeś?!...

— Widzę, żeś... wesola...

— Eee!... to tak?... Sultano zły. No... za co?... Podbiegła do męża i zarzuciła mu ręce na szyję, całą figurą padając mu na piersi; przegięta zgrabnie, zajrzała mu w oczy, z komicznie przekorną miną.

— Kryst pocałuj... przeproś mię zaraz.

— Ja mam przepraszać, za tyle kłopotu?...

— Za to, że mię tak witasz oziębłe kwaśno.

Książę zaśmiał się ironicznie i odsunął ją od siebie.

— Nowy kaprys i jeszcze jeden wyskok ekscentryczności. Narażasz mię tylko na zdenerwowanie i psujesz równowagę całego dworu...

— Doprawdy?... Ty byleś zdenerwowany, to nie do uwierzenia. I czym?... mojem zniknięciem czy... naruszeniem twego spokoju?

— Niespokojny o ciebie nie byłem.

— Ach... więc nawet nie to?...

Twarz młodej kobiety ochłodziła.

— Wiem, że jeździsz jak... cyrkówka i miewasz fantazje zupełnie histeryczne.

— Możesz i ty jeździć ze mną jak... cyrkowiec. Pozwalam!

— Prosiłbym jednak, byś mię uprzedzała o takich eskapadach, choćby ze względu na postawę moją w obec

dworu, na moje nerwy, nieznoszące podobnych awantur... no i na moją sytuację męża, nieuświadomionego o warjactwach żony. Pewien takt przydałby się bardzo.

Książę cedził słowa obcinając wolno cygareto i nieprzyjemnie krzywiąc dolną wargę.

Kobieta zdjęła ręce z jego szyi, chwyciła znowu suknię i lekko zmrzywszy oczy, patrzyła na męża uważnie. Wesele i radość znikły z jej twarzy. Okrył ją rumieniec, usta krwawiły się ponosem i drżały uśmiechem, czy ironją.

— Czy wiesz przynajmniej, co się ze mną działo przez czas twojej... niewygodnej sytuacji. Ha, ha!...

— Jakiś nowy szus zapewne.

— O tak, nowy kaprys, nowa fantazja, nowa ekscentryczność! Ty, widzisz, jesteś bardzo dawny... a ja... trochę nowa i dlatego ty do moich... nowszych szusów nigdy nie nawykniesz, ja zaś, do tej szanownej twierdzy, w której zamykasz na cztery spusty swój... stary takt, również nie czuję pociągu.

— Widzę to. Chcesz być lżejszą.

— Od twoich doktryn... O tak! Wybacz, że cię naraziłam na tyle... fatygi. Adieu!...

Złożyła przesadnie głęboki, dworski ukłon i wyszła szybko z gabinetu.

Książę uznał jednak, że nie wyczerpał sprawy, zepsuła mu niemal cały dzień. Z niezmaconym spokojem podążył za żoną. Znalazł ją już przebraną i wesoło bawiącą się z małym Krysiem. Malec biegał za matką z krzykiem, walił nóżkami w dywan zanosił się ze śmiechu, wywracał kozły na poduszkach, aż skry tryskały z jego szafirowych ocząt, a bujne loki trzepotały dokoła ślicznej

główki. Ujrzawszy ojca spowaźniał na chwilę, popatrzał mu w oczy i rozbawienie uniosło go na nowo.

— Mamuś jechała z Mahmudem, potatuj... potatuj... a potem Mahmud bahatuj!... uciek i już! — a mamuś na wózkę snlyp-lyp, snlyp-lyp, ha... ha...! ha!...

Klaskał w rączki i rozdokazywał się na dobre.

Książę podszedł do żony.

— Spadłaś istotnie... Ena?...

— Nie.

— A cóż malec powtarza?... musiałaś mu opowiadać swoje przygody? Szczęszą jesteś przed synem niż przedemną.

— Mahmud bahatuj!... — wrzasnął Kryś nad samem uchem księcia.

— Ach... cicho smarkaty, dosyć hałasu! Niech go zabiorą. Nie lubię krzyków.

Malec stropił się, umilkł, łzy mu w oczach błysnęły. Księżna ucałowała dziecko i oddała je bonie.

— Może mi nareszcie powiesz, gdzie byłaś cały dzień?... — spytał książę.

— Czy cię to jednak interesuje?...

— Owszem, ze względu na widoczną niezwykłość tej wizyty.

— O tak, była niezwykłą — odrzekła księżna w zamysleniu nagłem. Odwiedziłam naszego pustelnika.

— Ach... tak! Interesujące towarzystwo. Parbleu!... wyszukana kompanja. I cóż z nim robiła tyle czasu?

— Pomagałam mu suszyć robaki i obdzierałam żaby ze skóry, dla badań przyrodniczych — zaśmiała się księżna Bożenna.

— Czy chcesz, abym odszedł?...

— O... nie. Nabrałam humoru i mogę nawet z tobą rozmawiać. Ty, Kryst, nieznasz profesora, to niepospolity człowiek.

— Pewno!! wybitne są nawet jego łaty na ubraniu i przetarte łokcie.

— No, salonowcem nie jest, lecz to nie może być miarodajne w obec jego inteligencji, jego idei...

— Maniactwa i abnegactwa. — Voilá! Nieznoszę ludzi nieubranych i bez wymagań, to daje mi pojęcie bardzo niskie o ich intelekcie.

— A ja ci mówię, że intelekt profesora jest bogaciej i lepiej ubrany niż wszystkich strojnisiów trzymających się niewolniczo mody — żywo odparła księżna. — Żebyś wiedział, jaką była nasza rozmowa, ile z niej można było zaczerpnąć światła, i pożytku, napewno zmieniłbyś o nim zdanie.

— Ach i oświecił cię, widzę.

— Zastanowił głęboko. Rzucił taki jakiś nowy promień — (tien! znowu nowy) na kwestje całkiem dla mnie obce, będące u nas w zupełnym cieniu, może nawet dla wielu nieznane.

— Mówisz tak poważnie, jakbyś roztrząsała mowy parlamentarne.

— Bo to rzecz poważna.

— Hm!... Ciekawe! Skądże zaczerpnął te promienie? Z lochów cytadeli, czy ze swego cygańskiego żywota i skwaterskiej karjery?

— Karjery nie szukał, jeno za nauką gonił, rezultaty której są już i będą znane. A my, wiesz Kryst, czem będziemy w przyszłości?

Książe podniósł brwi ze zdumieniem i spojrział na żonę tak, jakby obawiał się, że ma gorączkę.

— My będziemy zapisani z imienia, nazwiska, herbu i paranteli w naszym drzewie genealogicznem. Zostanie kilka naszych portretów i to... cały dorobek życia.

Książę badawczo obserwował mówiącą.

— Czyś się aby nie zanadto dziś strzęsła na Malimudzie, bo wiesz, że brędzisz.

Księżna miała silne kolory na policzkach, podniecenie jej rosło.

— Ty tego nie rozumiesz, Kryst, bo i ja nierozumiałam. My jesteśmy na niektóre rzeczy głuchoniemi, i dlatego my... my jesteśmy wiesz co?... oto wielkie okrągłe zera otaczające równie wielką kupę złota. Więcej nic... nic! świetna nicość! Ale to okropne!...

Nastąpiło długie milczenie. Książę ręce trzymał zanurzone w kieszeniach, siedział wygodnie na kanapie i z pod czoła patrzył w przestrzeń. Zdawało się, że widzi z oddali te wielkie zera i kupę złota w środku, że rozpatruje tę przykrą wizję i nad nią się zamyśla.

Księżna niezwykle wzruszona zbliżyła się do męża i splatając dłonie na piersiach szepnęła z przejęciem:

— Kryst... jakie to straszne! prawda, jakie to straszne... taka nicość...

Mężczyzna skierował wzrok na nią i spytał z żartem i wyraźną satyrą w głosie.

— Czy to wpływ tego obszarpanego profesora, czy też wspomnienie byłego... ideału, który nie otaczał kupy złota — bo jej... nie miał...

Księżna zerwała się jak ugodzona kulą. Wybuchnęła z pasją.

— Ale nie był... zerem!...

Drzwi zamknęły się za nią.





### III.

W pałacu jarowskim panował niezwykle ruch. Cała służba w komplecie krzątała się gorączkowo. Kamerdynerzy dyrygowali pokojowcami, główny ogrodnik ze swoim sztabem wyglądał dywanowe klomby, równał szpalery, ciął kwiaty na użytek pałacu. W kuchni pałacowej szykowano się jak do wielkiej batalji. Kuchmistrz cały w anielskiej bieli wezwany był do samego księcia na kulinarną naradę. Sam książę-pan dysponował obiadem galowy, co dowodziło, że feta będzie pierwszego rzędu. W kwestjach bowiem gastronomicznych świetności książę był niezastąpiony w pomysłach. Twórczość jego w tym kierunku znaną była ogólnie.

Kucharz na dyspozycję obiadu do księcia szedł z namaszczeniem.

Wszyscy byli uroczyście nastroszeni prócz marszałka dworu Orzęckiego, starego wiarusa, który po 31 roku błąkał się po świecie — a po 63 zesłany był na Syberję, teraz nagle jakoś zachorował, co mu się zawsze zdarzało, gdy w pałacu zjawiali się pewni goście. Staruszek mrugał zaczerwienionymi powiekami i bacznie obserwował księżnę, gdyż wydała mu się nieco inna, niż

zwykle, zresztą unikał wszystkich, patrzył tylko i zażywał tabaki, dyskretnie kichając, co dziwnie przypominało śmiech szyderczy.

Księżna Bożenna mniej była zaabsorbowana gośćmi niż jej małżonek. Trochę się leniła, a trochę ot — nie bawiło jej to. Robiła przegląd koni, które wysyłano do gubernialnego miasta po gości, ekwipaże zadysponowane przez księcia, zmieniała na nieco skromniejsze, dowodząc, że szkoda na taki kurz.

Argument ten nie przekonał koniuszego, gdyż o oszczędności księżnej pani miał on nieco odmienne pojęcie.

Księżna była dziwna, bo gdy ogrodnicy znosili drzewa egzotyczne w wazonach do dekoracji schodów i wspaniałego westibula, księżna kilka piękniejszych i rzadszych okazów odesłała z powrotem do cieplarni.

— Zaszkodzi im dym z cygar.

Zdumiony książę protestował.

— Chyba powinna być prezencja i wystawa jak najświetniejsza.

— Wystarczy i taka. Jarów nie gorszy od Pietierhofu, w którym zresztą oni zapewne nie byli.

Książę zżymnął ramionami.

— Już my się w obec nich nie powstydzim — dorzuciła księżna.

Rzadkie rośliny zamiast do cieplarni zaniesiono na taras wiszący, dokąd się wchodziło z sali stołowej.

Gdy przyniesiono kwiaty do ubrania stołu, księżnej błysnęły oczy. Przepyszne róże Maréchal Nil — róże białe, niezwykle cudne i jakieś wyszukane, pastelowe seledin, chluba jarowskich cieplarni, księżna z chciwością

oddzieliła od reszty kwiatów, co do jednej sztuki, wręczając je pannie służącej.

— Te, do moich apartamentów.

— Tu fait des polies, Éna — denerwował się książę. Zostawiłaś same jaskrawe kolory.

— Mais puisque c'est dans le genre orientale.

Książę zaciął usta, zły. Nie zwracał już uwagi na ekscentryczności żony, zajęty witaniem przyjeżdżających, bliższych i dalszych magnatów rodowych, lub tylko finansowych oraz stopniowaniem uprzejmości dla każdego z nich, w czym książę również był niezrównany. Gdy przed wyniosłym portykiem pałacu stanęły ekwipaże jarowskie i wysiadały paradne uniformy, wylew grzeczności i uczuć księcia dosięgnął maximum.

Wspaniały salon w stylu któregoś z wielkich pierwowzorów francuzkich zapelniał się po brzegi gośćmi, jak piękny puhar winem z różnych piwnic i beczek. Był więc tam i złoty, stary maślacz i skromniejszy, lecz szlachetny, czysty płyn i zwykły cienkusz tylko z bogato etykietowanych butelek, były i męty i zbyt obfita piana lśniących mundurów, rażąca nieco w tym puharze pieni się i puszy, lecz z kryształowych brzegów puharu zaraz zda się wypadnie. Była jednak i nawet czarowała maślacz. Potworzyły się w salonie małe grupki — towarzystwa, tylko wzrok i słuch wszystkich biegł do punktu kulminacyjnego, przy którym koncentrowały się same tuzy okoliczne i damy.

Tym punktem świetlanym był świetlany istotnie z miny, z twarzy rozpromienionej, błyszczących akselbantów i szlif wielki, okazały, mięsisty, kościsty i krwisty gubernator, Mussin-Puszczew.

O teni, że się zwał jeszcze Iwan Trofimowicz, wiedzieli tu również, lecz rozmawiano po francusku, zatem wystarczało europejskie — monsieur le generale — co dygnitarza wprawiało w zachwyt, gdyż ranga generalska zaledwo mu się uśmiechała.

Iwan Trofimowicz Mussin-Puszczew był wymowny i elegancki, do mężczyzn zwracał się z typowym uśmiechem łaskawcy, uprzejmie bez zarzutu, tylko z wyraźnym poczuciem swej narodowej wyższości. Dla dam Mussin-Puszczew miał zawsze rozkoszny uśmiech oddanego im i pokornego sługi — dla dam gotów był wszystkich porąbać dokoła, tylko dla siebie prosić o łaskę.

I niewiasty znalazły się na jego rycerskości, czarował kobiety, zachwycał mężczyzn.

Rozmowa toczyła się lekka, salonowa; trochę polityki zagranicznej, omawianej głośno i swobodnie, okraszanej dowcipem często satyrą. Gdy temat ten zbliżał się ku stolicy nadnewskiej, tempo opadało, dowcip bladł, jakby skrępowany, atmosfera nie rozgrzewała się pomimo pozornej swobody i nawet pomimo niesłychanej większości bardzo zgodnych zapatrywań z świetnymi uniformami. To tak, jakby słońce zachodu nęciło i grzało, północ zaś mroziła nieco.

Ale Mussin-Puszczew był wyjątkowo uprzejmy i pewny, zresztą większość towarzystwa zupełnie się z nim lojalizowała. Nie było obaw, ani nawet tremy, tylko niewykorzeniony jeszcze doszczętnie atomik mikroskopijny, nieufności rasowej. Gniewał lecz tkwił. Damy były powabną zwrotnicą w momentach, gdy atomik ten pominał się, ciekawe ploteczek dworskich i stolicznych atakowały gubernatora z dobrym skutkiem.

Mussin opowiadał barwnie, zabawnie, zdradzając pewne zamiłowanie do tematu, rzeczy mniej cenzuralne, obiecywał mężczyznom opowiedzieć osobno, robił przytem minę tak łobuzersko dyskretną, że panie płonęły z ciekawości, dopowiadając sobie resztę i odgadując często o wiele drastyczniej. Zresztą Mussin zbytnim purytaniem nie był, wiedział, że lubią tu ostre pikle w rozmowie, miał jednak spryt i wiedział jak niektóre gatunki podać należy, o innych zaś tylko nadmienił, co bajecznie wzmocni ich smak, przez sugiestję.

Bawiono się wybornie.

Przy pięknym fortepianie siedząca hrabina Eustachowa, lśniąc urodą i butonami w uszach, prowadziła zgrabny flirt z adjutantem gubernatora, młodym, wymuskany oficerem o typie tatarskim, który wyznał jej, iż jest kozakiem z nad Donu z kniaziowskiej rodziny. Hrabina odrazu nazwała go atamanem i znalazła w nim wybitne podobieństwo do Bohuna dlatego, że nosił grzywkę i palące miał oczy, hrabina była na to czuła. Młody adjutant kozak, pomimo obycia klubowego i w salonach gubernatora tropił się narazie w towarzystwie świetnej i swobodnej polki, lecz jej oczy tak obiecywały, głos wirtuozowsko wibrował, tak go brała, że nowy ataman rychło uczuł gorący prąd w żyłach, jak po kieliszku dobrego koniaku. Żrenice czarne zapaliły się, rumieniec okraszył wypukłe trochę z tatarska policzki, zafalowały nozdrza młodego stepowca i swoboda, nawet werwa buńczuczna silnym bałwanem buchnęła w jego wschodnią naturę. Hrabina z zadowoleniem obserwując te zmiany dońca — zanotowała nowy swój tryumf.

Trzeci z przybyłych, jakiś dostojnik, którego zwano ekscelencją, był błyszczący strojem, lecz ponury, mało-mówny. Zerknął na towarzystwo maleni jak pieprz oczkami i ciągle coś żuł, niewypowiedane słowa czy dym z cygar, <sup>99</sup> podszedł do grupy z gubernatorem, lecz tam pobity został dowcipem i elegancją Mussina, podsunął się tedy do fortepianu, lecz Blüthner odrazu zadzwieczał pasażami. Przytem piękna pani tak pilnie wskazywała coś w nutach adjutantowi, że błyszczący dostojnik i tę placówkę uznał za straconą. Stał przeto przy pudelku z cygarami i zaczął z zajęciem czytać etykiety. Otoczyło go kilku panów, lecz obopólnego zadowolenia nie było. Dostojnik nie umiał się asymilować. <sup>100</sup> Dym nie pociągał mężczyzn — nie bawił. Patrzył za to na gubernatora z miną jakby się dziwił, że rozsiewa humor i dowcip bez celu. Co mu na tem zależy, order za to dostanie czy co?... Wielkie to pany, no tak „polskije kniazia“, a już mieszkają „tak rozkosz“, ale w Petersburgu oni nic, ni plecy, ni protekcja, ot sobie zabawa gubernator to lubi, tak się i bawi.

Dla niego chluba, że z takimi panami przestaje, zawsze to miło, a dla nich też zdaje się honor niemają z wysokiem „<sup>101</sup>paczalstwem“ tak sobie żyć jak „druzja“. Wielkiego zysku z tego niema, ale przyjemnie choćby ot, takie cygara palić i wina sławne jarowskie spijać. Urzędnik uznawał to wszystko, lecz i sam używając nie czuł się w obowiązku odplacać za to towarzyskimi zale-tami. Niech się gubernator trzodzi i ten młody „szalun“ co jemu do tego?... Zaczął przeglądać obrazy na ścianach. A były piękne. Dostojnik na sztuce się nieznał, zainteresowały go więc najżywiej portrety królów pol-

skich, podziwiał bohaterską postać Sobieskiego, piękność Marysieńki i wielkich rozmiarów portret Barbary Radziwiłłówny, z którą ród księcia Krystyna z kuzynowanym był blisko, w epoce, w której żyła. Dostojnik zapatrzył się w oblicze pięknej męczennicy na tronie, w tem usłyszał za sobą głos gospodarza domu, mówiący po rosyjsku, gdyż dostojnik w francuzczyźnie trochę kulał, książę zaś nieznosił kulawego języka.

— Wspaniała postać — co? — rzekł książę.

— ~~Jm~~. da!...

Książę wpadł w lekki patos.

— Postać ta musiała być na tronie, ta głowa musiała dźwigać koronę.

Czarne pieprzyki oczu dostojnika zerknęły na księcia nieco ironicznie.

— Dlaczego „musiała“ — spytał sucho?... — U was polaków tak wszystko zaraz musiała. Żeby Barbara nie była taka piękna, takby jej Zygmunt August nie dopatrzył, nie zachwycił się, nie umiłował i ot by nie musiała. A!...

— Szlachetność i piękność jej duszy była wybitna i warta tronu nie tylko uroda.

— Nu tak, ale uroda była protekcją pierwszą i ona podsunęła tę szlachetną, jak kniaź mówi, głowę pod koronę. Żeby była mała, gruba, kaprawa, dziobata, tak i szlachetności za takim piecem ukrytej nikt by nie dopatrzył. Tak cóż — „musiała“ — nie dynastka wszakże a poddanka, nie wybór narodu, ni zasługi osobiste, a uroda i miłość króla ukoronowała ją. Ot jak...

— To blizka krewna naszego rodu — dorzucił książę dumnie.

— Ja słyszał. A ta — ot, Sobieska... to także krasawica.

— Ach Marysieńka! No, ją tylko uroda zrobiła królową Polski.

— A ona też wasza krewna?...

Książę przymrużył oczy i usta wydał. Głos mu trochę skrzypnął.

— Nie jesteś biegłym w historii naszej, ekscelencjo. Marja Kazimiera była francuska.

— Nu tylko szlachcianka d'Arquien. Żeby tak Bourbonka jaka, albo Valois, tak to innego. A!...

Książę zmarszczył brwi. Dostojnik uśmiechał się drwiąco.

— A Maryna Mniszchówna, też z waszych wielkich rodów. Ot, ona to nie tyle musiała, ile chciała być carową, nieudawało się biednej. Byłaby parantela znaczna... jakby się powiodło.

— Prelest!

— Nie imponowało nam to — sucho rzekł książę i odszedł w stronę.

— Jaka to różnica z Mussinem — szepnął do siedzącego samotnie na narożnej kanapce starego bardzo stryja swej żony, który rozmowę słyszał.

Wiekowy magnat odrzekł apatycznie.

— The!... Mussin w aksamicie, a ten we własnej skórze.

Książę był niezadowolony, podążył naprawiać humor do grupy z gubernatorem. Do samotnie siedzącego starca zbliżył się błyszczący dostojnik i siadając obok na fotelu, spytał po rosyjsku.

— Książę pali?...



Wyblakłe oczy magnata spojrzały z chłodną satyrą.

— Jestem hrabią — odrzekł zimno.

— A... pardon. Może cygaro?...

Podał hrabiemu złotą papierośnicę.

Starzec zaprzeczył głową.

— Nie palę, dziękuję — brzmiała polska odpowiedź.

— Hm!... Ju... da!... Wy graf zdaje się z Polszy?...

Hrabia milczał, jak niewzruszona skała, był zakłopotany.

— Wasz ród w Polszy osiadły i „imienja“ wasze tamże. Ja słyszał tam bogaty kraj, no wszystko taki nie Wołyń — nie Rosja.

Popatrzał z ukosa na chłodnego magnata.

— Wy graf nie rozumiecie po rosyjsku. A?...

Starzec zrobił giest potwierdzenia, z bladym półuśmiechem.

— Ju... da!... A ja nie rozumiem po polsku, ot jak. Złośliwy uśmiech błysnął mu na wązkich wargach.

— A u was tam, język rosyjski nie potrzebny w Prywislinji. A!...

Magnat zatrzęsł się, purpura wystąpiła mu na blade policzki, zatrząsał jakoś rękoma i ciężko dźwignął się z fotela. Surowe spojrzenie rzuciwszy dostojnikowi, rzekł głośno i dobitnie.

— Nie!... pozwalamy wam zabrać go z powrotem do... do... Nadwołginji...

Dumnie skinął głową i posunął się w stronę drzwi.

Rosjanin zaśmiał się zjadliwie.

— A ot, taki zrozumiał!... i zęby ma zdrowe. Nu...

Hrabia brał już za kiamkę, gdy prawie podbiegł do niego Mussin Puszczew, rozpromieniony, w lansadach, arcy uprzejmy z francuzczyzną na ustach.

— Hrabia odchodzi?... Dlaczego?... Prosimy zostać, ciekawa kwestja się rozstrzyga. Proszę nam dotrzymać towarzystwa.

— Za starym już... panie gubernatorze do... towarzystwa, muszę odpocząć.

Mussin zniżył głos.

— Hrabiego uraziło coś w rozmowie z ekscelencją, proszę tego nie brać do serca... On trochę „istiennyj“ hrabia rozumie?...

— Wybornie i... muszę odpocząć. Żegnam pana gubernatora.

Wymiana ukłomów; bardzo wylanych grzeczności Mussina i sztywnej uprzejmości hrabiego, poczem starzec wyszedł z sali.

Gdy wsparty na ramieniu kamerdynera, schodził z ostatniej kondygnacji bogato ustrojonych schodów, ujrzał wchodzącego do przepysznej sieni pałacowej starzego człowieka, którego cała postać i fizjonomja zainteresowała żywo magnata.

— Kto to?... — spytał.

— To — pustelnik — jaśnie wielmożny panie hrabio.

— Pustelnik?... Cóż to?

Kamerdyner cicho opowiadał hrabiemu znaną mu biografię pustelnika ze Smolarni.

— A... a!... tak... pisała mi księżna... — mruknął starzec. — Ciekawy człowiek!

Hrabia kazał się zaprowadzić do parku.

Profesor Medard Hruda zdejmując palto, również wiekowe jak on sam, z pomocą kilku lokajów, którzy pomimo wyszarzonego palta z wielkim szacunkiem byli dla — pustelnika — rozglądał się ciekawie po dekoracji klatki schodowej, przedpokoju i dziwił się w duchu.

— Cóż to za feta — myślał niespokojny.

Służby pytać niechciał i nie miał tego zwyczaju. Zaproszony niesłychanie serdecznym listem księżny Bożenny, wahał się trochę, jechać czy nie?... Lecz niechciał zrobić księżnie przykrości, siadł więc do przysłanego powoziku, a teraz zdumiewał się, co znaczy ta wspaniałość galowa jak na przyjęcie króla. Kto są ci goście, o których księżna nawet nie wspomniała, czy też jaką jest ta uroczystość w pałacu? Jakiś dziwny dręczył go niepokój. Wstępował na schody onieśmielony trochę. Gdy lokaj chciał go zaanonsować w sali, Hruda zatrzymał go za ramię.

— Daj spokój, kochanku, wejdę sam.

Cicho otworzył drzwi i... stanął jak wkopany. Bystre oczy pustelnika błyskawicznie przemknęły z grupy otaczającej gubernatora, na grupę przy fortepianie i spoczęły na dostojniku, który rozmawiał obecnie bardzo żywo z księżną Bożenną. Nikła, starcza postać profesora, w ramach wyniosłych machoniowych drzwi i ciężkich, kosztownych portjer, zarysowała się migawkowo jak widmo i natychmiast znikła. Drzwi zamknęły się bez szelestu. Kilka osób, między nimi gubernator, dostojnik i księżna zauważyli jednak małe intermezzo. Mussin odczuł coś i udał, że nic nie widział, ekscelencja zainteresował się, charakterystyczną postacią cofającą się tak nagle, lecz księżna, mocno zarumieniona nie okazała chęci do tłumaczeń.

Pustelnik zaś zbiegał ze schodów dużo energiczniej niż wchodził. Zdumionych lokajów spytał o marszałka dworu.

— Pan Orzęcki chory.

Miny służących wydały się profesorowi zagadkowe.

— Kto tam jest?... — wskazał głową na piętro.

— Gubernator Mussin-Puszczew, z adjutantem swoim i ekscelencja...

— Dobrze, dobrze... to wystarczy... pójdę do marszałka...

— Zaraz obiad, panie profesorze.

Księżna pani...

— To nic, to nic — machnął ręką stary i wyszedł z sieni.

Kamerdynerzy spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

— To już trzeci — któryś mruknął.

Pan Medard Hruda nie szedł lecz pędził prawie różową aleją w głąb parku. Był z odkrytą głową, siwe włosy rozwiewał lekki wiatr, szerokie kroki i podniecone rzuty ramion i rąk, znamionowały, że profesor jątrzy się w duszy, że coś go ze zwykłej równowagi wyprowadza. Parę głośnych słów wydarło się ze wzburzonej piersi.

— W polskim domu?... taka pompa przyjęcia?... Taka braterska familarność z *nimi*?...

W tem Hruda zatrzymał się nagle; w gąszczu jakichś drzew egzotycznych, wpadł prawie na kolana starego hrabiego, który tu samotnie siedział na ukrytej ławce kamiennej.

— Ach... stokrotnie przepraszam...

— Proszę bardzo — uprzejmie przemówił hrabia — profesor Hruda — wszak prawda?...

— Tak jest, Medard Hruda.

Hrabia wymówił swe nazwisko, podając rękę serdecznie.

Pustelnik wziął dłoń magnata w obie ręce i gorąco ją uściskał. Twarz mu trysnęła radością.

— Więc hrabia Salezy, stryj księżnej Bożenney?... Jak żem szczęśliwy, że mogę poznać osobiście, tyle słysząc... wiedząc...

— Ja również... ja również... siadaj profesorze. Gdzież tak pędziłeś, jakby cię gonił najzaciętszy wróg?

— Tak ot... sobie... uciekałem...

— Od czego?...

— Ot... panie hrabio, stary już jestem.

— Tak... Och tak!... obaj starzy jesteśmy.

Długa chwila ciszy.

— Ot, ot... dziwny<sup>ak</sup> jestem, hrabio.

— I ja dziwak, profesorze.

Znowu milczenie.

— A tam młodzi... bawią się — rzekł hrabia Salezy.

— Bo młodzi.

— Był tam, profesor... na górce?...

— Byłem.

— Chyba krótko?...

— Tak... niedługo sobie.

— Cóż... socjeta?...

— A ot... jakby nie koniec a początek stulecia walk i niewoli, zdawało by się, że to czasy przed kampanją dwunastego roku, lub księstwa warszawskiego. Tylko... inny krój mundurów, zdradza obecną epokę.

Stary magnat oparł się silniej na lasce.

— Tak... tak... panorama polskich salonów z Aleksandryjsko-napoleońskiej doby. Wtedy była lekkomyślność, nadzieje, iluzje... dziś... po Nowosilcowie, Muchanowie, po szturmie Paskiewicza po pięciu poległych i 8 kwietnia 1861 r. po pamiętnem „point de réveries“, po styczniowej insurekcji, po Murawiewie. Trepowie, po Nerczyńskich, cytadelach, najdzikszych ukazach, Apuchtinach, pogromach na Unii, obostrzeniach językowych i religijnych, po tem wszystkim to... teraz... razi... zdumiewa...

— I boli — mruknął Hruda.

— Tak i boli, rani najświętsze uczucia. My, profesorze, obcowaliśmy z bólem, więc on nas dosięga jak starych znajomych.

— Ale i ból, hrabio, bywa różny, czasem występuje jako wynik tragizmu, nieszczęścia, a czasem zatruty bywa jadem ohydneho gadu, który go rodzi.

— Wstydu — cicho dokończył hrabia.

— Ot... i taki ból jest najzłośliwszy.

Obaj starcy umilkli, osnuci pajęczyną posępnych myśli. Siedzieli cicho obok siebie, hrabia zwiesił głowę na splecione dłonie oparte na lasce; profesor położył ręce na swych kolanach i wedle zwyczaju bębnił palcami. Spojrzał parę razy na hrabiego wzrokiem pełnym sympatji i przemówił pierwszy.

— Co księstwa skłania do... takich stosunków?...

Hrabia poruszył się żywo.

— Próżność?... moda...

— Próżność?... — nierozumiem, hrabio. Księżęta na Jarowie zadawalniający w ten sposób swoją próżność?...

Magnat przeszył go wzrokiem.

— Mylisz się nieco profesorze. Hrabiowski ród na Jarowie, to... to nie książę Krystyn.

— Prawda... zapomniałem. A widzisz! To naleciałość litewska, z Białorusi przywieziona, tego i tu niebywało. Krystyn mógłby taką modę konserwować u siebie... tam, tu już nie zaszczepiać podobnych ablegrów.

— Przyjąć się mogą — dodał Hruda — bo przykład idący z takiej góry jak Jarów, może się rozkrzewić, lecz rezultat raczej szkodliwy... a przede wszystkim... szadki w smaku.

— O to właśnie idzie, że oni smaku tego nie rozumieją — mruknął hrabia.

Profesor zastanowił się.

— To może nawet nie jest winą księcia, nie zna goryczy ten, kto jej nie kosztował. A wszakże ani książę Krystyn, ani chyba nikt z jego rodu nie przeżywał w setnej części tego, co przeżył i przecierpiał hrabia. W rodzie księcia nie zakwitła nigdy idea wolności narodu i kraju, krwawe wizje insurekcji nie zaćmiewały im snów młodzieńczych. Ugoda była ich mamką, lojalność kierowniczką...

— Carskie anticamery karjera, a białe spodnie kamerherskie szczytem marzeń — dokończył hrabia Salezy.

— Ot... ot... wobec tego...

— Chcesz powiedzieć profesorze swój swego znalazł...

— A ot już tak, trochę to, a trochę jeszcze inną miałem myśl; mianowicie, że książę jakkolwiek do takiego towarzystwa więcej pasuje, niż księżna, to jednak nie jest wybrednym, bo ot... ot taki Mussin, ani jego kompanja, nawet, sądzę w carskiej anticamerze nie bywali.

— Hm!... Mussin tak, ale ten eksceleńcja... Z Nadwołginji, który zasz...czy...cił mię rozmową, może pójść z czasem w górę... aż na piedestał „Wieszatiela“, jest prawomyślny — wycedził hrabia wolno i z należnem uznaniem.

— Sądząc ze słów hrabiego zgaduję, jak prawomyślnie dostojnik ten wyraża się o Polsce.

— A... tak... miałem sposobność usłyszeć to właśnie.

— Miła kompanja!

— Tak, zaszczytna!...

Szybkie kroki na zwirowanej ulicy, zbliżył się kamerdyner.

— Jaśnie wielmożny panie hrabio, obiad podany, księżna pani czeka na jaśnie wielmożnego i na pana profesora.

Hrabia z bladym uśmiechem łagodnie popatrzał na służącego.

— Mówilem ci już — kochanku — abyś mię tak... niesłychanie nie jaśniował, ja tego nie lubię, tytuł... wystarczy. A na obiad — to uważasz nie przyjdę, słabym i... głowa mię boli. Księżnie powiedz, że jestem niezdrów. Pan hrabia trochę niedomaga i przeprasza, że na obiad nie przyjdzie. Tak trzeba powiedzieć. A pan, profesorze?

— Ja ot... ot... niegłodnym i... już tak wolałbym dotrzymać towarzystwa hrabiemu, jeśli nie znudzę.

Magnat położył rękę na kolanie Hrudy.

— Frazesy odrzucimy! Będziemy za tem obiadowali u... pana marszałka Orzęckiego w pawilonie.

Kamerdyner zrobił wielkie oczy.



— Tak — kochanku — niech nam podadzą obiad w pawilonie.

Po odejściu służącego obaj starzy uśmiechnęli się prawie jednocześnie, każdy do swojej myśli, hrabia wyraził ją pierwszy. Wesoło i rzeźko zawołał.

— Dezercja od etykiety i władzy. „Niebłagonadziejność przystąpienia“.

— Ocalejemy od widoku akselbantów — dodał drugi.

— I lepiej strawimy obiad galowy, we trójkę z poczciwym Orzęckim.

— Znasz go profesorze?...

— Wybornie. Odwiedza mię czasem w Smolarni.

— Zaczyna to dusza i także... uparciuch!

— Czy chory istotnie?

— Eeet!... Nieprzyzwyczajony do takich — galówek. — A... to twarda sztuka! powstaniec, emigrant, sybirak, krótko mówiąc męczennik.

— Towarzysz hrabiego.

— Tak, ale mniej straciwszy, więcej, och. dużo więcej przecierpiał. Idźmy do niego, sądzę, że będzie nam rad.

W parę godzin potem, do skromnego pokoju w pawilonie, gdzie dwaj weterani i pustelnik gawędzili poufnie a serdecznie, weszła nagle księżna Bożenna. Zatrzymała się w progu i obrzuciła wzrokiem grupę przy kominku siedzącą, w blasku ognia i krwawej łuny zachodzącego słońca. Księżna zaśmiała się.

— Otóż to właśnie, byłam pewna, że was tak zastanę! Naturalnie grzmią armaty z pod Olszynki, Stoczka, Siemiatycz, Wegrowa i różne tam takie wspomnienia szawilskich czasów, w opowiadaniu których

„Siałek-Żęcki“ jak mój syn marszałka nazywa — jest niezrównany.

— Oho, księżna pani nawet nie wie, jak mały Kryś lubi, gdy udaje armaty, tak... bababach!... — zaśmiał się stary weteran, grzecznie zapraszając księżnę do środka.

Weszła szybko i żywym giestem podała rękę pustelnikowi i Orzęckiemu.

— No, na chorych nie wyglądacie moi panowie. Chciałam dokuczyć wam za taką skandaliczną ucieczkę i przysłać bardzo dyjetyczny obiad, lecz... je suis bonne fille — pożałowałam moich dezertarów.

— Słusznie zrobiłaś Bożenko, bo apetyty nawet mieliśmy niezłe. — Zaśmiał się hrabia.

— A cóż... gubernatorski obiad, pomysłu mego małżonka, nie podlega krytyce, co?...

— Owszem, pod jednym względem — rzekł Hruda.

— Patrzcie!... pustelnik krytykuje — zawołała księżna zabawnie. — Pan taki wyjątkowo niewybredny w potrawach, cóż pan znalazł w obiedzie złego, czy niesmacznego...

— Hm... ot... ot... już tak — oto nazwę, jaką mu księżna nadała.

— Tak, tak, nazwa popsuła wykwiutną całość. Ale nam obiad smakował, bo etykieta jego została w pałacu — wesoło dorzucił hrabia.

Cień przebiegł przez twarz księżny. Profesor podszedł do niej i serdecznie ujął jej rękę w swoje dłonie. Głos starca miękko zabrzmiał i mile.

— Proszę wybaczyć dziwakowi — taki... ot jestem... rzadki w języku. Niech księżna raczy usiąść, ot tu, przy stryjaszku i posłucha tych armat z pod Siemiatycz...

bababach!... buch!... Zaraz się w duszy lżej zrobi i łatwiej się zrozumie naszą niechęć do niektórych etykiet, wedle wyrażenia hrabiego.

— Muszę wracać do gości — szepnęła młoda kobieta.

— Kiń ich, księżno, na kilka minut, zabawią się i sami.

— Zostań Bożenko z nami,, Wiesz co... każ nam przynieść wina, maślacza. Urządźmy tu sobie małą konspirację pod bokiem władzy i... w orbicie świetlistych orderów tego ekscelencji... A... a!... patrzcie w okno.

Spojrzeli wszyscy, księżna cofnęła się w tył.

— Hrabina Eustachowa i mundur rosyjski w czułym tête à tête — sarknął hrabia Salezy.

— Adjutant Mussina, książę Czugajew z nad Donu — informowała księżna.

-- Tatarczuk, Czahán, z czasów Czingis-hana lub Tamerlana, znać to po nim wybitnie — skrzywił się magnat.

Księżna z impetem pobiegła do drzwi.

— Bożenko, chyba niechcesz przerwać flirtu tej dobranej parze?...

-- Każę podać maślacz.

Po chwili księżna siedziała w głębokim fotelu, staroświeckim, z oparciami po bokach na głowę, i przytuliwszy skronie do zimnej ceraty słuchała dalszego opowiadania Orzęckiego.

Na wielkim kominku trzaskał ogień suty, mrok omytywał komnatę, zatracając w sobie postacie siedzących osób. Tylko księżna w jasnej sukni, w ramach fotelu, rysowała się wybitnie i dwie siwe głowy starych ludzi uwypuklał blask ognia. — Orzęcki schowany w cieniu

ledwo majaczył suchą, sokolą głową, wysuniętą naprzód na cienkiej szyji, lecz głos jego wypełniał cały pokój i niekiedy brzmiał jak surm bojowy.

Straszne obrazy po zdobyciu Miechowa, okrucieństwo i dzikość żołdactwa, potworne rozkazy dowódców, mord, grabieże, ohydne pastwienie się nad ludźmi, bezczeszczenie kobiet, znęcanie się nad miastem i okolicą przechodzące miarę tyranji i zwierzęcej zaciekłości — stary weteran jasno i prawdziwie, z siłą lecz spokojnie rysował przed słuchaczami. Nie ubarwiał jaskrawiej, nie egzaltował się, opowiadał to, co naocznie widział, co w sercu jego, młodzieńcem natenczas wryło się niezatartemi zgłoskami, odmalowało się obrazem tak plastycznym i krwawym, że czuł jeszcze dotąd ciepło krwi płynącej wówczas strugami, krwi męczeńskiej polskiej, przez moskiewskich siepaczy wytoczonej, że słyszał jęk hańbionych pól, przez zbydlęcone bestje kozackie, widział pożogę miasta, spustoszenie i gruzy, wszystko to na nim jak na kliszy się odbiło wyraźnie i trwale, — retusz był już zbyteczny.

Wspomnienia krwawe szarpały jego starcze serce, wstrząsały do głębi duszy słuchaczy. Dzień 27 lutego 1863 r. jakby powstał z pomroki lat, odżył i stanął wizjonersko przed oczyma tych, którzy udział w nim brali którzy nosili dotąd blizny po ranach otrzymanych w tym dniu pamiętnym. Hrabia Salezy przerywał niekiedy Orzęckiemu nagłem „zaczekaj Onufry“ i sam opowiadał epizody z ataku generała Kurowskiego, w którym walczył osobiście, wraz z całą prawie Akademią Krakowską.

Sławną szarżę żuawów Rochebruna na bagnety, hrabia przedstawił z taką młodzieńczą werwą, z taką prawdą i mocą, że w pokoju szczękały zda się żelaza

oddziału dzielnego francuza, że się słyszało szalony pęd i furję atakujących, że pokój stał się pobożowiskiem, na którym leżały stosy trupów; że pokój ten stał się kaplicą, w której spoczywało stu pięćdziesięciu studentów Akademji Krakowskiej snem wiecznym i w której stu jęczało rannych. A gdy zmęczona pierś starca umilkła, bo łkanie zatamowało mu słowa, cisza śmierci zaległa pokój, cisza wiekuistej chwały tym, którzy tu w wizji z martwych powstałi, których krew nie zaschła i rany się nie zabiżniły w pamięci rodaków.

— Czy wszystkich?... — pytanie to ukłuło jak sztyletem pierś księżny Bożenny.

Zamajaczyła w wyobraźni księżnej postać młodzieńcza, zapalna i bohatera sama idea, którą żyła. Tamten tak samo myślał, tak samo czuł, jak ci starzy, naoczni świadkowie krwawych zapasów za wolność, chociaż i on był tylko wnukiem czynnego wówczas powstańca-partyzanta. W jego pamięci krew wylana przez dziada nie zaschła, nie zgoiły się rany. Księżna lekko drżała, bo tę postać dzielną, twarz wybitną i głos metaliczny, stworzony do rozkazywania, ujrzała w swej wizji jak na jawie. Wionął na nią podmuch wiosenny dziewczęcych lat własnych, fala niosąca w sobie żar jakiś nieznany już dzisiaj i jakby woń fijołków i rozkwitłych łąk marzenie pierwszej wiosny życia, pierwszego, ach i jedyne go uczucia, obraz nie zatarty, jeno pokryty mgłą oddalenia kilku lat, jeno posunięty brutalną siłą nie równości szczeblów drabiny sterowej. I zapatrzyła się w tę przeszłość tak niedawną, a tak już beznadziejnie dla niej straconą.

Głucha cisza trwała, jeno syczały głównie w kominie, jeno szepty jakieś i szmery błąkały się w pokoju.

Spłynęły doń duchy poległych bohaterów, duchy jasne, w glorii męczenników za najdroższą sprawę. Cały ich hufiec stanął w półcieniu; rany mieli na sercach, krwawe czoła, blade, natchnione oblicza. Oczy ich z za świata patrzące obejmowały spojrzeniem byłych towarzyszy broni, byłych kolegów, przyjaciół, żyjących z niezagasłym płomieniem w piersiach, z jednaką potęgą miłości dla ojczyzny w starganych sercach, z krzywdą, od której ugięły się ich barki z mocą wytrwania wszystkich prześladowań, z żywą pamięcią w mózgach, którą już do mogiły poniosą i przekażą wnukom, ogień ten zaszczepią w serca młodych pokoleń.

— Czy zaszczepią?... — zabolalo znowu w piersi książęcy pytanie.

— W nim zaszczepiły — cicho odpowiedziało serce.

Szmery w pokoju rosły, hufiec poległych powiększał się, stawał się tłumem, masą. Nikłe już języki ognia pełzały po smętnych postaciach dawnych wojowników, dawnych ideowców, szlachetnych zapaleńców i bohater-skich wyrazicieli ówczesnego ducha w narodzie. Ten sztandar drogi dzierżą jeszcze ręce żyjących starców i ci się z nim nie rozstaną. Oddadzą go w młode ramiona, by na nowo rozwinął się, by donośny chrzęst jego słyszał cały kraj i kochał ten łopot zwycięzki, jak się kociła dostojny szum orlich piór.

— Czy ukocha?... — śmignęła ostra strzała pytania drasnawszy serce książęcy.

— On ukochał, on kocha ten orli szum.

Cisza. Wtem szeptem prawie ozwał się pustelnik — jakby intuicyjnie odpowiadając książęciu.

— Nie byłem ja — niestety — z wami w tych krwawych bojach, nie patrzyłem na rzeki krwi, na pożogi, mordy, hańbę, nie słyszałem jęków zabijanych, nie sądzonem mi było brać w tych zapasach takiego udziału, jak był wasz bohaterski, nie nacieszyłem się bronią, nie zboczyłem jej w krwi moskiewskiej. Och wolałbym pole, partyzantkę, nawet rany i śmierć niż widoki, które ot... ot... na całym życiu piętno wywarły i niezagojoną ranę w sercu zostawiły. Dziesiąty pawilon, kazamaty cytadeli, grasowanie Berga, Milutina straszliwe sceny codziennych śledztw, szubienice i egzekucje na stokach cytadeli, tyranja, okrucieństwo, łzy i krew bezbrojna i tak co dzień, co dzień. Echa z przebiegu powstania dolatujące w te potępieńcze mury przez co raz nowych więźniów zrywały w człowieku ostatnie siły do wytrwania w męczarniach tortur fizycznych i duchowych... Wyście się bili, ja na konspiracji przyłapany, sercem i duszą byłem w polu, słuchałem echa armat i szczęku broni zamknięty w oślizgłych od wilgotnej pleśni murach fizycznie oddany na pastwę ohydneho robactwa, brudów, wilgoci i batów z ołowiankami, moralnie toczony przez żmiję rozpaczy wygryzającej mózg i serce. A echa z Litwy? Szeroka sława Murawiewa-wieszatiela. A ponury dzień 5 sierpnia 1864 r.: powieszenie członków rządu narodowego. Przy egzekucji, kilku więźniów z dziesiątego pawilonu, między nimi i mnie, trzymano obecnych i kazano patrzeć na stracenie Trauguta. A gdyśmy do niego ręce wyciągnęli błogosławiąc, to je nam w żelaza zakuto i dostaliśmy potem podwójną porcję nahajek, a dwa dni postu bez chleba i wody. Ot... ot.. ciężka dola!... Czy też ci, którzy o torturach takich słyszą

jeno, odczują tragizm w nich zawarty, czy on ich zaboli?... czy pamięć tamtych dni zaszczepli w nich to... co zaszczeplić powinna, ot... to jest bolączka... ta trwoźna zagadka dla każdego serca, które czuło, ta obawa czy czują i czuć będą.

Dziwny jakiś, krztuszający się kaszel czy śmiech zaskrzypiał w mroku. Sucha czaszka, jak wyleniałego sokoła, wysunęła się nieco w brzask z komina idący i zatrzęsała na cienkiej szyji o wydatnej grzdyce. Głos zaskrzeczał prawie jak u rannego, starego ptaka.

— Nie czują... nie czują...

Orzęcki zakrztusił się znowu kaszlem, czy śmiechem. A hrabia Salezy podniósł głowę patrycjuszowską w górę i szepnął z goryczą.

— Szczepienie takie pomimo zasklepiionych ran, zawsze boli, lecz nie zawsze bywa atawistyczne.

— Ot... ot... to najgorsze! Brak pamięci tłumi i gasi płomień, który w każdej piersi polskiej zniczem być powinien, a jest ognikiem gaszonym przez byle jaki wiatr. Ot... ot... moskale umieją więcej cenić swoich zasłużonych niż my nasze tradycje. Oni Paskiewiczowi po ataku wolskim i za ścisłe wykonanie ukazu porwania dzieci bez ojców w celu rusyfikacji, po 31 roku postawili pomnik w Warszawie, jako w miejscu jego chwalebnych czynów. Murawiew za niezwykle zdolności zbójeckie, jakie wykazał, dusząc powstanie na Litwie, za niesłychane tortury, ździerstwa, okrucieństwa, za szpalery szubienic, za potworności niepraktykowane w całym świecie cywilizowanym — uwieńczony został pomnikiem właśnie w Wilnie. Te fakty dowodzą kultury narodowej rosyjskiej, że pozwoliła na to i świadczą o szeroko pojętym w tym narodzie



uczuciu wdzięczności dla swych *wielkich*. — My zaś darujemy im pobłażliwie wszystko i ot... ot... już tak nie pamiętamy nic... nic... nic!...

— Gdybyż tylko to — mruknął hrabia. — My robimy więcej, my zamykając oczy na dawne blizny i zasługi tych... najpilniejszych w deptaniu nas, nowe rany z placu teatralnego nazywamy wypadkowemi i... bawimy się sobie w towarzystwie tych... tych... Ach!... gładkich i chropowych dostojników, ekscelencji, kniaziów. Ha!... *Sacré nom de Dieu!*... krew wrzy, a dłonie swędzą.

Stary magnat rzucił się w fotelu jakby ugodzony ostrzem w serce.

Jakaś złowroga cisza zawisła w pokoju i jakaś chmura czarna sunęła groźnie; pod pułapem zakrakowało jakby stado kruków. Złowieszczy ich zew przygnębiał... przerażał. Zrobiło się duszno... Ogień na kominie zagasł, jeno węgle łypały błękitnymi płomykami jak ostatnim oddechem w przedśmiertnej agonji. Pukanie do drzwi nagłe i ostre wywołało dreszcz zimny. Nikt się nie odezwał. Cicho stanął w drzwiach strzelec księżny Bożenny, Daniło.

— Czego?... — krzyknęła ona.

— Książę pan prosi do pałacu jaśnie oświeconą. Salony gotowe, goście czekają na początek balu. —

Długie, długie milczenie i suchy, zimny, zmieniony głos księżny.

— Idę... możesz odejść.

— Park oświetlony, ale ja mam pochodnię, żeby przeprowadzić księżną panią.

— Pójdę sama.

Strzelec zniknął.

Nikt milczenia nie przerywał. Ciężko już wszystkim. Księżna wstała. Szczególne tony były w jej głosie, dziwną melodję miały rwane słowa gdy przemówiła.

— Słyszałam nieraz wasze opowiadania z minionych lat, lecz dziś... słuchałam inaczej... rozumiałam najlepiej i dopiero dziś... właśnie dziś... sercem odczułam.

Szybko wybiegła z pokoju.

---

#### IV.

Zapadał szary zmrok. W buduarze księżny Bożenny cicho było i jakiś błąkał się smutek, jak by razem z szarą godziną wpełznął tu i zapanował. Księżna leżała na otomance zanurzona w poduszki i w białe futra niedźwiedzie, opływały ją jedwabie i koronki, ręce trzymała pod głową i oczy wlepione w inkrustowanym suficie. Twarz blada, cienie pod oczami i wyraz apatji w zastygłych jakby rysach charakteryzował dostatecznie jej stan duchowy. Była zniechęcona, niezdolna do żadnego czynu. Zmęczył ją bał duchowo i fizycznie, bardziej duchowo, gdyż tańczyła mało, umyślnie unikając zaproszeń. Raziła ją głośna muzyka, gwar i cała atmosfera balowa tak zwykle przez nią lubiana. Coś nurtowało w duszy księżnej, jakieś nowe, nieznanne dotąd budziły się nuty i melodją swą głużyły huczne mazury i sentymentalne walce. Słyszała echa odległe, bardzo dawne, z mroków lat płynące, a w te mury pałacu jarowskiego wsiąkłe niegdyś i w ich tradycji zapleśniałe. Dziś pleśń ta opadała, echa wypełzały i rosnąc olbrzymiały dziwnie. Wraz z nimi występował niepokój i trapił. Nikły był jakiś, wąty, jak pierwszy motyl wiosenny, ale widoczny w swem

śmiganiu dla przeczulonego wzroku, — odczuwany w duszy i sercu. Męką była dla księżny ta noc roztańczonego pałacu i dzień następny. A oto wszystko skończone. Rozjechali się naturalni w tych murach i nienaturalni goście, cisza zaległa, ale i cisza ta była niezwykła, odmienny posiadała charakter; to była jakaś letargowa głusz. Pałac zadumał się, czy zasnął?... Mury te zapadły w letarg jakby po silnem wstrząśnieniu nieznaney tu choroby. Echa przeszłości tuliły się cicho do świetnych ścian sali balowej, do jej adamaszków i marmurów, wśród których przebywały ongi dostojne postacie dygnitarzy polskich, o które opierały się plecy nawet królewskie, gdzie chrzęściały srebrne lamy, złotogłów kontuszów, gdzie lśniły guzy brylantowe na żupanach opinających dumne piersi wojewodów i hetmanów, gdzie pachniały sobole, gronostaje płaszczów i gdzie raźnie dźwięczały karabele. Echa tradycji pałacu jarowskiego przypadają strwożone do ram portretów w sali mahoniowej, do ram, z których uwiecznieni na płótnach spoglądali — oni — ci dawniejsi panowie Jarowa, polacy bez skazy i patryjoci. Ich wzrok zdawał się surowszym, na ustach jakby bolesny osiadł wyraz, ich dłonie silniej ścisnęły miecze, jakaś groza wiała od nich. Echa dawne zdumiały te zmiany, pleśń wiekowa nie przetrwała murów tak, by echa w nich zbutwiały; farby płócien na portretach nie zbladły do tego stopnia, by zanikł na obliczach ich duch i wyraz, ich myśl. Echa żyły i portrety żyły; echa i oblicza protoplastów jarowskich odczuwając wszystko strwożyły się i zdumiały, bo do sali balowej wniknął jakiś obcy duch; dźwięczały w niej cudze ostrogi, chrzęściały akselbanty mundurów wraźnych, migotały szlify

zaborców. Przed portretami stały postacie niebywale tu nigdy, rozbrzmiewał język nieznan tu, a pałacy ogniem zapiekłych, okrutnych krzywd, jakie się polorem i manierą salonową zagładzić nie dadzą.

Księżna wzdrygnęła się nagle, bo myśl jej co raz przykrzejsze odkrywała przed nią porównania. Tu, gdzie z jej prababką tańczyli poloneza Poniatowscy; stryj uko-ronowany i jego brataniec, bohater z pod Raszyna, w ułańskim mundurze, to samo dziś, ona, prawnuczka tamtej, walcowała z Mussin-Puszkowem, Czugajewym i jakimś trzecim najezdzą. Tu, gdzie rozbrzmiewały huczne wiwaty na cześć króla i Rzeczypospolitej, tu wznoszono zdrowie... gubernatora, biurokraty caratu. I kto ten toast wznosił... jej mąż... książę Krystyn \*\* ?... w murach jarowskiego pałacu?... Iskra wewnętrznej burzy rozpałała się z szaloną siłą, wybuch tego płomienia uniósł księżnę z kanapki. Okraszona rumieńcem gniewu zerwała się i w podnieceniu wyciągnęła przed się ramię z zaciśniętą pięścią. Krzyknęła głośno.

— Moździerze jarowskie nie zagrzmiały fanfarami po toście... dla was.

Wzburzona kobieta upadła znowu na sofkę, ze śmiechem dźwięczącym samą ironją i zgrzytem.

Tak... moździerze staroświeckie były głuche, one głos swój dawały po toastach na cześć króla polskiego, one tu... musiały milczeć.

Księżna uśmiechnęła się trochę rzewnie, bo to jej opór, bo to ona wbrew rozkazom księcia, by wytoczyć moździerze, zaprzeczyła stanowczo, intuicyjnie czując potworność takiego czynu. A gdy książę w obec vice marszałka dworu i starszej służby zzymnął się na ten

bunt żony i dość gwałtownie zapytał, czem zaakcentują toasty, księżna odrzekła zimno i sucho.

— Mogli przywieść z sobą karabiny.

Słowa te obiegly natychmiast cały pałac, wzburzyły księcia, lecz walka z księżną w takich razach nie istniała, cały dwór stał za nią i książę to odczuwał. Po toastach grały trąby orkiestry, także jakoś ciszej, bez temperamentu, jakby fluid księżnej i tu wpływ swój wywarł dominujący.

Księżna nie wiedziała, że jej słowa i stanowczość dosięgły pawilonu i zapaliły promień radosny w trzech starych sercach, że zapiekły łzami starcze powieki hrabiego Salezego, który z jarowskiego gniazda pochodząc, czcił jego pamiątki.

Młoda kobieta odczuwała w sobie pewną dumę, że ocaliła od profanacji szczegóły, lecz i niemalą gorycz, że ogólnie nie ustrzegła tradycji rodowej. I to ją bolało. Pierwszy raz w życiu bólu takiego zaznała.

Zniechęcenie jej rosło, jakby raz powstały zgrzyt zwiększał się i dokuczał przykrym głosem dysonansu. Zgrzyt ten budził wszystkie komórki duszy, wnikał do najtajniejszych skrytek, zakamarków i gospodarował w nich brutalnie, bez względu na wszelkie prawa psychologiczne i indywidualne, będące u księżnej w silnem opancerzeniu. Zgrzyt się wzmagal, potężniał, burzył harmonję, co więcej — wytwarzał bunt na taki nieład i zarazem niechęć za ten właśnie bunt. Intelktualną rewolucję starego porządku — burzyła natychmiast kontrrewolucja nowych myślowych prądów. Zmagały się siły dość nierówne. Zastarzały nieco w żyłach sybarytyzm, lenistwo sferowe i atawistyczna skala niektórych pojęć

o epikurejskiem zabarwieniu, z nową falą krwi gorącej i purpurowej. Niosła oną huraganem do czegoś co wymaga ruchu, energii, co się czynem zwie. Ta fala purpury niby strumień mały, nabierała dopływów i stawała się rzeką. Przepychała się dzielnie poprzez zapory starych nawyknień, darła się ponad łamanie zakrzepłych poglądów, monumentalnie zwartych i nieugiętych, lecz dających się przeskoczyć wartkiej purpurze, pełnej ognia i żywiołu w swym pędzie. Pomimo protestu wszystkich sił odpornych — fala zwyciężała zaborczo. Jak w każdej walce podnieca się atmosfera fizyczna, lub duchowa — tak i w istocie księżnej Bożenney trwało burzliwe podniecenie władz ducha, serca i mózgu. Jej wrodzony temperament, był tu rozjemcą stronnym, przechylał się raczej ku gorącej purpurze i wrzał razem z nią. Czyny, czyny — wołały jakieś głosy olbrzymie w jaźni księżnej powstałe, szanowania tradycji, lecz tylko patryarchalnych i patryjotycznych, archaiczne zaś wrznięcia zamykające idee społeczne, ogólne, nie jeno osobiste — otworzyć szeroko, jeśli trzeba wywalić przemocą, wyrwać zardzewiałe zamki i pozwolić, by idee nowe wkroczyły w ten mur chiński, bez przyłbicy modnych reformatorskich frazesów, lecz szczerze, gotowe do czynu, by na tych samych podwalinach szanownych murów, nowe, świetne stawiać wieżyce. Nie oglądać się na ich zewnętrzne piękno, lecz na ich budowę solidną, na ich trwałość. Dbać o ich świetność istotową, o ich genezę, nie o ich barwną mozaikową dekorację. — Prąd żywotny pragnień nowych płynął w żyłach księżny i porywał ją. Czula w sobie siły, energię do jakiegoś działania, czula, że zerwie tę wygodną jedwabną pajęczynę otulającą miękko

jej dotychczasowe istnienie. — To życie; w puchach i aksamitnych więzach było jednak więzami bezwiednymi, i teraz ukazały księżnie swe wyraźne zwoje, otrząsnąć się z nich, wyzwolić i być czemś, nie jeno magnatką materjalną, rodową i rasową, nie jeno wielką damą słynącą, z urody i bogactwa. Być czemś co mniej olśniewa, ale głębiej sięga. Idea ta wessała się w mózg księżny i składową częścią jego zaczynała być. Niecierpliwość gwałtowna budziła się w niej i zarazem pytanie co robić, jak robić, w jakim zakresie? Księżna bała się przed samą sobą przyznać z bardzo ukrytej wątpliwości, czy potrafi coś robić i co to jest właściwie ta robota?... Gnębił ją straszliwie ten atom wątpliwości własnej w ideę, która ją popychała do realizowania tego, co w pojęciu jej nie miało uplastycznienia, co było nieuchwytne dla niej jak para, a gorące pragnieniem i silne twórczą potęgą. Marzenia wielkiej pani nie miały konkretnego oparcia, czuła to i szalała wewnętrzną burzą żądzы czynu i nieświadomości jego. Myśl jej błądziła jak w puszczy, ocienionej niedostępnymi dla niej kalipami, pełnej chaosu, zaułków zwartych, rozpadlin i głuchego szumu. Nie umiała się skupić myślowo, bo nie było dla niej punktu wypukło zarysowanego. Rozumiała jeno, że tak nadal trwać pogrążona w ciepłej fali sybarytyzmu nie zdoła już. Poczwała nagle nurzący upał tej kąpieli i konieczność orzeźwienia się jakąś chłodniejszą strugą, by splukać z siebie ten pot gorący, bo tamował energję i niesłychanie osłabiał.

— Gnuśnieje się w tym upalnym złotym tumanie.

— Co to jest... kto to mówił?...



Księżna zasłoniła sobie oczy rozpaloną dłonią, bo usłyszała wyraźnie głos młodzieńczy jakby z oddali, z za mgły płynący. „Gnuśniejcie w puchach waszego sybarytyzmu, przywykliście do waszej złotej klatki i nie widzicie jej drutów, lecz inni widzą je i dziwią się, że tak beczynnie po za nimi trwacie“. Ten głos, te oczy ciemne głębokie, ta szczupła twarz bez zarostu, na której myśl i ból porały bruzdy przedwczesne, wstrząsała księżnę zawsze swem zjawieniem się. Ukłócie w sercu i dziwne błogi prąd ciepła i woni wiosennej, był następstwem niezmiennem tej wizji. — Więc i on nakazywał czyn, poił jej młodziutką duszę ideą jakiejś pracy.

— Ale co robić, ale jak, gdzie?!... — wybuchnęła księżna rozplamieniona. — Unosiło ją, rwało się w górę dążenie do czegoś nieokreślonego, rozsadzało jej piersi. Fantazja i egzaltacja owiała ją wichrem. Szybko podniosła się z otomany i zgarniając koronki szlafroka pobiegła do fortepianu. Burza, zamieć tonów kaskadą runęła z klawiszów. Cichy przed chwilą buduar napełnił się wrzawą muzyki zbuntowanej, szalonej, nieokiełznanej żadną formą, a jednak melodji pełnej i odtwarzającej wybornie podniecenie młodej kobiety. Dźwięki namiętych akordów i koloraturowe pasaże dobiegły uszów hrabiego Salezego i księcia Krystyna, którzy w gabinecie tego ostatniego pałac, rozmawiali dość obojętnie. Księżę słuchał muzyki przez chwilę i mruknął, raczej do siebie.

— Ena wygania ostatnie echa wczorajszych gości.

Hrabia Salezy milczał.

Księżę skrzywił się ironicznie, usadowił głębiej w fotelu, prawie się w nim położył, puścił duży kłęb dymu i sarknął znowu.

— Fantastka!...

Starzec i teraz milczał, jeno na twarzy drgnęły mu muskuły. A fortepian huczał, brzmiał, czasem spazm lkania jęknął na strunach, czasem jakby wybuch śmiechu swawolnego, a czasem zgrzytnęła ironja i znowu zwycięzki jakiś hejnał, lawina bujnych akordów, perlisy grad trelików. Hymn tryumfalny, w którym zaklęto wszystkie walki, namiętności, trwogi i zapaly zwyciężającego. Całe piętro pałacowe drżało zda się od tej muzyki, zapanowała wszechwładnie. Hrabia Salezy słuchał i rozumiał, czytał w tej grze jak z rękopisu o wyraźnym charakterze. Oczy miał lekko zmrużone, wyraz głębokiej przyjemności na twarzy. W pewnej chwili spojrział na księcia i zatrzymał wzrok na nim. Młody magnat drzemał w fotelu z zastygłym uśmiezkiem na ustach, napół drwiącym, napół apatycznym. Ręka z papierosem oparta na fotelu bardzo delikatna i rasowa drżała lekko, papieros wysuwał się z palców cienkich i białych jak welin. Światło elektryczne złagodzone zielonym abażurem rzucało na twarz księcia trochę martwy i chłodny refleks. Postać młodego człowieka wyglądała jak posąg ze starego alabastru i nie trzeba było podpisu, by zrozumieć, że wyrażał — znużenie. —

Hrabia patrzył długo i pod starą czaszką jego snuły się niewesołe myśli, stawały pytania, zagadnienia, wylaniał się żal jakiś przykry i zdumienie. Gdyby nie melodja z niesłychaną werwą płynąca, żal ten przemieniłby się może w rozpacz, lecz muzyka była strażą niezwalczoną, siłą, odpychającą wszelkie słabe uczucia; niweczyła złe, przeistaczając jego ostre przejawy w rażny podzwon nadziei. Postać drzemiącego księcia nie dawała z siebie

nic, była tylko postacią skończoną w rysunku jako typ, lecz pozbawioną wszelkiej perspektywy, po za jaką widnieją głębsze lub płytsze otchłanie — a nawet zwykle dale. Postać ta kończyła się sama w sobie tak, jak sama się tłumaczyła. Z pod palców zaś księżnej płynęły nie tylko rzeki tonów, ale rozlewały się morza, tworzyły oceany, wznosiły się szczyty śnieżne; na nich słyhać było szum sokolich skrzydeł, które trącały obłoki. A gdy nastąpiła chwila łkania, szlochu w muzyce, to spadało się odrazu w bezdenne przepaście, gdzieś w samą głębinę ziemi idące. I czuło się niemal organicznie to spadanie, runięcie w bezkres, jak odczuwało się wyraźnie szalony pęd pod chmury, hen, w przestwór gwiezdną. Muzyka ta mówiła, malowała, śpiewała i była nawskroś twórczą w swej szczerzej plastyce, w swym żywiołowym krzyku.

Rumieniec żywy opłynął starcze policzki hrabiego, błysnął w oczach żar młodzieńczy. Starzec obojętniej spojrział na drzemiącego i szepnął dość głośno, jakby do własnych myśli.

— Tego już przejadła rdza... ale ona... żyje. Mały Kryś i Jarów ocaleją!...

Ostatnie słowa z wybuchem głośniejszym, z tryumfem wybiegły z ust starca. Książę ocknął się, spojrział szeroko otwartymi oczami na hrabiego i spytał sennie, z apatją w głosie.

— Co stryj mówi... Kryś?... Aa!... Ena jeszcze bombarduje fortepian? Obudzi malca!

Wesoło jakoś i dobrze stary hrabia zaśmiał się.

— Niech go obudzi, właśnie! Niech mu nawet nieda zasypiać... —

— He?... nie rozumiem. Chyba zdrzemnąłem trochę?

— Tak... nieco.

Ciche stukanie i suchy służbowy głos przy drzwiach.

— Kolacja podana.

— Ach... Voila!... przecie coś konkretnego — rzekł książę z zadowoleniem i raźnie powstał z fotela.



## V.

Błady świt letni omgłił małe okienka chaty na Smolarni, osrebrzył słomiany dach perlistą powłoką rosy. Cichy świergot ptaków ozwał się niby sygnaturka leśna i wnet zadzwoniło mnóstwo głosów donioślejszych, hałaśliwszych a radosnych. Skrzypnęły drzwi chaty, na progu stanął pustelnik, w ciepłym pledzie i siwe źrenice skierował na niebo, zaróżowione lekko przed wschodem jutrzeńki. Stary człowiek miał pogodę w oczach, usta łagodnie złożone szeptały pacierze, na twarzy błądził uśmiech pełen zadowolenia i swobody. Poszedł w stronę lasu. Przy szopie powitał go parobek, Semen, przyjacielskiem „dobre zdrowie“, pochylił przytem nisko głowę kudłatą z widoczną czcią dla swego pana. Pustelnik zamienił z nim parę słów, pogładził konia wypuszczonego na paszę, czarnemu jak agat psu, Cyganowi kazał leżeć w zagrodzie i sam ruszył dalej na codzienną ranną przechadzkę. Patrzył dokoła z widoczną przyjemnością jakby mówił dzień dobry sosnom i słuchał pozdrowienia całego lasu. Bór znał go i witał serdecznie. Szumiały cicho konary nad jego głową, chyliły się ku niemu z przyjaznym szelestem gałęzie drzew liściastych, sute krople

rosy kładły na jego głowie. Drzewa radosny swój dzień swobody leśnej rozpoczynały szczęśliwym uśmiechem, szeptami rozlicznymi, które się chwilami przeistaczały w jeden silny rozgwar, tętniącego życiem boru.

Pustelnik siedł znanymi sobie zaułkami i skończywszy pacierze modlił się do natury. Rozumiał mowę lasu i jego dreszcze, jego uczucia. W źrenicach starca odbijało się wschodzące słońce, a on przyjmował w siebie te blaski i ciepłem ich rozgrzewał się i wchłaniał sercem, bezmiernie wdzięcznym, za dobrodziejstwo bytowania wśród przyrody rodzimej, w tej głuszy bezludnej, a pełnej ruchu, barwy i własnej, odrębnej duszy. Był jak król pośród swego ludu, król ducha tej puszczy leśnej, ducha umiłowanej przez niego natury. Czuł w sobie ukojenie po życiu tułaczem, spokój tak dziwny jednak był i niezbyt swej nazwie odpowiadający. Bo spokój absolutny wyklucza nawet tęsknotę, u niego zaś tęsknota, za czemś nie określonym żyła wiecznie i jeszcze nadzieja. Czuł, że może jest spóźnioną, lecz dla niego niezbędną. Wierzył, że spełni się coś, co go jeszcze bardziej ukoi, co zadowolenie pełne da jego wiekuiście żadnej duszy. Pragnął ocknięcia się ducha, we wszelkich jego zakresach, od najwyższych do najniższych obiektywnie, bo rozumiał, że każdy z pozoru dobry nawet szczegół, o ile nosi w sobie ducha jest już subiektywnie wielkim.

Pustelnik przemawiał do puszczy, zwierzał się jej ze swych myśli, tęsknot, marzeń i nadziei szczerze, gorąco z tą błogą pewnością, że ona go odczuje, że go nie wyszodzi, że ją nie zdziwią pragnienia jego, a ideały nie będą uznane za utopijne. I dlatego było mu dobrze w puszczy, pociągała go swą potęgą, czerpał z niej

wszystko co do zasilenia ducha potrzebne. Kochał naturę, a natura tym, którzy ją miłują i rozumieją odkrywa swe tajnie mistyczne. On nie tylko znał fizjonomję boru, łąk, stepów, pól, polanek, wąwozów, lecz znał ich psychologię. Każde drzewo poszczególnie inną zawierało myśl, każde było własną istotą, jednostką duchową. Porównywał pustelnik te drzewa rodzinnej ziemi, do drzew egzotycznych, widzianych w różnych krajach. Tamte były i piękniejsze i pożyteczniejsze, ale te o ilez droższe. Tamte znał gruntownie, te odczuwał, wnikał w ich jestestwa, tamte go uczyły, te doń przemawiały, tamte podziwiał, te kochał... tamte to dalekie, obce cuda, te to swoi druhowie i umiłowani rodacy. Wśród tamtych czuł się przybyszem, wędrowcem chwilowym, wśród tych bratem i dzieckiem jednej ziemi.

Uniósł go zapał młodzieńczy.

— Skonać chcę wśród was i chcę, abyście szumiały nad mogiłą moją — wykrzyknął z entuzjazmem — z oczami pełnemi ognia wielkiego ukochania.

Bór zrozumiał i odpowiedział, serdeczne szepty spłynęły do ucha pustelnika. „Zostaniesz tu, ukoisz tęsknotę swą, ujrzysz rozwój swych ideałów. Trwaj wśród nas, pracuj i miłuj, a ujrzysz wymuszone narodziny idei, bo duch żyje“.

Tak mówił bór do swego rodaka-druha.

— O spełnij się, spełnij! Moc twoja wielka, święta wróżba Twoja Boże, który przez naturę nadzieję człowiekowi dajesz! — zawołał starzec z głębi duszy i ręce przed siebie wyciągnął, jakby w ramiona chciał wziąć las cały i wizję swych ideałów. Zamyślony, wzruszenia pełen, szedł wolno, szeroką linią leśną, patrząc z ukochaniem

na wyniosłe, zielone ściany, stróżujące z obu stron. Nagle zobaczył ruchomy punkt w trawie i pochylony przyglądał się chwilę manewrującemu pośród gęstwiny źdźbeł robakowi. Przyklęknął żywo.

— A tuś mi! huncfocie jeden! — mruknął uśmiechnięty. Umykasz?... Zaczekaj!... szukałem cię dawno!... Będzie operacja kochanku!... to nic nie pomoże! Wygodnyś asan!... trudno! trzeba trochę pocierpieć na to, żeby o tobie wiadano. O tak, stój!... ot... ot teraz dobrze...

Złapał robaka, wyjął z kieszeni podręczną lupę i zagłębił się w badaniu swej ofiary.

W tem usłyszał prędkie tętent za sobą. Spojrzał.

Nadbiegała wprost na niego strojna czwórka w lejc, przepysznych siwoszów, w pięknych szorach. Wspaniałe kłusaki szły z fantazją, ciągnąc za sobą jak piórko, mały, wysoki amerykań, z królującą postacią kobiecą, która trzymała wodze, śmiałą ręką.

— Księżna Bożenna! — zawołał zdumiony.

Usunął się na bok. Przecwałowały koło niego rozhukane cuganty, ze znamiennym chrzęstem wytwornej uprzęży.

— Hop!... — krzyknęła księżna, zatrzymując w miejscu spasiose bieguny.

Amerykan stanął jak urzeczony. Księżna rzuciła lejce siedzącemu za nią stangretowi i zeskoczyła na ziemię.

— Dzień dobry! Mogłam rozjechać profesora! Aa!... przeszkodziłam w eskultacji jakiegoś pacjenta, czy klienta.

— Nic nie szkodzi.

— Ale umiem szukać! Intuicją wiedzionajechałam i znalazłam!



— Kogo, mnie?

— A właśnie, profesora.

— Nie przypuszczałem, aby księżna tak rano...

— Nie leżała jeszcze w betach?... Ha... ha!... Robi to za mnie mój mąż i... sumiennie. Cóż, pacierze odmówione?

— Już! — uśmiechnął się stary.

— I rozmowa z lasem skończona?...

— Skądże księżna pani i tego świadoma?...

— Ja wszystko wiem. Odgaduję! Pan tu jak bard, w tej puszczy.

— Może prędeż gnom leśny?...

— Ach nie! pan ma w sobie coś, co zniewala do słuchania go. Pomimo, że nie daje pan pozorów wodza. Przyjechałam do profesora z prośbą, a tu na Smolarni, pana nie ma, za to stoi cały tłum chłopów, bab, dzieci, istny jarmark. Semen mi wskazał kierunek pańskiego spaceru i objaśnił, że te chłopcy to pacjenci pańscy. Nie wiedziałam, że profesor leczeniem się zajmuje.

— Tak ot... sobie, troszeczkę, ot... ot..

— Już się profesor zażenował. Skandal z tą skromnością!...

— To może księżna pani pozwoli, że pospieszę do Smolarni, skoro czekają.

— Jakto?!... a ja i moja prośba?

— Czy taka pilna?...

— No... nie, ale chyba zostawi mi pan pierwszeństwo w tym wypadku.

Pustelnik zafrasował się nieco.

— Księżno droga, ot... ot... tamci nie mają czasu, są nieraz przybyli z dalszych wsi, chorzy, biedni... a księżna

pani rozporządza sobą i czasem dowolnie. Prosiłbym przeto o wyrozumiałość, jeśli księżna łaskawa. Postaram się wkrótce powrócić i będę na rozkazy.

— Profesor chce się mnie pozbyć, czy tak?...

— Niechże Pan Bóg broni! ot... ot... definicja niezwykła. Księżna sobie żartuje ze starego, ale nie zasłużyłem, nie godzi dokuczać nawet mnie. Tylko ja naprawdę zabałamuciłem się w lesie, a tam robota pilna. Stary warjat jestem.

Księżna nadała się.

— Więc ja mam czekać swojej kolei?... tam w tym niechlujnym tłumie świt i łapci?

Pustelnik serdecznie ujął jej rękę i ucałował.

— Paniż ty moja miła, wszak ci to nie mały a ludzie i pewno potrzebujący porady, w którą ot... jakoś wierzą.

— Brr!... wstrętni są, brudni i cuchną!

— Bo biedni, nieokrzescani, na pół dzicy, bardzo pierwotni, ale tyle nędzy wśród nich, tacy często nieszczęśliwi, że budzą współczucie. Naogół są dobrzy, łagodni tylko ospali.

— Ach!... cóż mię oni obchodzą, nieznam ich i znać niechcę.

— To... to bardzo źle. Ale ot... ja znów gawędzę zamiast wędrować. Żegnam księżnę, wrócę prędko.

— Co znowu, to kawał drogi, odwiozę tam profesora.

— I już księżna ucieknie?

— Nie i... poczekam. Podawaj — krzyknęła na stangreta.

Jechali tęgim kłusem po równej linii, poczem skręcili na wąską uliczkę wśród boru.

— Jak tu jest wspaniale, piękna ta puszcza! Nie dziwię się, że ją profesor lubi i rozumie. Tu jest tak jakoś bogato.

Pustelnik rozweselił się.

— Wyborne określenie. Proszę, niech księżna patrzy... tłum drzew jest tu bardzo różny. Główną nawę lasu zapełniają kolosy sosen o pniach powleczonych jakby blachą miedzianą i gładką aż lśniąca, inne owinięte zda się w złotogłów, a wszystkie proste, strzeliste, buchające w zwyż siłą swych mięśni dostojenstwem przepysznych koron. A oto tam, szeregi wyprostowane pni wysokopiennych, złoto rudych, są jak zastępy rycerzy zakutych w pancerze. Stoją dumni, wyniośli, pewni swej siły i odwagi. Istny hufiec zbrojnych husarzy w ordynku. A ot niby boczne korytarze i przedsionki boru, widzi księżna jakie nabite tłumem drzew liściastych, tworzących gąszcz nie przeniknioną, bujną i barwną jak mnóstwo strojnych niewiast. Ot... ot... rozgadałem się... już tak!... Stary maniak ze mnie.

— Proszę, niech profesor jeszcze mi ten las... maluje, lubię, gdy mi się uplastycznia wzrokowo i pojęciowo — rzekła księżna z prośbą w głosie.

— Ot... jak ja tam maluję, Kocham ten bór, taj hodi!

— A tu znowu same leszczyny — podchwyciła księżna.

— A tak... leszczyny panoszą się butnie, szumią ostrą brokatelą szat i suchym szelestem seledynowych orzechów. niby klejnotami. Tam dalej ot... śmigają w górę gibkie, białocieliste brzozy, o długich zielonych kosach, już są ciemniejsze, nie takie jaśniutkie jak w maju. Widzi księżna, tam w głębi gorzą ognistym rumieńcem kraśne

jarzębiny; wcześniej nabrały purpury na swe jagody, wytworne kaliny już się rumienią — a tu mijamy czeremchę; jaka osypana granatem kulek, niby śrutem. Minął jej czas piękna i młodości, listki już poszarzały. Ot..., ot już tak, — miesiąc poezji, kwitnienia, skończył się, proza życia nastąpiła. Prawda, jak te podszyte leśne ma niewieści wygląd?... Już tam na prawo ukazują się pojedyncze dęby, płaskolistne, butne szerokoramienne, bardzo pewne siebie i swej mocy. Przy nich młokosy dębczaki; zawadjackie to to, dźwiękliwie uderzające w kastanietki lakierowanych listków. Buńczuczne to, bo młode.

W tej chwili między księżną i pustelnika gwałtownie wsunęły się urękawicznione ręce stangreta, chwyciły lejce skręcając konie na miejscu. Amerykan pochylił się tak, że księżna cudem nie wypadła z niego.

— Co się stało?...

Stangret wskazał wielką rozpadlinę, nad którą ekwipaż zawisł przez sekundę i przeproszał swoją nagłą interwencję. Księżna wybuchnęła śmiechem.

— Byłby wykwintny finał opowieści profesora o lesie. Ha... ha!... zaszuchałam się, zapatrzyłam i wysypałabym profesora i siebie w taką jamę potworną. Uh!...

— Ot... już tak... gadam i gadam... a księżna łaskawie słucha, więc się rozhulałem. I ot... byłoby nieszczyście.

— Za to ja teraz na tę puszcę innemi oczami patrzę, widzę to, co mi pan wskazuje i sama dopełniam obrazu. Pan mię gotów nauczyć podziwiania naszej natury, czego przyznam się nie miałam. Za granicą znam wszystkie najpiękniejsze miejsca, imponowały mi, czaro-

wały mię, ale tu u nas... taka monotonja, szarzyzna...  
 naprzykład Riwier...

— Ot... ot... stał w miejscu i rzepę jadł.

— Co... co?... Ha, ha, ha!... cóż to za określenie.

— A ot... już tak, ta okrzyczana Riwier, wiecznie to samo, zielono, kwieciście, kwieciście i zielono. U nas, paniż ty moja, natura żyje, puszy się młodością wiosny, nabiera dojrzałości lata, potem smętku i przesytu jesieni, aż zamiera, okrywa się sędzilizną szronu, białą śniegu, iskrzy się mrozem, czasem zalewa się deszczem i jest ciągle nowa, żywotna, odrębna, kapryśna ale bogata swym duchem. A tam co... ot... ot bogata w urodę, strojna lala, wiecznie upstrzona w kwiaty i zielen, obetkana precjozami owoców, — i tak się sobie przygląda w morzu jak w zwierciadle. Istna kokota. Ciągle to samo i to samo. Tam ducha nie ma, tylko piękna powierzchowność. Co innego Afryka, Indje... ot... tam to już punkt kulminacyjny temperamentu ziemi, egzaltacja jej, szaleństwo. Bo tam i słońce to płomienny, szalony miłością kochanek ziemi, a na Riwierze słońce to bogaty i hojny bankier, żądający tylko wycackanej urody, wiecznie układnej miny i zawsze jednakowo strojnej postaci, oraz różnego humoru od swej utrzymanki — przyrody. I dlatego tam jest ciągle obrazkowa panorama; to właśnie monotonja, wprawdzie nie szarzyzna ale zielenizna.

— Ale to jest świat profesorze!... Świetnie, elegancko, a u nas? — skrzywiła się księżna zabawnie.

— Hm... ot ot... już tak!...

Profesor był widocznie poruszony: Obejrzał się na stangreta i zaczął mówić po francusku.

— Nasz kraj, ojczyzna, to wasza śpizarnia, księżno, to wasze śpichlerze, przeto szaro w nim dla was. Ale z tej obfitej śpizarni czerpicie pełną garścią, by upiększyć salon, którym jest dla was zagranica w ogóle. Riwierą to śliczniutki, rozkoszny buduairek, Włochy salon sztuki, Paryż przepyszne kasyno!... No więc wywozicie tam hojne sakwy pieniędzy, aby ten przepych jeszcze wzbogacić. To wasz jedyny cel: — ogołacać śpizarnię własną, ozłocić cudzy salon i... użyć. Stamtąd dla kraju nie płynie przez was nic utylitarne, prócz gustu w urządzaniu własnych rezydencji. Powtarzam sumy tutejsze topnieją tam tylko na zabawę i użycie.

— Ćwiczysz nas ostrym batem, profesorze.

— Ja boleję nad faktem. Bo śpizarnia bogata, ale szkoda, że się ją wyczerpuje i dla obcych: głównie na zbytki.

Księżna zwiesiła głowę zamyślona, jechali długi czas w milczeniu.

— Ot już i moja chata, — rzekł pustelnik.

Ocknęła się księżna jak ze snu.

— A co! gromada czeka. Odważnyś profesorze, że się zadajesz z takimi bête humaines.

— Myli się księżna pani, to są tylko ludzie, bez kultury, cywilizacji i bez pieniędzy.

— Nie umieliby ich nawet użyć. To dzicz.

— Ach... ot... ot... tak mówić, ani nawet myśleć, nie wolno. Oni biedacy nie wiedzą, że pieniądze mogłyby się stać dla nich stopniami prowadzącymi do wyższych postulatów, jakich istnienia nawet nie przeczuwają. To smutne, to bolesne.

— Widzę, że profesor chciałby mię do nich przekonać, ale to się już nie uda. Boję się styczności z nimi i nie chcę ich znać,

— Nie trzeba się niczego zarzekać.

Księżna zatrzymała konie przed chatą. — Zebrani chłopci poodkrywali głowy jak na komendę i pochylili nisko grzbiety. Na księżnę patrzyli z zabobonnym strachem, z pokorą, lecz obco, na pustelnika z zaufaniem i szczerością. Gdy wysiadł, okrążyli go ścisłym kołem, całowali w ramiona i łokcie, bo rąk nie dawał, mówili do niego miejscową gwarą, po małoprusku, niektórzy po polsku; prośby, żale, pytania posypały się gęsto. O obecności księżnej zapomnieli zupełnie. Przeszła koło nich, zgarniając suknię jak przed śmieciem i usiadłszy opodal, na ławce pod ścianą chaty, uważnie obserwowała całą scenę. Pustelnik słuchał skarg, oglądał skaleczenia i rany, badał chore miejsca, wynosił z mieszkania różne zioła, maście, radził jak je użyć, wskazywał ich skuteczność, tłumaczył, a wszystko to robił niezwykle serdecznie, z słodyczą i łagodnością kobiecą. Chłopci słuchali słów jego jak ewangelji, wpatrywali się w twarz pustelnika z miłością i z wiarą bezwzględną. Księżna dziwiła się, nie znała dotąd podobnego wyrazu u tych ludzi, nie przypuszczała, że są zdolni do takiej miękkości, z jaką odnosili się do profesora. Życzliwość głęboka dla niego i szczerą ufność była wyraźną, zdumiewała, nasuwając refleksje, że jednak i oni mają uczucia, że można zyskać ich przywiązanie. Obrazek ten zainteresował księżnę. Zbliżyła się do pustelnika młoda kobieta z dwojgiem dzieci. Skarżyła się na bóle w rękach i nogach, niezwykle była mizerną z szarą cerą i ochryplym głosem. Dzieci wyglądały

jak małe potworki, o wielkich, rachitycznych głowach, wydętych brzuskach i pokręconych nogach. Pustelnik oglądając ich, kręcił głową, orzekł, że mieszkają zapewne w wilgotnych chałupach i odżywiają się bardzo nędznie. Kobieta uśmiechnęła się boleśnie, odpowiedziała, że w ich izbie mech rośnie na ścianach, wszystko pleśnią się pokrywa, bo dookoła domu jest stała kałuża, woda w niej zielona, zgniła i powietrze zatruwa. Kobieta mówiła po polsku roztropnie i nawet bez żalu, tylko stwierdzając trafność domysłu profesora. Zagadała jeszcze, że »mój«, co oznaczało męża, zdrowy jest, bo śpi w dworskich stajniach, gdzie sucho i pięknie, jakby w jakim pałacu.

— A skąd wy jesteście? — spytał pustelnik.

— Z Jarowa, mój służy za parobka, — brzmiała odpowiedź.

Profesor chrząknął i pilnie jakoś zaczął dawać różne rady kobiecie, gorąco zajął się nią i dziećmi.

Księżna doznała dziwnie przykrego uczucia, coś ją drasnęło, krew ciepłą falą opłynęła jej policzki. Wstydziła się tego rumieńca, piekł ją jak wyrzut. Dostrzegła parę ukośnych, niezbyt życzliwych spojrzeń chłopów, skierowanych na nią. Bolały ją. Chciała wstać i wejść do chaty, lecz tembardziej zwróciłyby na siebie uwagę. Wolalała przeto zostać na miejscu. Ogarnęła ją niecierpliwosć, niechęć i jeszcze coś, czego nigdy przedtem nie znała, oto brak pewności siebie. Męczyła się tym nowym rodzajem udręki niebywalej a okrutnej. Nieumiała by nawet nazwać tych wszystkich uczuć, jakie się w niej splątały. Dominowała niechęć do tych ludzi i jakby do profesora zarazem. Ale męka księżnej trwała już krótko. Pustelnik skończył swoje porady, chłopci się z nim zegnali jak z ojcem,



i rozchodzili powoli. W stronę księżnej kłaniali się zimno, ale pokornie w pas. Gdy odszedł ostatni, profesor uśmiechnięty zawołał wesoło:

— Przepraszam, że księżna tak długo czekała, zaraz będę służył, tylko ręce umyję.

Po chwili siedział przy księżnie na ławce.

— Jestem na rozkazy.

Młoda kobieta nic nie odrzekła.

— Księżna miała do mnie ot... już tak.. jakiś interes?

— Mam prośbę.

— Słucham, paniż ty moja, co w mojej mocy... spełnię.

Księżna gniotła rękawiczkę z zakłopotaniem. Pustelnik popatrzał na nią badawczo, niezwykle ciepłym obejmując ją wzrokiem. Rozumiał jej stan duchowy i cieszył się w sercu, że to w niej powstało.

— Może księżna zmęczona. Przejdziemy się po lesie. Pokażę swoje małe akwarjum, urządziłem je sobie z Semenem.

— Nie, zostańmy tu. Chcę pana prosić o pewne rady, wskazówki, chcę przedstawić swoje projekty... bo.. bo pragnęłabym coś robić. Sama nie umiem dostatecznie sformułować takiego czynu, brak mi inwencji. A profesor... tyle ma idei, więc o pomoc jego proszę... całą duszą proszę.

Hruda porwał jej rękę.

— Paniż ty moja serdeczna, księżno droga, a toż serce wyrwę z piersi do takiej pomocy. Pani miłościwa, już to jest wszystkim, że chcesz coś robić, że pragniesz pracy. Proszę mówić swoje projekty, proszę droga pani, słucham z rozkoszą.

— Kiedy ja sama jeszcze, dobrze nie umiem ich wyrazić. Snuję sobie różne plany. Może by przeznaczyć

jaką sumę, dużą sumę na cel dobroczynny i posłać do Warszawy, a tam już będą wiedzieli co z tem zrobić. Może ufundować jaką instytucję dla kraju, może jaką szkołę czy ochronę w dużym stylu, czy wreszcie szpital, bo ja wiem, ale coś muszę, muszę, dokonać, bo ta myśl, że my nic dla ojczyzny... dziwnie mię gnębi. Pragnęłabym, aby to było odrazu coś... wielkiego, coś niezwykłego, coś coby zaimponowało i wynagrodziło dotychczasową naszą bezczynność. Jak profesor radzi?...

— Hm... ja ot... ot... ja bym radził na razie zacząć od czegoś mniejszego, co nie jest głośną reklamą, a raczej istotnie czynem potrzebnym, koniecznym, co nie tyle zaimponuje przepychem, ile napełni duszę zadowoleniem, że coś dobrego się spełniło.

Profesor położył dłonie na swych kolanach i zamyślił się poważnie. Siwe jego źrenice miały w sobie rzewność, radością i szczęściem tryskały.

— Ja profesorze nie dla reklamy chciałabym jakąś donioślejszą robotę rozpocząć, ale sądzę, że wielki czyn zawsze znaczy więcej, niż mały. —

— Ot... ot... księżno droga, z czynów małych powstają wielkie, a czasem najgłośniejszy czyn jest tylko eleganckim giestem, bez tej utylitarnej wartości, jaką miewa pozornie mała praca i skromna na oko, lecz w genezie swjej idei wielka. Hm, księżna sięga daleko i wyniośle, a tuż, obok tyle... tyle jest do roboty, trzeba jeno umieć patrzeć, by dostrzedz to, co nawołuje, co prosi o reformy i opiekę. Na księżnę czekają czyny, przede wszystkim w Jarowie, potem te wielkie przyjdą same, siłą dążności ku coraz szerszym zakresom.

— W Jarowie?... A cóż jest już do zrobienia w Jarowie?...

Pustelnik zapalił się.

— Ogromnie dużo, droga księżno, ale nie w pałacu, parku i całej rezydencji, tam wszystko skończone. Trzeba wniknąć po za luksus waszej sadyby, trzeba uświadomić sobie, czy tam, za kulisami głównej sceny jest dobrze, ładnie, miło. Czy tam... wszystko skończone?... Czy ci, co dla was pracują mają względne wygody, dobrobyt i czy sięgają ku nim bodaj małe odbrzaski góry złota, będącej w waszem posiadaniu. Czy mogą być dumni, szczęśliwi, że pracują u was i dla was, że służą w Jarowie. To wielkie słowo księżno, ono powinno zamykać w sobie ogólną świetność, nie jeno pałacową, ono powinno być wyrazem ogólnego szczęścia, dobrobytu fizycznego i duchowego. Tymczasem... hm... ot... ot...

— Proszę niech profesor mówi, wiele się już domyślałam, — zaszemrały ciche słowa.

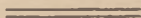
— Tymczasem w Jarowie brak tego wszystkiego, co spełnione, byłoby wielkim nawet czynem. Rzesze waszej służby nie mają szkoły, nie mają szpitala, nie mają lekarza, nie mają kościoła, a wszystko to jest odległe o setki wiorst. Gorzej... w stajniach pałacowych lepsze są warunki, niż w mieszkaniach służby folwarcznej. Księżna nigdy zapewne nie wejrzała w te sprawy, drobne na pozór, a tak ważne. Ich mieszkania ciasne, to kupy brudu wilgoci i nędzy. Wieś tonie w błocie, środkiem wsi w słotę przejść nie podobna. A w rezydencji nawet asfaltem wylane śmietniki. Konie stoją przy porcelanowych i marmurowych żłobach, a robotnicy, ci na niższych stopniach służbowych i chłopci z waszej wsi mieszkają w napół zgniłych domach, śpią na ohydnych barłogach i nie używają nigdy kąpieli, bo brak łaźni. Żadnej cy-

wilizacji, żadnej higieny, żadnej ot... ot... już tak, opieki, nie dajecie tym, którzy wasze dobro trzymają w ręku, którzy pracują na to, byście wy opływali w zbytkach.

Jakto... oni są niby naszymi dobroczyńcami, nie my ich?... Absurd! — Paradoks!...

— Hm! niech sobie księżna uprzytomni strejk fabryczny, co się wówczas dzieje?... Wszak Jarow to dużo więcej, niż jedna fabryka.

Księżna zwiesiła głowę. Pustelnik łagodnie i serdecznie tłumaczył, zachęcał, wyjaśniał.



## VI.

— Gdzież jest Bożenka? — spytał hrabia Salezy księcia Krystyna, spotkawszy się z nim w Warszawie.

Przykry grymas osiadł na ustach księcia.

— Ena w Jarowie. Zostaje na całą zimę, bo ja uciekam do Wiednia.

— Cóż to, poróżniliście się?

— Ach nie, tylko... Ena jest kategoryczna, stryj ją zna z tej strony, ja zaś nie pozwolę się zaprzędz do jej ideałów.

Ach Dieu!... raczej głupstw, które obecnie pochłaniają Enę i kasę Jarowską zarazem.

— Pisała do mnie, że jest bardzo zajęta, odczułem usposobienie raczej dobre, list był wesoły, pełen humoru.

— Tak, tak tak... jest i humor i energja, tylko coś się w systemie myślowym popsulo.

— No... no... za silnie opinujesz, rozdrażnienie przez ciebie przemawia.

Księżę wzruszył ramionami. Po długiej chwili dopiero ponowił swoje żale.

— Ena robi na mnie wrażenie osoby, która nagle postarzała. Zupełnie jej nie rozumiem, zupełnie.

Z damy tak świetnej, jaką była, zrobił się cudak społeczny. Idee, filantropie, och, jakie to potworne.

Jakże się Ena tem oszpeciła!.. Niech sobie stryj wyobrazi, nawet ten wzgląd, że to ją oszpeci, nie wpłynął na nią uzdrawiająco. Próbowałem już i tego środka, nic nie pomogło. Wszystkie moje perswazje pozostały bez skutku.

Jarów przewraca do góry nogami. Historje wyprawia, dziwactwa! Zachciało się jej chamów cywilizować, uczyć, myć, leczyć, ich bachorami się zajmuje.

Och pfuj!.. c'est une faute, c'est un crime.

W Jarowie istna wieża Babel. Majstrów, robotników, inżynierów; całe legjony, buduje szosę, stawia nowe domy dla służby, słowem kobieta dostała idée fixe na tym punkcie.

Hrabia zamyślił się poważnie. Książę Krystyn tęgiał po pokoju podniecony, zły, szyderczy.

— Cała okolica śmieje się z niej i dziwią się, że ja na to pozwalam.

— Okolica?..

— No tak... Eustachowie...

— Ach Eustachowie... — machnął ręką staruszek.

— Nie tylko oni, bo i Ksawerowie i Ponieccy i Dobruccy wszyscy patrzą na to, co się dzieje w Jarowie i kręcą głowami.

— Mój drogi, Dobruccy, Ponieccy, Eustachowie, szczególnie oni, to jeszcze nie okolica, to... to... mniejszość i... po za nawiasem opinji stojąca mniejszość.

— Dla mnie tylko oni istnieją — dumnie rzekł książę... — Któż tam jest więcej z towarzystwa, te szaraki szlacheckie chyba nie mają pretensji do tego. A chłopie o je crois bien!.. to się chamom podoba.

— A czy ciebie Bożenka nie chciała nakłonić do działania wspólnie z nią.

— Nie jestem dzieckiem, które się do czegoś nakłania. Moje perswazje Ena odrzuciła, tak samo jej zakusy, by mnie przerobić na hołdownika wywrotowych ideałów, w jakie wierzy, poniosły porażkę. Niech sobie w Jarowie stwarza ziemię obiecaną dla chamów, w moich dobrach zostanie tak jak jest. Szkoda tylko, że ośmieszysz i oszpeci to piękne i stare gniazdo.

Hrabia rzucił na kuzyna wzrok, pełen chłodnej satyry i rzekł zimnym tonem:

— Egzażerujesz Krystynie, chyba sam nie wierzysz w to co mówisz? Ale wierz mnie; Bożenka Jarowa nie zesześci.

— O... o!.. to więc i stryj jest jej sojusznikiem? Nie przypuszczałem! Widzę, że to cały spisek! Zobaczymy tylko, jak wyjdzie na tem Jarów i jego kasa. Sumy płyną poważne, choćby za koncesje otrzymywane od rządu. Może się to wszystko zemścić na Krysiu. Ha... ha... ha... będzie to filantropia, oparta na zubożeniu rodzzonego dziecka. Voilà!

— Daję ci słowo Krystynie, że nic nie wiedziałem o działalności Bożeny w tym kierunku. Co zaś do zubożenia Krysia, to... to bądź spokojny. Miljony Jarowskie wystarczą na dużo, na bardzo dużo nawet krezusowych fantazji. Wasze życie dotychczasowe nie uszczupliło jednak kasy nie zmniejszą jej również wszelkie innowacje twojej żony. Może czerpać... nie zabraknie.

— Zapomina stryj, że i moje dochody zasilają nasze wydatki i rozrzutność Eny. Lecz na te awantury obecne swoją kasę zamykam.

— Sądzę, że się Bożenka o nią nie upomni.

Hrabia był niezwykle rozdrażniony. Książę spojrział na starego z gniewnym błyskiem oczu i rzucił już wściekły.

— Wszystkiemu winien ten mamut, ten dureń...

— Kto taki?...

— Ten pustelnik ze Smolarni, włóczęga, przybłąda ten... ten jakiś profesor od robaków. Wypędziłbym go na cztery wiatry, ale cóż, jest na jarowskich terytorjach zatem nietykalny...

Książę rozłożył bezradnie ramiona.

— Czy na długo wyjeżdżasz? — spytał hrabia Salezy.

— Na całą zimę i wiosnę — brzmiała cierpka odpowiedź.

— I będziesz stale w Wiedniu?

— Nie, pojedę do Monte na ruletkę, potem do Paryża.

— No, sądzą, że to tylko krótki wojaż. Rozmyślisz się, zatęsknisz do rodziny i powrócisz. Na wiosnę pojedziecie razem z Bożeną i Krysiem.

— Wątpię, — sarknęła księżka. — Kobieta, której w głowie świtają społeczne jakieś madrygały, nie pociąga mnie, ani porywa. Ach!... jak ta Ena zeszpetniała przez to, jak okropnie zeszpetniała! Parbleu! cały wdzięk, szyk, wytworność zatopiła w tej ohydnej filantropji. Ach!... cóż za obrzydliwa manja!...

— Ciekawym, — mruknął hrabia.

Książę Krystyn miał wygląd człowieka niesłychanie zgnębionego i nieszczęśliwego.

W tydzień potem hrabia Salezy był w Jarowie.

Śnieżna zima roztoczyła tu dokoła swe borealne widoki. Mróz, śnieg i słońce malowało wołyńskie bory i równiny przecudną iskrzącą się bielą, niby srebrne lamy



po królewsku ustroiły ziemię, nadając jej urok odmienny, a niezwykle piękny, jakąś tajemniczością zaczarowanych bajek tchnący.

Stary hrabia chodził po Jarowie z księżną Bożeną i dziwił się i radował w sercu, widząc jej czyny, energję, jej zapał i dawno niebywałą u niej wesołość i pogodę. Młoda kobieta miała w sobie szczególną promiennność, życie biło z niej pełnią blasku, unosiła ją wiara i nadzieja w swe ideały. Widocznem było, że ta działalność pobudziła ją szalenie; znikła jej apatja, jej nadmierna nerwość. Księżna zdumiewała cały dwór wyraźną zmianą swego usposobienia. Hrabia Salezy podziwiał bratanicę i z żywą przyjemnością oprowadzany przez nią oglądał wszystkie reformy jarowskie, chwalił, doradzał i w duchu zastanawiał się, co jednak wpłynęło na tak zasadnicze zmiany, nie tylko w działalności księżnej, lecz w jej psychologii. Czuł tu bezpośrednią zasługę pustelnika, ale i jeszcze jakąś złotą igłę, której ściegi w hafcie tym przebijają. Hrabia znalazł księżnę wbrew opinji jej męża, raczej wypiękniałą niż oszpeconą, ale w jej duchowości przeczuwał zmiany wybitne, jakie się na zewnątrz nawet ujawniały. Księżna od rana krzątała się, była czynna, konferowała z inżynierami, z administracją, jeździła w małych saneczkach oglądać roboty, wszystko ją cieszyło, bawiło, energja jej wzrastała, ale niekiedy zamyślenie wielkie spadało na nią, niby cień skrzydeł przelatującego ptaka w słoneczną pogodę.

Wówczas o ile była w domu, biegła do fortepianu i zwierzała klawiszom całą genezę tych nagłych przelotów myśli, sięgających zakresów odległych, od lokalnie wprowadzanych w czyn idei. Muzyka jej była dla hrabiego

wymowną, lecz teraz wikłyły się tony i akordy, czyniąc mniej zrozumiałą istotę psychiki księżnej. Błąkała się wśród nich nuta nowa, czy może tylko będąca echem, która się przez jakieś wpływy atmosferyczne i wstrząśnienia ponowiła i odezwawszy się... brzmiała.

Hrabia nie dotykał tej nuty, nie wchodził w dziedzinę odczuwanych intuicyjnie przełomów w duszy ukochanej przez siebie bratanicy. Niepokoił go bardziej stosunek jej do męża, widząc jak daleko rozbiegli się w pojęciach. Księżna sama niejednokrotnie żaliła się przed stryjem, że mąż potępił wszystkie jej plany, że z ironizował jej czyny, wyszydził zapał i ostatecznie rozgniewany na nią odjechał, nazwawszy ją warjatką.

— Czy uwierzy stryj... warjatką mię nazwał?... — powiedział mi, że się narażę na opinię dziwoląga i że się stanę potworem kobiecym i sferowym. Słyszał stryj... sferowym — to najzabawniejsze! Cóż ja takiego robię, żeby nasza sfera piętnowała mię i wykluczyła z swego grona, ludzi normalnych?

— Ph!... moja droga, o ile byś się nawet stała nie-normalną, to nie będziesz unikatem w naszej sferze, ale nie widzę, abyś była na tej drodze. Potworów zaś my nie piętnujemy, z tej prostej przyczyny, że ich obecności nie dostrzegamy wśród nas; ale oni są, o-o... są! inne sfery w społeczeństwie widzą ich i stąd nieporozumienie.

— Jak stryj myśli, czy Kryst wybaczy mi z czasem, moje odstępstwo od jego zasad i poglądów?

— Hm... sądzę, że tak. Wejdz z nim w pewien kompromis, ty nie bądź zbyt krańcowa w swych inwencjach i w przeprowadzaniu takowych, a on mając twoje ustępstwa, sam także będzie więcej tolerował, wreszcie

przekona się do twej idei i już wspólnie pójdziecie jej szlakiem.

Księżna długo myślała, aż na jej gładkiem czole wystąpiła bruzda. Wreszcie rzekła głuchym głosem.

— A ja w to nie wierzę, stryju, Kryst w niczem, nigdy niema wytrwałości, więc i gniew jego minie, pozostanie szyderstwo, poczem i ono ustąpi miejsca zwykłej nudzie i obojętności na wszystko. Teraz jest zły, pojedzie w świat, zgra się w ruletę, zatęskni za mną, nie duchem, bo to też nie jego sfera — lecz... całkiem odmiennie i powróci do Jarowa. Będzie sarkał, kpił, ironizował, wreszcie ponieważ moje reformy nie pogorszą kuchni, nie zmniejszą wygód, Kryst przestanie je zauważać i zaśnie sobie po swojemu. Ze mną jednak razem nie pójdzie nigdy, bo ten szlak idei, jak stryj mówi, jest dla niego zbyt ambarasowny, on ruchu i czynu nie lubi, przytem on... na szlaku tym żadnego promyka nie dojrzy, bo mu żaden nie świeci. Dla mnie zaś...

Lekki brzask rumieńca błysnął na twarzy księżnej, pod badawczym wzrokiem starego pana. Zatrzepotały rzęsy na spuszczonych powiekach młodej kobiety niby skrzydełka ulatujących motyli i uniosły z sobą dalszy ciąg jej słów.

Hrabia nie pochwycił tego wątką, utwierdził się jeno w swoich przeczuciach. Odinalowanie wewnętrznej sylwetki księcia przez jego żonę, rzuciło mu również dużo światła na obraz już dla niego wystarczająco plastyczny. Odrębność typów obojga małżonków i psucie się krótkiej harmonji wśród nich, obserwował dawno, teraz spostrzegł, że rwą się nawet uczuciowe pasma, nie będące nigdy silnemi w duszy księżny zatrwożył się starzec, czy się

przeszłość nie zemści. Ujrzał, jak niegdyś księżna wizję człowieka zepchniętego z jej drogi za to tylko, że nie był na wyżynach, na których ona stała, że rodem swym i nazwiskiem nie sięgał jej szczytu. To wystarczało, by nie widzieć jego intelektu, jego wyżyn duchowych, by zlekceważyć uczucie tych dwojga ludzi, stworzonych jakby dla siebie.

Miłość ich była tej miary, że zbagatelizować się nie dawała, ani wyszydzić, należało ją jedynie potępić. Tak też zrobiono, i do tej wiwisekcji dwojga serc przyłożył rękę on sam, rodzony stryj młodziutkiej hrabianki. Nie zachwycił się późniejszym jej wyborem, lecz sądził, że książę Krystyn potrafi zagłuszyć w niej obraz tamtego i że zatrać się w jej pamięci jego idee bardzo szlachetne i humanitarne, lecz całkowicie obce księciu, a ogólnie w ich sferze obojętnie traktowane. Stary hrabia niepokoił się o przyszłość młodej kobiety, bał się, pustki w jej duszy głębszej niż poprzednio, bo wzmocnionej nową rozbieżnością, dostrzeżoną świeżo w stosunku jej z mężem. Wszystkie te myśli dusił w sobie skrycie, wpajając w księżną niezłomną wiarę w trwałość jej ideałów i w ich wielką społeczną wartość. Wkrótce się przekonał, że i profesor Hrua nie zaniedbuje tego.

Miało być poświęcenie szkoły, ochrony i szpitala; gotowe instytucje błyszczały nowością i wybornem urządzeniem. Tłumy służby jarowskiej i z innych folwarków, oraz chłopów, zgromadziły się przed nowymi budynkami w oczekiwaniu przyjazdu państwa z pałacu z księdzem. W szpitalu oczekiwał lekarz z felczerem i aptekarz oraz pielęgniarki, w ochronie gromada dzieci jednakowo ubranych ze swemi opiekunkami, w szkole nauczyciele lu-

dowi. Księżna jechała z księdzem w pierwszych saniach, za nimi hrabia Salezy z pustelnikiem.

— To twoje dzieło, kochany profesorze, — mówił hrabia serdecznie. — Jesteś dzielnym człowiekiem, a dla Jarowa opatrznościowym.

Profesor obruszył się.

— Ależ, ot... ot... już tak, przesada panie hrabio, to tylko zasługa księżnej, że tak łatwo zrozumiała swoje posłannictwo i nie pogardziła skromną radą bardzo jej życzliwego człowieka, mało życzliwego — dodał ze wzruszeniem, — kochającego ją ot... ot... jak dziecko swoje, starucha.... Taj hodi!

Hrabia Salezy wysunął ręce z futra i uściśnął pustelnika gorąco.

— Tedy jesteś mi bratem profesorze, niech ci Bóg nagrodzi za to, żeś ją uratował... wskazując jej cel, godny tej szlachetnej duszy, żeś obudził w niej wiele, bardzo wiele milczących dotąd strun. Oby zawsze jednakowo silnie brzmiały. Dbaj o to, kochany, by zapal jej nie zgasł.

— Panie hrabio, ja obudziłem w księżnie to co jeno spało, ale już żyło. Ja wskazałem cele, przekonałem popchnąłem, lecz nie zapaliłem. Iskra ta była w duszy księżnej, ja rozdmuchałem popiół z niej. Inna jakaś siła zapala ją w płomień dzisiejszy.

Hrabia rzucił na pustelnika bystre, uważne spojrzenie, ten zaś kończył swoją myśl.

— Ta iskra płonie, pragnieniem mojem jest, by księżna w swej działalności nie ustawała, by cele jej wzrastały i zmieniły się już w wytyczną, konieczną drogę życia.

Chcę, by to przeszło w zamiłowanie do takiej pracy, w obowiązek, prawie w nałóg. Wówczas, gdyby zapal

zgasł, co już nie w mojej mocy podtrzymać, pozostanie przyzwyczajenie do czynu i tenże obowiązek. Ot... ot...

— Krystyn może w niej to systematycznie niszczyć własną niechęcią, uporem... — mruknął bez przekonania hrabia Salezy.

Lecz pustelnik energicznie zaprzeczył.

— Nie! Upór księcia podnieca tylko księżnę. On jest twardszy, ale kto wie... może i on przejdzie do obozu żony.

— Ha... ha ha! — śmiał się hrabia — to już byłby nie tylko przewrót Jarowa, ale chyba przewrót całego świata!

— Przewroty takie zdarzają się niekiedy, panie hrabio w ludzkich jestestwach nawet bez pomocy zewnętrznych wypadków. Ot... już tak.

— No... aby nie u księcia Krystyna. Jestem o niego spokojny!

I przypomniały mu się słowa księżny, że mąż jej na szlaku idei żadnego nie widzi promyka, bo mu żaden nie świeci.

Lecz myśli tej nie wyraził głośno.



## VII.

Burza zerwała się nagle i szła. Zaciekawila, lecz nie przerażała obawą kataklizmu. Rozpętała się szybko; niosła z sobą pomruk grozy a zarazem jakąś, jakby tęczę nadziei, że rychło umilkną huczące już gromy, że huragan zwinie rozwiane już skrzydła i po krótkiej rozmowie nowa zapanuje cisza. Słuchano grzmotów hen, z oddali, z tym dreszczem niepokoju z jakim się słucha ponurego pomruku nadciągającej chmury gradowej i widzi cień rudoszary jej cielska. Obawy rosły, bo jęk ziemi, bo huk gromów wzmagał się, serca drżały, bo wieści były już krwawe. W duszach budził się zapalny wyrw męstwa, wiara się ocknęła z omdlenia i z inną znowu nadzieją, że to potęga, że to nie przelot huraganu, lecz, że to wzburzony szalenie pęd jego, przodujący rydwanowi, na którym nadciąga Nemezis! Pewność ta utrwałała się, różne budząc uczucia. Jedni biegli zdyszani na spotkanie zagadkowego rydwanu, by podążyć za nim, drudzy nie ufali w jego tajemniczą moc.

Ci pierwsi skierowany mieli wzrok płonący na Zachód, oczekując z tamtąd wymarzonego, wyśnionego blasku zorzy, a drudzy utkwili mętne oczy we Wschodzie, tam

widząc jedyny ratunek, ostoję, przyszłość z nim jeno łącząc. Spodziewali się nawet z tej strony świtu jutrzeńki.

Obie wiary i te dwie różne nadzieje ścierały się, spychały wspólnie, ale w istocie nieświadome przyszłości śledziły przebieg chmur, obliczały odległość grzmotów z napiętą ciekawością, z trwogą, w podnieceniu wielkiem. A mgłą okryta Nemezis, sobie tylko znanym gościńcem, zbliżała się ku celom jej wiadomym, trzymając wagi o obciążonych nadmiernie szalach. Wypadki następowały po sobie gwałtownie. Odmęt światowy porywał w swój wir, krew płynęła obficie, łącząc się z posoką wroga i z krwią brata w bratobójczych walkach. Nawałnica rozszalała się; tytaniczne śmigły jej obalały ludzi jak muchy, co raz większe ich zastępy zagarniając w swój młyn piekielny. Pierwszym podmuchem wichury przyniesiony z zagranicy do Jarowa, książę Krystyn nasłuchiwał głuchego echa surm bojowych z ironicznym uśmiechem na ustach. I on mętne oczy wlepił we Wschód, wierząc głęboko, że tam jeno zbawienie, ratunek, że stamtąd padnie cios, kończący jednym zamachem całą zawieruchę wszechświatową. Ufał bezwzględnie i heliotropicznie obracając się w stronę świetlistego gmachu swych nadziei, czekał rezultatu. Lecz zapasy trwały, a książę zdumiony spostrzegał rysy i szczyrby w gmachu swojej wiary. Widział to, bo widzieli wszyscy, ale spokoju swego nie zakłócał. Dysputował tylko z ludźmi tych samych pojęć co i on i już ostatecznie znienawidził pustelnika i Orzęckiego, gdyż oni odczuwali w tym zamęcie pogrom jego ideałów, wierzyli w pochod bogini sprawiedliwości i płonące stare serca byłych męczenników nieśli tam, gdzie jeno szczupła garstka młodych serc, dawała w ofie-



rze własną, kipiącą, bujnym temperamentem krew. Książę Krystyn nie pojmował takich wzlotów, dziwiły go, nawet oburzały; on ironizował z zapalów takich, wiarę tamtych nazywał utopią, ich miłość brakiem zdrowego rozsądku i przesadą, ich czyny szaleństwem, a objawy radosnych uczuć — szopką dziecinną. Gniewały go te, jak nazywał buntownicze ruchy i sam z poczuciem swej wyższości duchowej giął się lojalnie w stronę przeciwną. Chciał i żonę napoić odwarem własnych przekonań, lecz znowu trafił na opór, wprawdzie nie zdecydowany jeszcze, ale zgrubym podkładem wątpliwości w doktryny męża. Księżna skłoniła się raczej ku zapalnym pojęciom, pociągnięta ich urokiem. Wszelka utylitarność była dla niej obcą, legalność wstrętną. Księżciu imponowała siła, jego żonie zaś bohaterstwo. Coś ją intuicyjnie rwało ku tym szeregom, które jak hufiec złotopiórych ptaków leciały ku zorzy, otoczone ze wszech stron wrzącemi bałwanami oceanu wściekłych namiętności.

Burza stała się już orkanem potwornie ryczącym, kanonady wstrząsały ziemią, szły klęski, pogromy przewalały się, znacząc po barbarzyńsku ślady swoje krwawe. I jak rzeka rozlękana występuje z brzegów, tocząc spienione wody, wciągając pod siebie ląd, niszcząc, łamiąc, druzgocząc, aż dokona zagłady, tak orkan ten straszliwy rozlewał się dalej i dalej, miazdżył, niweczył, zatrącał i śmierć za sobą wlokąc. Co raz bliżej, bliżej, nadciąga grzmot. Jak słyhać nasuwającą się trąbę powietrzną i widać słupy czarne na horyzoncie, skąd ona idzie, a las, a przyroda cała drży, przecuciowym lękiem; dreszczem zgrozy przeniknięta, w trwodze ruiny i skona, tak samo ludzie, słysząc zbliżający się huk, widząc dalekie jeszcze

łany, przerażeni byli i niepewni. Co raz nowe hasła i sygnały, że to... idzie, że to... przyjdzie i tratując przejdzie i pogna dalej okrutne cielsko. Oczekiwano w natężeniu. Groza już wiała. Powstał niesłychany popłoch, ludzie wpadali w obłęd strachu. *Panika!* Uciekają, uciekają, brzmiało dokoła zwiększając zamieszanie.

Uciekają!... powtarzało co raz więcej głosów, niebywale głośnych. Biją, pędzą, wypędzają precz, fala płynie wartko, zbałwaniona, rozbuchana, huczająca.

Więści nadlatują z szumem ptasich stad; dla jednych są czarne jak złowieszcze kruki, w krwiożerczości swej nieprzewidziane dla innych, niby białe gołębie, witane radośnie, z weselem i łzą wzruszenia w oku. Nadciąga Nemezis, nadciąga! Idzie!... a przed nią żagwie płonące, a za nią dymy popiołów. Idzie i pochłania i oczyszcza kraj z zakału najeźdców i spycha ich dalej i dalej. Szlak jej pochodni śmiało pędzi naprzód, bezwzględnie, zaborczo.

Czują wszyscy, iż tą ognistą różgą wielka mścicielka oswobadza, wyzwala. Że ta różga to jej narzędzie zemsty, a gdy czas próby się spełni, złamie się ją i usunie, by już jeno gałązka oliwna kwitła swobodnie. Szał w duszach potężniał, serca paliły się jasnym płomieniem, widocznej już dla wszystkich nadziei.

Ci, dla których wieści o tryumfalnym pochodzie mścicielki były stadem kruków, ci wierzyli w odwet, w raptowne odwrócenie się huraganu, oczekiwali, ufając, iż moment ten blizki. A Nemezis szła i szła. Stolica wolna!... załopotala wieść na orlich niesiona skrzydłach.

Wolna! wolna!... bo to już arjergarda pochodni wolności, — te jej obecne więzy. To już jeno różga pozostała po wygnaniu knuta krwawego.

Pustelnik stary, marszałek Orzęcki i księżna żyli niby w blaskach jutrzni. Książę miał wrażenie, że mu ziemia usuwa się z pod nóg. Irytowała go żona i cała jej partja widoczna już w pałacu, drażniły go złowrogie wieści, gniew jego dochodził do pasji; przestał czytać gazety, zabronił opowiadania sobie nowin. Przeżywał swe strapienia, dygocząc wewnątrznie. Aż oto nowy łopot kruczych skrzydlisk.

Twierdze graniczne złamane. To już zbyt blisko.

Nawałnica jest tuż... tuż. Krwisty wieniec pożogi otoczył horyzonty Jarowa, jakby cały palił się dokoła świat. Noce widne od łun, a dniie dymami w okół owiane i grzmot, nieustający ani na chwilę. W okolicy panika dosięgła punktu kulminacyjnego. W Jarowie zgielk od uciekających. Drogi zapchane; tłumy piesze, bryki, wozy, ekwipaże. Uciekać!... Uciekać! — wołano z brawurą obudzoną nagle i żywotną. Hasło ucieczki poruszyło i księcia Krystyna. Wstąpiła w niego nagła energja. Był u hrabiostwa Eustachów, tam spotkał Mussin-Puszczewa, ten przyklasnął i pochwalił zamiar.

— Wyjeżdżają Eustachowie i Poniieccy i Dobruccy. No... cała śmietanka okoliczna — mówił książę do żony.

— Ucieka również i nieśmietanka, mój drogi, bo zastępy miejskich urzędników, polaków, razem z czynownikami...

— Tych tam... ja nie zauważam.

— I razem z nami — dorzuciła księżna. — Za to ten i ów „szarak“ szlachecki, jak ich nazywasz, nie rusza się z miejsca.

— Tym się również nie dziwię. Arystokracja wyjeżdża i to <sup>mi</sup> wystarcza.

— Stryj Salezy zostanie, za to ręczę!

— No, Salezy! odwieczny maniak!

— A ty jesteś nowoczesny szermierz, idei... zmykania.

— Ena!...

— Czy wiesz jak profesor Hruda nazywa ten ruch?... On mówi, że to nie wędrówka narodów, to wywędrowanie narodu, ze swego kraju do cudzego, to ucieczka od swego boga do obcego bałwana, bo przed nim przywykło się pokłony bić bałwochwalcze. Więc nie spostrzega się agonji ginącego olbrzyma byle własną ratować bezradność.

— Co mówi ten twój profesor, to jest dla mnie obojętne. Ale ty, Ena, nie powinnaś ani słuchać, ani powtarzać jego insynuacji.

— Wierzę w niego bardziej niż w wasze złudy bez żadnych podstaw.

— Podstawy te są trwalsze niż sądzisz ty i ten... skwater. Szkoda, żeś nie rozmawiała z Mussin-Puszczewem w tej kwestji.

— Cóż, kiedy on fiut!... Zmyka!... — zawołała księżna.

Podrzuciła przytem lekko i zgrabnie nogę, uderzając się w kolano, z zabawną miną.

— Ach, Ena!... Quelle manières! Wyjazd Mussina niczego nie dowodzi. Ale on by cię napewno przekonał, co do tych podstaw i naszych złud... jak się wyrażasz.

— Dobrze! pomówię z nim o tem, gdy... wróci.

Książę rzucił ramionami niecierpliwie i mocno z irytowany wydawał rozkazy pakowania rzeczy, ładowania mebli na wozy; całe wewnętrzne urządzenie pałacu, makaty ze ścian, cenniejsze ozdoby, obrazy, portrety, skarbiec, biblio-

tekę, zbrojownie, stajnie, wozownie, szorownie, nawet kuchnie i spiżarnie, nawet psiarnię postanowił zabrać, by wieść tam, gdzie grunt uważał poniekąd także jakby za swój, a bezpieczny i pewny. Gorączka wyjazdu rozpaliała go, lecz jakoś nic nie zdołał spełniać, bo nie miał sympatyków w swym projekcie. Księżna tłumaczyła mu, że o ile jest pewność szybkiego odwetu, to jechać z takim taborem pod wiatr, nie widzi racji. Książę wpadł w gniew. Spostrzegł, że żona znowu mu się opiera, zgadywał wpływ pustelnika. Widział go zresztą na całym dworze i bliższej okolicy. Profesor Hruda dziwnie był czynny. Konikiem swoim z Semenem, kręcił się po wsiach, zaglądał do dworów, skąd dochodziły słuchy o zamierzonej ucieczce obywatela. Wszędzie widziano pustelnika, a gdzie zajrzał tam następował względny spokój i stamtąd nikt jakoś nie wyruszał. Książę wiedział, że nawet udawało się pustelnikowi zawrócić z drogi niektórych uciekinierów, o ile zaś byli ze stron dalszych, pogrążonych już w ogniu, to pod mocą perswazji starego profesora, zatrzymywali się w Jarowie, w Smolarni, lub w blizkich wsiach, by przeczekać burzę. Książę nazywał Hrudę szaleńcem i ani chwili nie zawahał się co do postanowionego wyjazdu. Walczył uparcie z niechętną żoną, aż nadszedł moment decydujący. Burza zahaczyła o Jarów. Pułki, szwadrony, maszerowały w ucieczce, szły całe zastępy piechoty, cwałowały konnice, wlokły się działa, wieźli szpitale. — Wszystkie drogi, dróżki, nawet pola zaczęły się żółdactwem, końmi, taborami. Wrzawa rosła i rósł strach. Nieustanny tętent, turkot, rzenie koni, głuche hurkotanie armat, a dokoła palące się wsie, dwory, szerokie rozlewiska łun, na szarem od dymów niebie, a w powietrzu

ciągly huk blizkich już piorunów. W tym chaosie przejechali przez Jarów księstwo Ponieczy, prowadząc za sobą szeregi wozów, przestraszeni byli, rozgorączkowani i zdumieni się bardzo, że księstwo Krystynowie jeszcze w domu. Książę zerwał się, by z nimi jechać, rozgniewany na żonę kazał kamerdynerowi pakować walizy, gdy stanął przed nim pustelnik. Spytał spokojnie.

— Książę pan wyjeżdża?... Dokąd?...

— Panie łaskawy, jadę tam, gdzie zdążają wszyscy — chłodno odrzekł magnat.

— Na miłość Boga niech książę tego nie czyni. Dokąd jechać; poco i do kogo?... Tam do nich, do naszych wrogów, pod ich faryzeuszowskie opiekuńcze skrzydła i na co, na tulaczkę, może na poniewierkę?... Opuszczać własną ziemię w chwili krytycznej, przełomowej, to się nie godzi książę panie, na Boga to grzech. Ot... jak tak... Grosz swój, polski, dla nich, wywozić, uciekać z ojczyzny w chwili gdy ją depcą wrogowie i u tych samych wrogów gościny, schronienia szukać. Wstyd książę panie, ot... ot hańba! Książę jest obywatelem polskim, tu, na własnej ziemi trwać winien.

— Zostaw profesorze swoje wywody dla chłopów i tych... tam obywateli, których podobno wstrzymujesz od ratowania się — mnie proszę zaniechać.

— Książę panie, nie czyń tego, nie czyń — gorąco błagał Hruda. — Co księcia do tego skłania, co zmusza?... Nic, nic! To tylko ot... ot... prąd taki dziwny... taki ot... już tak... bezmyślny pęd, ale zastanowienia — rozważgi. Zmykają urzędnicy, bo lecą za posadą, ze strachu wreszcie, wierząc w moc tamtych, nie rozumiejąc życia i bytu bez nich. Ale książę, z własnego kawala ziemi

nie może dezertować. Teraz otworzą się dla nas pola-  
ków szranki nowe, trzeba...

— Mój panie... Hruda — zanim te utopijne szranki  
pańskie otworzą się, czy stworzą, my tu będziemy z po-  
wrotem. Voilà!...

— Kto to... my?...

— My, co wyjeżdżamy z budynku płonącego i nasze  
wojska.

— Jakie nasze?...

— No... et bien,... nie widzi pan, że armia się cofa  
chwilowo, dla strategicznych celów.

— Książę pan nazywa ją naszą?... — szeroko otwo-  
rzył oczy pustelnik. — Słyszałem to samo w miasteczku,  
nasze wojska zwyciężają, a potem nasze wojska czynią  
odwrot chwilowy. Tak mówili ci, co już wywędrowali  
jako awangarda „naszych“ wojsk. Ale z ust księcia pana  
nie spodziewałem się tego usłyszeć. U nas pali się dach,  
trzeba dom ratować, zamiast biedz do budynku cudzego,  
który się nie tylko pali, lecz zawala się sam w gruzy,  
bo podwalina już strupieszala. Ale choćby tam był gmach  
kamienny a u nas chata, nasz święty obowiązek w niej  
pozostać z idea, by i ją uczynić gmachem skalnym.

— Już pan skończył panie... panie Hruda?...

— Nie książę, nie skończyłem, bo książę wreszcie  
ma syna i tego na tułaczkę po obcych stolicach nie na-  
razi, ot... ot... on musi tu pozostać jako przyszły filar  
polskiego społeczeństwa, polskiej arystokracji...

— Syn i żona pojedą ze mną.

— I cóż wy tu będziecie robili po powrocie?... wy,  
dezertery z placówki społecznej. Jaką będzie wasza rola  
w naszym kraju i jaka mina?... Bo wy nie wygnańcy,

jak tu niektórzy pompatycznie twierdzą z tych, co sami zmykają, *wy* uciekinierzy z pod dachu matki pod dach wroga, bo niby silniejszy. Czem wytłumaczycie waszą ucieczkę?... powtarzam, tamtym więcej wolno niż wam... tamtych dla wielu różnych powodów czemś wytłumaczyć można, was... niczem. Chyba strachem, a to już... to już nie po męsku, nie po obywatelsku, nie... po książęcemu.

— Panie Hruda, dosyć!... Dosyć, dosyć profesorze! Nie masz pan prawa do mnie tak przemawiać! Rad twoich nie usłucham i... mam już ich... za dużo. Żegnaj!

Książę opętany z gniewu odszedł gwiżdżąc z irytacji.

Odjechali Ponieccy, rozeszła się wieść, że wyruszyli Dobruccy. Książę był zupełnie gotowy do drogi, nie mógł tylko zmusić żony do towarzyszenia mu. Księżna sama i razem z pustelnikiem i Orzęckim powstrzymywała męża i błagała go, by został. Przekonana przez profesora, upierała się po swojemu energicznie. Stanowczość jej jątrzyła księcia, jej prośby przyjmował wybuchami gniewu, starli się z sobą parokrotnie bardzo poważnie. Księżna widząc, że męża nie zatrzyma, zawahała się, osłabła. Wyjazd postanowił książę już na dzień następny. Pakowano ostatnie bagaże. Księżna roztrzęsiona, spłakana chodziła napół przytomna, gdy nagle stanęły przed pałacem dwa samochody. W jednym jechali hrabiostwo Eustachowie z gubernatorem Mussin-Puszczewem i adjutant Mussina, w drugim dzieci hrabiostwa z nauczycielką i korepetytorem. Książę Krystyn wybiegł na ganek. Nastąpiła szybka wymiana zdań.

— Wyjeżdżacie?... powinniście już być w drodze — zawołała hrabina.



— Ruszamy jutro rano.

— Ależ niemożliwe, za późno.

— Da... da!... niema czasu na zwłokę, — potwierdził Mussin po rosyjsku. — Tut budiet pierestrelka oposno!

— Tut pazycja, — poprawił konkretniej adjutant, książę Czugajew.

— Słyszysz księżę co panowie mówią? Uciekajcie! Pan gubernator eskortuje nas aż do miejsca.

— To jest?...

— Ach, do stolicy naturalnie.

— Do jakiej?... — mimowoli spytał księżę.

— Nad Nową wszakże, — szczebiotała hrabina, — tam pewno i księstwo podążą, prawda?... przypomną się nam dobre czasy. Wtedy się bawiło, a teraz...

— Zaczem że! W Pitrie wsiegda wiesieło, — pocieszył adjutant.

Hrabiostwo pytali o księżnę, która się nie ukazywała. Oni zaś nie wysiadali z samochodu, gdyż gubernator naglił do najspiesniejszego odjazdu. Księżę zrozumiał, że żona nie wyjdzie, wytłomaczył przeto gościom, że jest nieobecną w pałacu. Pożegnali się z tem, że się wkrótce zjadą razem.

Księżna całą scenę obserwowała dyskretnie, z okna wyższego piętra. Gdy księżę wystąpił do żony z wymówką, że nie wyszła, ona lekceważąco wzruszyła ramionami.

— Ja miałam do nich schodzić? Ach zbyteczne! Byli sobie en famille z tymi panami. — Zresztą tyś im wystarczył.

Zaledwo automobile gubernatora opuściły Jarów, gdy opanowali go kozacy, Wataha skoczyła do stajen, szo-

rowni, wyprowadzono konie, porywano siodła, rzemienie. Powstał zamęt niesłychany. Administracja broniła ile sił starczyło, lecz wy kierowane na nich karabiny dońców, usunęły przeszkody. Księżna z pustelnikiem i Orzęckim dzielnie stawiała opór rabującym. Cuganty, pieszczone przez siebie wierzchowce, wrywała z rąk zbójeckich, trzymając w ręku rewolwer, skierowany wprost w dzikie ślepie kozaków. Otaczał ją zastęp masztęlarzy, stajennych, ale jej własna energia największy wywierała wpływ.

— Isz kakaja!... smotri!!... — mruzcili dońcy odpędzani przez księżnę, lecz świadomość, iż to »kniahinia« onieśmielała niektórych, mniej zrewoltowanych, czy z większą dozą niewolniczości we krwi. Książę nie pomagał żonie, wzywał ją tylko przez różnych posłów, nie opuszczając pałacu. Samochód księcia oczekiwał, szumiąc i dygocząc, gotowy do pędu. Stary kamerdyner sam wynosił walizy, reszta służby rozbiegła się; jedni byli przy księżnie, drudzy pochowani po kątach w przerażeniu. Książę zrozpaczony, niecierpliwie czekał na żonę. Dziecko już ubrane do drogi, zanosilo się od płaczu, słysząc i widząc rwetes nieopisany. Pustelnik jeszcze raz dopadł do księcia z błaganem, lecz został brutalnie odtrącony. Biegł więc stary do księżnej i zdumiał. Ujrzał ją stojącą w otoczeniu tłumu złożonego, z całej służby jarowskiej i z bliższych folwarków, oraz z chłopów ze wsi. Wołali coś do niej, składali ręce, padali jej do nóg, obejmowali kolana. Pustelnik zbliżył się i przekonał, że błagają księżnę, by nie odjeżdżała od nich, by ich nie zostawiła na zaturę i zgubę. Na jednych twarzach malował się przestach wyraźny, na innych wyłącznie jakieś odbicie pokory i prośby. Księżna była błada z gorejącemi oczami, podniecona i nie-

pojęcie dla samej siebie wzruszona. Pierwszy raz w życiu znalazła się w takim tłumie bezpośrednio, zatopiona w nim. Pierwszy raz w życiu odczuła iskrę sympatji tak wyraźną u tych ludzi. Zauważyła już dawniej, od czasu wprowadzenia reform w Jarowie, inny typ zachowania się względem niej chłopów i własnej służby. Cieszyło ją to, nigdy nie obeszło tak, jak w tej chwili, nigdy nie wywołało tyle miłych uczuć. Łzy błysnęły w jej oczach, rozpalone usta drżały, bezradną była trochę i spłoszoną. Uśmiechała się, kiwała głową bez słowa. Pustelnik szedł jej na pomoc. Rozsunął się tłum przed nim. Stary stanął przy księżnie, ujął jej rękę i wskazując na lud otaczający ich zwartym kołem, rzekł cichym głosem.

— Księżno, patrz, oni cię błagają, byś ich nie opuszczała. Jesteś potrzebna dla tych ludzi, dla Jarowa, dla kraju. Ich prośba, ich zebranie się tu, to świadectwo czem już jesteś dla nich po niecałych dwóch latach pracy, oto masz rezultat. Księżno, proszę się opanować, obiecać im, że nie odjedziesz i zostać.

— Ależ... gdyby mój mąż...

— Jeśli księżna się oprze, książę sam nie pojedzie.

Zebrani ludzie nie rozumiejąc i nie słysząc co mówili z sobą, odgadli, że i profesor prosi księżnę o zostanie, ponowili przeto swe błaganie, gdy w tem nowe hordy kozactwa pojawiły się na dziedzińcu. Tłum strwożony rozpadł się na boki. Na pół dzikie postacie zeskakiwały z koni. Runęli wszyscy prosto do stajni pałacowej. Księżna ujrzała całą siłą wyciąganego za uzdę Mahmuda. Zakipiało w niej. Krzyknęła na służbę i dopadła kozaka w chwili, kiedy troczył głowę konia do sztachet, waląc go trzonem mosiężnej nahajki. Ogłot nie pozwalał się

okulbaczyć. Księżna w pasji najwyższej chwyciła konia przy pysku i odepchnęła brodacza lufką browninga. Kozak zamierzył się na nią karabinem, lecz w mgnieniu oka broń wyfrunęła mu z ręki. Drab zatoczył się i grzmotnął na ziemię, gruchnięty między oczy olbrzymią pięścią strzelca Daniła. Kozacy wrzasnęli z wściekłości, zasyczały grube przekleństwa, lecz zajęci rabunkiem, nie spieszyli ratować i pomścić omdlałego towarzysza. Daniło odczepił Mahmuda i dopiero teraz prostując się, zameldował:

— Książę pan kazał prosić jaśnie oświeconą księżnę, bo pilno. Książę pan bardzo zły.

Księżna rozpaczliwie spojrzała do koła. Wszyscy patrzeli na nią w oczekiwaniu. Pustelnik utkwiał w niej wzrok surowy, prawie nakazujący.

Porwała się z miejsca, nagle zdecydowana.

— Daniło, pilnuj mi tego konia! Nie daj go nikomu!

— Słucham!

Księżna pobiegła do pałacu.

— Ja go zatrzymam, ja go nie puszcze! do nóg mu się rzucę, — zawołała do pustelnika, który ją dogonił.

— Zostańcie, zostańcie!... tu tylko wasze cele. Szkoda, że książę nie widział tłumu waszego ludu.

— Ach, onby ich rozpędził.

W sieni pałacowej stał kamerdyner, paru lokajów i bona ze spląkanym Krysiem, patrzyli na księżnę przestraszonymi oczyma.

— Gdzie książę?...

— Książę pan... wyjechał.

— Co?!...

— Książę pan nie mógł się doczekać jaśnie oświe-

conej i jak ci ostatni kozacy przewalili koło pałacu do stajen, tak książę pan wsiadł do samochodu i... odjechał.

Księżnie opadły ręce. Stała chwilę jak skamieniała, poczem po bladych policzkach jej przeleciała ognista fala krwi, drżące usta przycięła zębami aż do bólu, a powieki jej szybko, szybko mrugały.

Pustelnik zrozumiał jej mękę i walkę z zbierającymi się gwałtem łzami. Wziął Krysia na rękę i podał go matce.

Chwyciła dziecko, tuląc je do siebie. Profesor ruchem głowy oddalił służbę. Księżna we włosach syna topiła łzy. Ale pięcioletni malec odczuł płacz matki, popatrzał jej w oczy i skrzywił buzię żalśnie.

— Papo wróci, wróci. — pocieszał go profesor. Książę jednak nie wrócił.

---



## VIII.

Ogniste ptaki szrapneli, granatów leciały stadem nad Jarowem, z łoskotem i szumem. Syk olbrzymich pocisków przecinał powietrze rozedrgane od ciągłego ruchu. Szybki lot śmiertelnych potworów, skuwał ludzi przerażeniem, chrobot ich skrzydeł nie ustawał i złowrogim wark. Gdy ptaki te ogień niosące spadały na ziemię, huk potężny powstały z dotyku ich cielsk — ogłuszał, a ziemia rozpadała się tworząc głębokie szczeliny i wyrwy. Gdy ptaszysko siadło na budynek wybuchał pożar, słupem płomienia wałąc w górę, gdy uderzyło dziobem w ścianę, czyniła się tu szczyba i sypał gruz.

A wielkie gardziele żelazne wyrzucały co raz nowe stada żarłocznych ptaków. Nadlatywały gęsto chmury drobniejszego ptactwa ze skrzekiem piekielnym, jakby gwizdem szatanów. Klóły ziemię bez wielkiej szkody, przebijały mury odłamując tynk, ale za to niby owady kąśliwe czepiały się ludzi. Którego tknął świergoczący ptaszek-kula, ten padał i pogrążał się w mrok śmierci. I trzeci rodzaj ptaszków grasował obficie, ten był najzjadliwszy. Sypał gradem, kładł pokotem. Ich lot to szczekotanie ciągłe, nieustanne, niby rechot jakichś gigan-

tycznych żab-lewiatanów, monotonne, rozgwarzone a ostre w dźwięku, jak ciskany na marmur śrut równym matematycznie a szalenie szybkim tempem, rumot, djabelnie rozchychotanych dział, grzechot karabinów, siekanie kartaczownic, zgiełk, tumult, wrzawa! Wściekł się cały świat, szaleństwo ogarnęło ludzi. Zdawało się, iż ziemia nie zniesie tego orkanu piorunów, że zatrzęsie się w tym odmiecie, że ją ten wir pochłonie, że runie w otchłań bezdenną. Zdawało się, że powietrze, cała atmosfera płomieniem się zajmie i spali. Dymy pożarów osnuły świat, a wśród dymów i blasków ognia śmigwały jak race siwo błękitne obłoczki szrapneli. Leci, leci kędzior wraży z furkotaniem i syczeniem, rozpęka z trzaskiem, zieje ogniem, zasypuje ziemię żelazem i ginie jak rozbity na czerepy garnek. A oto nadfruwa nowy kłębek, inny ma głos, inną w sobie grozę. To granat sięga ziemi, patrzy, wypatruje gdzieby spaść, czy też leci tam, dokąd go pchnięto. Nowy grzmot, nowy rozłam gruntu, lub nowa pożoga. Pomiedzy tą magnaterją pocisków, niby świta królewskich potentatów, dmie, wali, siecze naokoło istna zamieć kul. Ryk, świst i warczenie; powódź płomieni, lawina ołowiu. Huraganowy ogień rozszalał się nad jarowską rezydencją. Dwie wrogie sobie baterje, ponad Jarowem stały gońców śmierci w nieprzyjacielskie szeregi. Park zryty był okopami, dalej stały linje dział, kilka budynków folwarcznych płonęło. Stajnie rabowano doszczętnie, szorownie również. W pałacu zatrzymał się sztab polowy, cały gmach splądrowały tabuny kozackie, niszcząc i gospodarując jak u siebie. Odbito piwnicę, wytaczano beczki wina, starki, miódów, rznięto na uczy co się dało, w łomocie armat, w rozbestwionej wrzawie.



Pustelnik z Daniłem, czuwali nad pałacem, lecz nie mogli wstrzymać potopu, zalewającego tu wszystko brutalną, dziką falą. Cała służba siedziała pochowana po piwnicach i zupełnie obezwładniona ze strachu. Orzęcki nie pomagał profesorowi, nabawiał go raczej nowego kłopotu. Stary weteran nie był wrażliwy na kule sypiące dokoła, biegał sobie pośród nich jak w roju pszczół, modlił się głośno, ale krzyczał i klął przytem nieustannie. Ogarnął go jakby obłęd. Pustelnik musiał i na niego zwracać pilną uwagę. Profesor obserwował przebieg bitwy, był przytomny i czynny. Zaglądał często do sklepionej piwnicy, w której przemocą zamknął księżnę z dzieckiem, a gdzie również zgromadziło się dużo dworskiej służby. Księżna chciała pozostać w pałacu — lecz profesor nie pozwolił na to. Mury gmachu trzęsły się od huku, oddawały echo po otrzymanyach ciosach. Najwyższy szczyt wieżycy, z chorągwią rodową runął, druzgocząc część dachu. Mrowie żołdactwa biwakowało w salonach, rozwalało się na adamaszkowych kanapach, rozpijało się przy beczkach, inni zmykali z okopów do okopów na gwałt robionych, paru rzutami szpadla. Oficerowie jedli, pili, telefonowali, łapali co się udało, a gwizd kul gnanych w dwie przeciwne strony wciąż potężniał.

Odgłosy bitewne, cały ten rumor i hałas niezmierny działał na księżnę podniecająco, ożywiał ją znowu. Zgnębienie po ucieczce męża, wstyd za niego, zmieniał się w zapal i w nową energię, a zarazem w nienawiść do tych, którym książe wierzył. Byli oni dla księżnej obojętni, teraz poczuła, że są wrogami. Obudziła się w młodej kobiecie krew waleczna jej przodków i połączona ze zrodzoną świeżo nienawiścią wrzała w niej niecierpliwie.

Księżna nie mogła się doczekać końca rozprawy. Daniło raportował jej o przebiegu pozycji i o tem, co się działo w pałacu.

— Czy zbrojowni nie zrabują? — pytała księżna strzelca.

— Dobrze my ją z panem profesorem ukryli. Nie dobiorą się. Ale co piwnicę toby wychlali ze szczętem, tylko nie nadążą.

— Dlaczego?... — zaciekawila się księżna.

Daniło wyprostowany jak struna, rozejrzał się po zebranej w ścisłą gromadę służbie i szepnął z największą pewnością.

— „Udrjufut“, jaśnie oświecona księżno.

Poczem dodał tajemniczo.

— Tamci są już w Smolarni.

— Co ty mówisz? Skąd ta wiadomość?

— A oniż sami, żołdacy tak gadają. Jak pozycje się cofnie, tak tu dopiero kozaki zaczną hulać. Gadają, że będą palić.

— Przecie już się pali.

— To od granatów jasna księżno, a resztę to oni „popodżygają“ sami. Ale niedoczekanie ich.

— Dlaczego?...

— Niedamy — z mocą rzekł Daniło. — Niech tylko psubraty spróbują „kogatki“ puszczać! Profesor Hruda już nad nami komendę wziął.

— A pan marszałek co robi?

— Pan marszałek biega po pałacu ze sztucereim i swoją szablą i kogo spotka, to krzyczy na niego »won«!... dość wy się tu nagospodarowali, wybiła godzina wasza i nasza«. Wszystko jedno czy oficera spotka, czy żołdata,

a nawet do pułkownika tak samo krzyknął i szablą się zamierzył. Chcieli go związać i aresztować, ale pan pustelnik powiedział do nich i nam przykazał mówić, że pan Orzęcki trochę fiksat. Tak my i gadamy, trzeba ratować, bo strach co wyrabia.

Księżna uśmiechnęła się blado. Zachęcony tem Daniło prawił dalej:

— A jak się tak już pan marszałek nakrzyczy, nawymyśla, to zaczyna się modlić, krucyfiksem żegna cały pałac i tę stronę, skąd na nas armaty walą i woła, a ręce do góry podnosi: »Oni przyjdą, przyjdą, ja ich jeszcze zobaczę«, taj znowu: »won! wybiła wasza i nasza godzina«. Tak ciągle.

W tem straszny huk szarpnął murami piwnicy. Księżna skoczyła z miejsca.

— Jezus Marja!... pałac wysadzają?... Daniło biegnij i sprowadź tu profesora.

Strzelec wybiegł i po chwili wrócił z pustelnikiem.

— Niech się księżna nie niepokoi to granat dużego kalibru rozwalil cały front gorzelni.

— Spiją się do reszty spirytusem.

— Eh, już tam nic niema, wyżłopane. Jak się księżna pani czuje? Kryś widzę śpi, pomimo huków.

— Zmęczony malec okropnie. A ja, jak pan widzi. — Czyż można się tu dobrze czuć?...

Pustelnik popatrzał dokoła. W półmroku paru lamp siedziało, stało, leżało kilkadziesiąt postaci męskich i żeńskich. Słysać było szept pacierzy, kwiliły płacze dzieci i ciche pojękiwanie kobiet. Zaduch panował tu i gorąco było niesłychane. Księżna w swoim kątku, wybitym dywanami, siedziała na fotelu i niedźwiedziej skórze przy

łóźeczku śpiącego syna, dalej trochę czuwała bona, panna służąca, kucharz i stary kamerdyner, zielony ze strachu.

— Drażni mię ta piwnica, — rzekła księżna, — już niedługo wystarczy mi cierpliwości na siedzenie w tej norze. Mój mąż pięciu minut by tu nie wytrwał, gdzie on jest, jak pan sądzi?

— O ile nigdzie się nie zatrzymał, to jest już bardzo daleko i na razie bezpieczny.

— Może prędko powrócić?...

— O... nie sądzę, chyba, że gdzieś ugrzązł blisko, ale... wątpię. Niech jeszcze droga księżna pocierpi trochę, ogień za wielki, nie można się narażać. Te sklepienia pewne jak forteca, lepsze niż skarbczyk pałacowy.

— A ochrona, szkoła, bezpieczne, czy się dzieci nie trwożą?

— Są wszakże z opiekunami, tamte piwnice również mocne. Mają co jeść, zaglądam do nich często, niech księżna będzie spokojna, nikomu się nic nie stanie.

— A wieś... w okopach?...

— Ale, w jakich!!... trochę bab z dziećmi w dworskich piwnicach, a resztę w ziemiakach.

— Poco pan się naraża, chodząc pod kulami.

— Ja ot ot... już tak!...

— To krótko potrwa... Smolarnia już zajęta, czy też kozunie sadybę moją spaliły? Żałowałbym....

— Podobno i tu obiecują palić wszystko.

— Jarowa... teraz nie spalą — rzekł pustelnik z mocą.

Gdy profesor wyszedł, księżna zamyśliła się poważnie. Gonila myślą uciekającego męża i zastanawiała się nad własną sytuacją. Odczuwała w sobie dziwne przełomy,

widziała przed sobą inne jakieś horyzonty. Często spadał na nią niepokój nagły, jakby się coś wkrótce spełnić miało. Oczekiwanie czegoś nieznanego, niepojętego było w niej wyraźne i gnębiło. Czasem przeleciał nietoperz trwogi, że to przeczcucie śmierci, wówczas młoda kobieta wzdrygała się i czyniła znak krzyża na czole, pochylając się nad synem tuliła drżące usta do jego skroni. Czasem gniew ją porywał, wówczas biegła po piwnicy i wychodziła na próg, chcąc uciec z tego mroku i zaduchu, lecz tam pilnował Daniło i kategorycznie zatarasowywał drzwi. A grzmot armat nie ustawał, karabiny warczały. W piwnicy było co raz ciemniej i straszniej, niepokój dziwny w duszy księżnej wzmagał się, wstrząsał nią dreszcz wewnętrzny. Daniło znosił dla niej pledy różne i futra, oraz pożywienie, ale księżna nic tknąć nie chciała, karmiła Krysia i dzieci służby zebranej w piwnicy. Robiła to dla rozrywki, byle usunąć drażniący ją niepokój. Cała gromadka dzieciarni otoczyła panią, narazie z wahaniem, lecz księżna obyta już z dziećmi z ochronki, umiała i te oswoić. Gwarzyło to, wyciągało ręce po jedzenie. Z lubością dotykały się dzieciaki ślicznego łóżeczka Krysia. Za siatką, obudzony już malec stał i trzęsąc rdzawemi lokami, klapał rączką po głowach małych swych spektatorów. Zadowanie było obopólne. Za dziećmi kilka matek zbliżyło się do księżnej nieśmiało, wywiązała się gawęda, na co patrząc stary kamerdyner mruczał, że to już koniec świata i wruszał ramionami zupełnie zgorszony. Daniło bez ceremonji chciał baby odsuwać, lecz wstrzymany przez księżnę wypowiedział sakramentalne — słucham — i wyprostował się służbowo jak żołnierz na warcie. Księżna potakiwała biedolonom

bab, szczebiotom dzieci, odpowiadała im, ale w duszy jej nie milknął trwoźny jakiś zew, nasuwał do umysłu dawną wizję. Majaczyła w mroku twarz blada, męska, dumna i silna w wyrazie, rysowały się brwi sokole, ściągnięte bólem i myślą, czoło z pionową fałdą pomiędzy brwiami i migotały z pod czarnych rzęs, źrenice nieco szydercze, pełne buntu, niekiedy szatańskie. Księżna wpatruje się w te oczy, z zapartym oddechem, a oto widzi zmianę; źrenice łagodnieją. ich surowość rozwiewa się, szyderstwo znika, natomiast występuje w nich rzewność miękka i uczucie męskie, mocarne a groźne w swej władczości pociąga ją ten wzrok szczególnym czarem, dziwny urok owiewa całą tę postać majaczącą co raz wyraźniej w półcieniach piwnicy.

Skąd ta wizja teraz, w tym tłumie prostych ludzi, w hukach dział, w okrutnym rumorze wojennym. Dlaczego ta sylwetka ukazuje się jej co raz częściej, dlaczego myśl o nim płynie w przestrzeń i błądzi bezradnie, bez punktu oparcia, bez świadomości co z nim?...

Cierpienie ducha stało się tak silne, że nie mogła wytrwać. Stanowczy rozkaz jej obezwładnił Daniła, z nim razem opuściła piwnicę. Wieczór już zapadł, na niebie błyszczwały gwiazdy, dokoła świeciły łuny. Kanonada działa urywała się chwilami, jakby zmęczony rykiem potwór nabierał sił lub słabł. Księżna odetchnęła świeżem powietrzem z chciwością rozejrzała się ciekawie, lecz pociągnięta energicznie przez strzelca pobiegła do pałacu. Kilka kul świsnęło opodal, potknęła się parokrotnie o leżące ciała.

— Co oni, śpią?...

— Śpią — odrzekł Daniło, dziwnym jakimś głosem.

— To trupy — przeraziła się i odsunęła szybko.

Wpadła w ogromną kupę pierza, pozostałego po uczie, poślizgnęła się na leżących kulach, w pewnej chwili Daniło porwał ją na ręce, ocalając od wpadnięcia w okopy. Nareszcie wbiegli do pałacu. Zastąpiło im drogę kilku pijanych żołnierzy.

— Kto idiot?!... — wołały ochryple głosy.

— Z drogi! — krzyczał Daniło.

Gwizd ohydny smugnął w uszach księżnej.

— Ej... krasawica!... ty dla mienia.

Soldat chwycił ją w pól, odorem okowity buchnął jej w twarz.

— Precz — krzyknęła.

W tem głuchy strzał, żołdat zaskrzeczał i zwałił się na wznak. Strzelec uniósł księżnę.

— Coś ty zrobił, Daniło... zabiłeś?...

— Czort z nim! Pijanica!

Pustelnik zdumiał, ujrzawszy księżnę w pałacu chciał ją schować do skarbczyka, lecz oparła się temu.

— Ależ księżno, teraz najgorsze momenta, nie można tu zostać.

— Za nic tam nie wrócę! Kryś bezpieczny... ja nie mogę!

— Pałac pełen żołdactwa, dezorganizacja ostateczna — zaczną grasować kozacy. Księżna się strasznie naraża.

— Dam sobie radę.

Młoda kobieta skoczyła na schody wiodące do baszty, najwyższej zdruzgotanej poprzednio, po wieży z chorągwią. Tam weszła na mały balkon rodzaj krużganku, wglębio-

nego w murach, z widokiem bardzo rozległym na całą okolicę.

— Tu zostanę.

Nie było rady.

Pustelnik uznał to miejsce za możliwe, zbyt wysoko dla kul karabinowych, działa zaś większe już milkły. Profesor mrugnął na Daniła i odszedł. Strzelec nie przestawał czuwać. Księżna oparta o wysoką balustradę, szeroko i daleko wzrok swój posyłała, w dymy i łuny. Myśl jej zakreśliła horyzont odległy. Ujrzała oto kres długotrwałej epoki. Idzie mścicielka dziejów, a pochód jej rydwanu to jeden tryumf. Co będzie, jakie są losy tej ziemi, tylokrotnie we krwi skąpanej. Jakie przez nią przewieją jeszcze huragany, jakie przejdą zamiecie i walki. Jakie są horoskopy przyszłości? Czy to istotnie brzask szczęśliwego świtu — jak mówił Orzęcki i pustelnik? A jeśli tak to... to... tem większy wstyd dla tych, co świtu oglądać nie chcieli. Nie wierzyli w jutrznię, a jeśli ona powstanie w całym swym blasku i zaleje kraj pełnią nowego światła? Jakże — oni — spojrzą jej w oblicze, oni, małego serca i duszy płochliwej, jakże odczują tę zorzę odrodzenia? Żal ścisnął serce księżnej, że męża swego nie powstrzymała, że pozwoliła mu tak haniebnie stchórzyć i żal, że sama wahała się chwilowo, iż nie tylko sobie, lecz i pustelnikowi dużo zawdzięcza. Czemuż jego wpływy przezemnie nie podziałały na Krysta? — myślała młoda kobieta.

Teraz on jest w liczbie tych, co ze szranków własnych zemknęli w cudze chaosy. A tu wstają nowe zorze, nowe pójdą dnie, nowe hasła. Oni tu wrócą, jak synowie marnotrawni wrócą?! powinni byli trwać, powinni byli



witać jutrznię i sztandar wolności wznieść razem z tymi, co go teraz wzniosą — bez nich. O wstyd!... Bo cóż oni z sobą przyniosą wracając? Swoją złamaną wiarę w tam tych, swój egoizm? Swoją abnegację ojczyzny?... Oni, magnaci, arystokracja kraju, oni, filary społecznej hierarchji! Czyż oni teraz zaważą podawnemu? Kto się na nich oprze, kto im zaufa?... Oni, co powinni gmach ojczysty trzymać na swych barkach jak Atlas ziemski glob, oni zeszli ze stanowiska sami, dążąc do mitycznych ogrodów Hesperyd po utopijne złote jabłka i ustępując miejsca innym, tym, którzy przetrwają. Kto ucieka, ten pozostawia wolną placówkę nowym siłom. Więc gdy ongi, przed pomroką ostatniego stulecia kraj ginął, oni byli w obcych obozach, na obcych dworach, teraz, gdy kraj oczekuje wschodu jutrzeńki wyzwolenia, oni także gremjalnie wycofali się z granic ojczystych, na nieprzyjacielskie ugory. Nie chcieli być w zastępach oczekujących, wierzących i walczących poszli tam, gdzie wygodniej. Sybarytyzm, egoizm — myślała księżna z goryczą. — I to my, my... magnaci?... taki serwilizm dla wroga, gremjalna ucieczka pod jego knut po tylu ranach, wiara w jego opiekę po tylu zawodach? Skąd takie przywiązanie, skąd ta ufność bezbrzeżna w ich obietnice i skąd ten pewnik w ich moc?... Jakie pobratymstwo łączy nas z tym szczepem nienawistnym, nas polaków, nas magnatów rodowych. I to my pierwsi poszliśmy za nimi? Cóż nas tam pociągnęło, jakież tam urok nas porwał? Względ praktyczności, względ trzymania się większej siły? I to my, magnaci?... gdzież nasze tradycje?... Prawnuczka byłych wojewodów, kanclerzów, hetmanów, senatorów zwiesiła głowę nisko, nad balustradą

kruźganka, opanowały ją wspomnienia tradycyjne, szumiały jak rój os i szerszeni, słyszała ich syk, czuła ukłócia. A jednak oni, jej pradziadowie nie popełniliby jeszcze dezercji z własnych okopów do nieprzyjacielskich.

Księżna podniosła czoło z dumą.

— Nie, moi nie zrobiliby tego... i... ja... nie zrobiłam! A Kryst?...

Głowa księżnej znowu opadła nisko, rój os stał się chmurą trutniów i bąków kąśliwych. Wstyd się wzinógł i okropnie bolało w duszy. Kryst, jej mąż, ojciec jej dziecka pochodzi z... tamtych Atawizm go nie wstrzymał, atawizm go popchnął. A teraz... teraz... Czy tam istotny blask, czy złudny pozostaje fakt, iż się za blaskiem goniło, nie bacząc, że to, co winno być najdroższem okrywają mroki. Księżna zasłuchała się w swych myślach, zanurzyła w nich. Błyszczały i bladły nad nią gwiazdy, huk dział umilkł, tylko głuche churkoty kół tętniały dokoła. Tam na dole gotowało się jeszcze, wrzało. Tumulty głośniejsze wznoszone to tu, to owdzie świadczyły o nieskończonej walce. Czasem pojedynczy piorun wystrzału przeszył jednostajny zgielk, czasem zaległa sekundowa cisza. Nagle zarechotały żaby-tytany.

Ta... ta... ta... ta... ta... ta... ta... ta... ta... ta...

Do księżnej gwałtownie podbiegł Daniło.

— Jasna księżno, za mur, za mur!... tu może dolecieć. „Kulomioty“ warczą.

— Skądś się tu wziął, Daniło?...

— Ja tu... czekał... wartował. Za mur, jasna pani, ot. za ten występ, bo strasznie grają.

Pociągnął księżnę i schował w niszy grubych murów.

— A ty, Daniło?... schowaj się.

— Ja, ot tak...

Kucnął na kamieniach w kącie krużganku i czoło przyłożył do żelaznej kraty.

Ta... ta... ta... ta... ta... ta... ta... ta... ta... ta... sypał gęsty grad kul.

Jakiś rumor w baszcie, szybkie kroki, pęd i na balkon wbiegł marszałek Orzęcki, blady, z gorejącymi oczyma i obnażoną szablą w rękę. Nie spostrzegł księżnej, ani Daniła, stanął przy balustradzie i machając szablą jął krzyczeć dzikim, podnieconym głosem.

— Won, won zbójce, satrapy... kalmuki, mongoły. Won! dosyć waszego gospodarstwa, wybiła godzina wasza i nasza!... Won!... oto... to... to... to... to, ostatnia miotła was wygania!... mieccie kulki, mieccie!... to... to... to to!... a dalej, że ich, w nich!... gnaj... pędź... morduj... bij!... bij!... — ryknął żubrzym głosem, że zdawało się pierś staruszka pęknie z wysiłku.

I znowu machał szablą i znowu wrzeszczał... won!... bij! naśladował tempo trzepiących kul, skakał i trząsł się cały.

Księżna wychylona z za muru patrzyła na niego w zdumieniu, potem z uśmiechem, chciała go zaczepić, lecz Daniło przeszkodził błagalnym ruchem. Zatrzymał księżnę za rękę i szepnął.

— Ubije... jasna pani,... nie pozna — taj ubije!... Boże zbaw! Strasznie rozsierdził się.

Księżna jednak nie wytrzymała, jednym skokiem dopadła do starego i chwyciła go za rękę trzymającą szablę.

— „Siałek Żęcki“ zwarjował?...

— Co to!... kto?! Won! A... a... to księżna pani, pokornie przepraszam! Ot, mościa księżno, wymiata się resztę śmiecia, słyszy księżna ta... ta... ta... ta... ta... złote, kochane miotelki. Idę bić, bić, bić... jeszcze i stary się przyda. Bij!... — wrzasnął i ruszył do wnętrza baszty — z impetem.

Nagle wrócił, porwał ręce księżnej i wyciągnawszy głowę na suchej, cienkiej szyi zachrzypiał jakby przez łyż.

— Ja ich jeszcze zobaczę, ja ich jeszcze zobaczę, mościa księżno.

— Kogo?... — spytała lekko drżąc.

— Legjony.

Poczem szarpnął się i znikł w ciemnej głębi.

— Dur jego napadł — szepnął Daniło.

Księżna stała jak przykuta do miejsca. Dlaczego ją to jedno słowo tak wstrząsnęło?... Czas jakiś...

-- Daniło — krzyknęła — biegnij za marszałkiem, on się gdzie zabije, albo jego zabiją. Ruszaj!...

Strzelec zawahał się.

— Ruszaj!... słyszysz!.. mam rewolwer, mnie tu nic nie grozi. Pilnuj marszałka!

Strzelec wybiegł.

— Co to jest?... jakiś urok na mnie spadł, dlaczego to słowo?... —

Młoda kobieta przylepiła się prawie do żelaznej kraty i trzymając ręce przy skroniach myślała, słuchała, patrzyła.

Trajkot karabinów maszynowych nie ustawał. Trzask ten świdrował w uszach i głużył wszelkie inne odgłosy. Na chwilę ucichło i znowu sieczą, sieczą ostre kaskady



brwi, lecz w jego oczach przebija po przez dumę wzruszenie, migoce żal jakiś. Otacza ją całą tym ciepłym, dobrym i smutnym wzrokiem. Ach, oto szept jego wyraźny... ona go słyszy... słyszy... »A gdy się kiedy spotkamy inną już będziesz, bo cię przeistoczą...«

Ten sam, ten sam głos, słowa, któremi ją żegnał, wtedy... wtedy...

— Bohdanie! — krzyknęła księżna, wyciągając ręce żywiołowym ruchem.

Wychyliła się w osłupieniu głęboko po za kratę poręczy balkonu.

Co to?... On znika, znika, znika?... odjeżdża prędko, prędko... cały szereg z nim. Och... stanął... patrzy na nią. Szczęście!...

...Chwyta sztandar... wznosi wysoko w górę... salutuje ją i... koniec.

...Słysząc tętent Mahmuda, znikł... zgasło wszystko. Jakaś mgła... tuman...

Księżna uklękła przy balustradzie i zapadła w zachwyty pół snu, pół jawy. Trwała tak długo, nie spostrzegła w zadumie, że na wschodzie wystąpiła złoto-różowa taśma i szła w górę nieba świetlista, promienna, a bogata w tonie. Cały przestwór powietrzny pokrył się lekką jak pył morelowo seledynową szronogą. Gwiazdy zmętniały, gasły jedna za drugą, cicho potulnie, blade i nikłe w obec potęgi świtu. Spokój i radość na niebie, cisza na ziemi. —

Księżna ocknęła się jak ze snu. Co to?... nic nie huczy, ucichł rechot żelaznych żab, hurkoty, tętenty... luno, rozwiały się widziane obrazy.

Kobieta zakryła dłonią oczy, jakby zatrzymać w nich pragnęła ostatnie zarysy i refleksy minionej halucynacji. —

Cisza. Świat zastygł, śpi, czy zamarł?

Nie, bo oto znowu krzyk, wrzask, strzał. Co to?... W porannych oparach, w różach świtu widzi księżna w oddali, na polach jakieś poczwarne zjawiska; djabłów, czy straszdeł bajecznych?

Skaczą to tu, to tam, migają niby kruki w niskim locie. Co to jest?... Rozbiegane koniki o dużych łbach kudładych, rozwianych ogonach do ziemi i spadzistych tyłach, szerokie w kłębach, niosące na grzbietach dziwacznych jeźdźców. Na plecach mają oni odstające jak garb toboły, głowy o szczególnych kształtach zdarte całe na jedną stronę, nad nimi błyszczą w rannej zorzy ostre piki na karabinach.

Księżna patrzy ze zdziwieniem, jak na stado centaurów rozbrykanych. Oto dwie ich sylwetki, podskakują prawie na tylnych nogach do jakiegoś budynku, błysk, ogień puścił niby z procy. Wybuchnął dymek, lecz nagle na dachu, już kilku ludzi... dymek znikł. Drugi centaur skacze, ćwika się kańczugiem po udach i w podskokach bardzo charakterystycznych dopada do dużej sterty zboża. W tem z za stogu wysuwa się jakaś gromadka trraf!... krótki strzał, coś spada i sam konik umyka wierzgając z kwikiem. Tam, daleko, znowu skacze czarny krzyżyk kruka, znowu błysk, dymek, coś się zaroiło, zakłębiło. Księżna zdumiona zniża wzrok, na bliższe widoki. I tu to samo. Tu już wyraźnie widzi kozaków na kurs galopem tańczących konikach; podsuwają się do stodół, obór, tam dalej, do białych budynków ludowego domu i nowego szpitala, kłusuje kilku, ale i stamtąd

i stąd wybiegają na nich jakieś gromady ludzi, kilka strzałów i puszczane »kogutki« płomieni gasną. Tam zapalił się dach jakiś, ktoś woła, słyhać głośną komendę, strzyka sikawka i tłumi iskrę.

Co to za ludzie?... Księżna z wysoka odróżnia chłopów, dostrzegła wreszcie liberyjną figurę Daniła i poznała przy nim szczupłą postać pustelnika.

Zrozumiała wszystko.

Łzy wzruszenia zakręciły się jej w oczach.

...Czemuż Kryst tego nie widzi, czemuż Kryst uciekł?...

Jak wówczas, gdy ją tłum tych ludzi błagał by została w Jarowie, tak i teraz niesłychanie dobre uczucie wniknęło w jej duszę i łagodnie koilo ją, ach nawet upajało.

— Więc jednak ma już w nich przyjaciół, umieją być przyjaciółmi? Dziś musi im być wdzięczną.

— Im czy pustelnikowi?... — zadała sobie księżna pytanie.

I odpowiedziała natychmiast, że tylko pustelnikowi. Profesor Hruda był latarnią, która rozświecała ich mroki. Latarnię swą podsunął jej, z życzliwą prośbą, by zapaliła w tym ogieńku pochodnię szerszego czynu. Zrobiła to narazie bez zamięłowania, traktując jako nużący wstęp do wyższych działań, do jakich ją unosiło. Lecz bardzo prędko iskra użyczona przez profesora spotkała się w duszy z przygasłą już iskrą rzuconą niegdyś przez... tam tego i wówczas zapłonęła ogniem zapału.

Księżna długo rozważała zestawiając niedawną przeszłość z chwilą obecną, różniącą się już zasadniczo.



Ranek był zupełny gdy usłyszała za sobą głos pustelnika.

— Księżno droga, już po burzy.

— Ach profesorze, cóż to była za dziwna noc... i ten świt to... wszystko.

— To była noc wielka księżno. A ot patrz, paniż... ty moja. Cudny widok.

Profesor wskazał kobiecie rozległe pola za parkiem, łąki i bliższe ogrody.

— Proszę patrzeć, księżno. Zmyka arjergarda kozacka. O!... salwy!... to już ostatnie. Księżno, księżno, na Boga! patrz na te hordy. Jakże sadzą w popłochu! Tylko co rozbijali się w pałacu, pili herbatę ze spodków trzymany na trzech palcach, z przykuską, a oto... marsz, marsz kopytami bachmatów się przykrywają. Widzi księżna?

Patrzyli oboje na bezładną ucieczkę kozaków. Całe ich gromady wysypywały się z parku, z po za budynków, w panice niezwykłej. Niektórzy dopiero wyskakiwali z mieszkań, rzucając się z impetem do koni i rwali na przelaj przez płoty, rowy, haszcze i wszelkie przeszkody. Tętent, wrzaski i trrach, trrach, trrach!... salwy karabinów. Widać wszędzie małe, spadziste koniki cwałem pędzące, wysokie kulbaki i zgarbioną do szyi końskiej figurę, w okrągłej czapie, z wiechą włosów z boku, trzepiącą nahażem zady rozszalałych tabuńczyków. Mnóstwo ich gna, wywraca kozły, zrywa się, buch! na siodło jak piłka i dalej... dalej, śmigają niby zające po polu.

— Udiraj brat!... Radi Boha spasajta! Marsz... marsz!... — wołał pustelnik rozbawiony.

Księżna klaskała w ręceomal, że nie wyskakując z krążanka.

Trrach!... ttrach!... — nowa salwa.

Pustelnik spowaźniał. Podniósł ramiona, zapal miał w oczach, zorzę w całej twarzy. Wołał w uniesieniu.

— Za zbroczone krwią naszą stoki cytadeli, za Szlüsselburg i męczeństwo Łukasińskiego, za trupy naszej młodzieży porozrzucane po Syberji, za katowanie i męki nasze, za waszą tyranję i zbrodnie nadszedł dzień sprawiedliwości. Przyjdzie jeszcze dzień odwetu i porachunku.

— Amen — szepnęła uroczyście księżna.

Pustelnik zatoczył ręką szerokie koło i zawołał, z wybuchem.

— Patrz pani, słońce wschodzi. Świetlisty, wielki, jasny nasz poranek wylania się z mgieł, z dymu pożogi. Oby południe *naszego* dnia promieniowało już pełnią czystych blasków, ciepła i pogody.

— Amen — powtórzyła księżna.

Po za parkiem pojawiły się nagle siwe szkopki awangardy.

Pola były puste, konne sylwetki znikły z choryzontu jakby weń wsiąkły.

Co raz szerszy złoty krąg słońca wypływał i zalewał świat.



## IX.

Nowe dni ujrzały Jarów w odmiennej szacie. Wszystko tu było jak po przejściu nawałnicy, która nadszarpnęła silnie, lecz nie zdruzgotała. Ludzie szeroko, swobodnie odetchnęli. Tumult trwał bez przerwy, ale miał już inny charakter. Była wrzawa bez chaosu, rozgardjasz bez nieładu. Przerażenie, trwoga, razem z gromami i błyskawicami, niby groźna chmura posunęła się dalej.

Słońce stało na skłonie zachodu, gdy księżna Bożena z pustelnikiem, po odjeździe jakiegoś korpusu, rozmawiali z sobą na dziedzińcu pałacowym. Profesor wskazał jej kłęb kurzawy, toczący się szybko po szerokiej trawie.

— Nowy oddział wali.

Od bramy murowanej oderwała się drobna, ciemna postać, pędząc prawie na oślep ku pałacowi, z rozpostartymi ramionami.

— Wszak to marszałek — zdumiała księżna.

— Tak... ale. Co mu się znowu stało?...

— To oni!... to oni!... to oni!... krzyczał Orzęcki i biegł jak młodzieniec.

Twarz miał w ogniu, oczy gorzały wewnętrznym szaleń, cała postać robiła wrażenie rozpędzonego waha-  
hadła.

Gdy się zbliżył księżna chwyciła go za rękę.

— Kochany panie, co to, co?...

— Oni!... oni!... — jak w obłędzie wrzeszczał staruszek.

— Gdzie, jak?... Kto?...

Zadyszany wskazał ręką na trakt. W tejże chwili z tętentem szumnym pełnym kłusem cwałował przez bramę mały oddział konnicy. Jakiś łopot tryumfalny nad nimi, zwycięzki zew. Aleją ocienioną wiązami szarżowali wprost na stojących. Księżna i pustelnik cofnęli się na bok, młodą kobietę przykuła dziwna moc niepojęta, czar poprzedzał ich i leciał ku niej z siłą atakującego orła.

Orzęcki wznosił w górę obie ręce, trząsł się, dygotał, cały w płomieniach ze straszliwym krzykiem w rwącej się piersi.

— Oni... oni... oni!... Oddział gnał wichrem.

Pierwsze szeregi nadlatywały tuż aż warczało powietrze od pędu. Klasycznie wyrzucone nogi wierzchowców, z rytmiką i temperamentem, wygięte szyje, rozdęte krwawe chrapy, a nad głowami rumaków, szare postacie żołnierskie, małe czapeczki... orzełki.

— Nasi!... Artylerzyści!... — zawołał pustelnik.

— Oni... Oni... Oni!... — wył Orzęcki.

Zrównali się. Komenda głośna oficera, błysnęła wzniesiona szabla i... oddział stanął jak w murowany. Jednocześnie rozległy się dwa okrzyki; szaleńczy, nabrzmiały szczęściem, rozrywający piersi organ Orzęckiego i głuchy

w brzmieniu, lecz głęboki w tonie, szczególny głos księżnej Bożeny.

Skamieniała, sztywna, zbielała na twarzy, patrzyła... na swoją wizję.

Sen to... czy jawa?...

A starzec, jak był z rozpostartymi ramionami, tak rzucił się do strzemion stojącego z brzegu oficera.

— Ujrzałem was!... widzę... widzę!... polskie... wojsko!... polskie wojsko... Boże!... już... teraz... na... wieki!...

Krzyk ten przechodził w charczenie straszne...

Starzec wołał i całował strzemiona, łapał gorączkowo za siodło i konia, trzepał ramionami jak ranny ptak skrzydłem i obsuwał się, opadał, aż po ostatniem słowie, runął pod kopyta konia.

Oficer nie zdołał go zatrzymać. Nie słyszał może nawet jego krzyku. Sam był osłupiały, olśniony, z zamartwym oddechem w piersiach. Pustelnik pierwszy skończył do Orzęckiego. Komendant oddziału ocknął się. Krótki rozkaz... zsiadanie z koni, rumor, szcęk.

•Dźwignięto marszałka i położono na wznak.

— Omdlał... wody!... — krzyknęła księżna, oprzytomniawszy.

Uklękła przy głowie staruszka i jęła dłonią nacierać jego kościste skronie, żółtą powleczone skórą. Ktoś pobiegł po wodę. Pustelnik badał przez długą chwilę puls i serce, wreszcie podniósł się bardzo blady i rzekł matowym głosem.

— Nie żyje.

— Boże... Boże... — jęknęła księżna.

Pustelnik zwrócił się do komendanta. Wskazał zmarłego.

— Weteran z 31 i 63 roku, emigrant partyzant, zesłaniec nosi na piersiach złoty krzyż „Virtuti Millitari“, na ciele mnóstwo zagojonych ran. Dobiegał stu lat wieku. Oczekiwał was, marzył o was i... ot... ot... chwili tej doczekawszy... nie wytrzymał. Serce mu pękło z nadmiaru szczęścia.

— Cześć jego pamięci — szepnął oficer wzruszony i odkrywszy głowę przyklęknął przy zmarłym.

Z drugiej strony klęczała księżna i profesor Hruda, żołnierze polscy poklękali z odkrytymi głowami. Zaległa uroczysta, martwa cisza, tylko parskały konie i świergotały ptaki. Księżna pochyliła nisko głowę, przymknęła oczy, drżąc na całym ciele. Szept jej modlitwy przeżywał i mącił wewnętrzny krzyk duszy...

— On... Bohdan przy niej... On... Bohdan...

Oboje słyszeli bicie własnych serc, nie śmieli na siebie spojrzeć. Rozdzielały ich martwe, zimne zwłoki.

Oficer powstał pierwszy, za nim wszyscy. Legjonistów otaczał już mały tłum służby z pałacu. Za bramą widać było zbliżającą się baterję polską.

— Trzeba go przenieść — rzekł Hruda.

Zabrzmiała nowa komenda.

Żołnierze wyszykowali się w oka mgnieniu.

— Prezentuj broń!...

Zgrzyt stali i cały oddział na koniach uformowany jak na paradę z obnażonymi szpadami, tworzył szpaler, środkiem którego, na złożonych karabinach kilku legjonistów, oraz oficer i pustelnik, nieśli do pałacu ciało marszałka Orzęckiego. Księżna szła obok, widząc przed

sobą smukłą sylwetkę artylerzysty i jego typowy bez zarostu energiczny profil. Zaczęła się żarliwie modlić.

— On... Bohdan, mój... Bohdan — wołało w sercu, wołało w duszy płacząc i głuszac słowa modlitwy.

A dokoła nich miarowy tupot kopyt, cichy chrzęst trzęzli i munsztuków, sztywna stal wyprostowanych szabli, szare mundury... A przed nią on... Jezus Marja!... On!... ten sam co wtedy... tylko w innym stroju. Ten sam co w wizji... Szary mundur, mała czapeczka...

Sen to, czy jawa?...

Kobieta uprzytomnia sobie wszystko...

Więc to prawda?... to nie nowa halucynacja?...

Ona oto idzie za noszami, na których uspokojony już na wieki, cichy, leży starzec entuzjasta, wierny syn ojczyzny, wierny przyjaciel jej rodziny, marzyciel, ideowiec i zapaleniec. Księżna spogląda na tę drobną, suchą twarz koloru starego pergaminu, na zamknięte ręką pustelnika powieki na uśmiech niesłychanej błogości osiadły na ustach i na zastygły w rysach stygmat wielkiego wzburzenia, podniety szaleńczej, radości i szczęścia, w jakim wyzionął ducha. Zdawało się, że staruszek śpi i śni, iż otaczają go kolumny polskich bohaterów, że spoczywa na karabinach polskich żołnierzy.

— Ujrzał jeszcze Legjony wyśnione przez siebie — szepnęła księżna i pierwsze, grube łzy spłynęły z jej oczów.

Orszak zatrzymał się przed pałacem.

— Umieścimy zwłoki w zbrojowni — rzekła księżna do pustelnika.

— Dobrze... ot... ot... *tam dla niego najważświiej.*

Gdy nosze wniesiono na wysoki ganek nagle huknęły strzały karabinowe. To oddział artylerzystów dawał salwy na cześć zmarłego weterana.

Zapadał cichy jesienny wieczór.

Księżna krzątała się żywo, podniecona niezwykle, ale pełna energii, czynna. Przybyło jeszcze parę oddziałów Legjonów, przyjmowano ich gorąco ze szczerem uczuciem.

Pustelnik pomagał księżnie w jej gościnności i z daleka czuwał nad nią. Zrozumiał już wszystko. Widział powitanie komendanta z młodą kobietą w zbrojowni przy zwłokach Orzęckiego, bo dopiero wówczas nastąpiła prezentacja narazie zaniechana samą siłą faktów. Jego niskie pochylenie całej postaci, pocałunek jej ręki, a potem dumne, harde trochę wyprostowanie się i spojrzenie na nią, z pod lekko zmrużonych rzęs; jej rumieniec i walka, by zachować konieczny takt w męce wyraźnej uświadomiło wystarczająco profesora. Był on wzruszony postawą obojga, pełną szlachetności i powagi, przejęty sytuacją. Księżna panowała nad sobą mężnie, obowiązki pani domu spełniając z godnością i promiennym wdziękiem, cechował ją jednak niepokój i wzburzenie. W oczach jej świecił blask jakiś, rzucający snopy iskier, a tragiczny, usta paliły się żywą krwią. Nawet głos jej wpadający w tony altowe, miał po za swoim brzmieniem odczuwaną głębinę, otchłań uczucia skrycie zamkniętą dla obecnych.

Obserwacja pustelnika skierowała się na drugą stronę. I tam widział ból, siłę uczuć, mękę, tem większą, iż nieprzewidzianą w pozorach sztywności i chłodu. Gorączkę wewnętrzną ujarzmił dzielnie męską potęgą woli i pysznym wojskowym moderunkiem.



Po kolacji w pałacu, na której była cała starszyzna Legjonów, jedna kompanja wyruszała jako rekonesans, pod pozycje nieprzyjacielskie. Komendant oddziału artylerji ofiarował się dobrowolnie poprowadzić podjazd. Wieczór był ciemny gdy odjeżdżali w stronę krwawych łun, hen, po za Jarowem rozpiętych na horyzoncie. Koledzy oficerowie żegnali dowódcę baterji wesołemi okrzykami, ale on milczał. Księżna bez słowa stojąc na boku wpatrzyła się w jego postać. Tętno jej serca wołało ku niemu to wszystko, czego usta nie wypowiedały. Pożegnalny pocałunek jego czuła na ręku, palił ją żarem.

Odjechali.

Jeszcze trochę ruchu; rozstawiano warty i cisza zaiegła Jarów, przerywana hukiem dział z odległej pozycji.

Księżna nie poszła spocząć, zajrzała do oświetlonej rzeźńście i ukwieconej zbrojowni, w której spał snem wiecznym marszałek Orzęcki.

Kilka osób starszych ze służby, czuwających w sali, usunęło się grzecznie przed księżną. Podeszła blisko do wzniesienia, uklękła i zaczęła się modlić, ale myśl jej odbiegała znowu w inne zakresy. Więc czyniła sobie gorzkie wyrzuty, że nie może skupić umysłu przy zwłokach starrego przyjaciela i sługi jej rodu. Żal ją ogarnął, lecz... tanto... było silniejsze i porywało ku sobie nieprzepartą wolą. Chcąc koniecznie zwalczyć wszechmocny urok, tych pokus drogich w obliczu śmierci, by powadze jej majestatu nie uchybiać, księżna zaczęła głośno odmawiać litanję. Podchwycono ją skwapliwie. Zamamrotały głosy wśród ciszy panującej w sali. Modlitwa popłynęła uroczysta i szczerą. Ale księżnę przenikało przykre uczucie

lęku. Cały nastrój żałobny, syczenie świec i ten szmer monotonny głosów rozłagał jej nerwy.

Kobieta zatrzęsła się nagłym dreszczem, jakby dotknęła ją zimna ręka nieboszczyka. Słowa zastygły jej na ustach. Przerwano litanję. Oczy obecnych utkwiły w księżnej z ciekawością, inne z niepokojem i życzliwie. Tłómaczono to sobie tylko wybuchem żalu po zmarłym. Lecz w magnatce, duma, by nie okazać się słabą, zwalczyła natychmiast wewnętrzną trwożę, która wywołała ten dygot. Księżna podniosła głowę i pewnym, spokojnym głosem dokończyła litanji.

W kilka minut potem była już na swoim krużganku w baszcie i zagłębiwszy oczy w czarnej huczającej dali pod rude refleksy łuny długo, długo marzyła, śniła. W pewnej godzinie po północy, usłyszała księżna na dole szmer głosów, jakiś szum i stukot haceli podków na zwirowanym podwórzu przed stajniami. Wytężyła słuch, tamując oddech.

...Tak, to on wrócił z podjazdu.

Odezwały się warty, rozległy nawoływania. Odróżniła jego donośny baryton, wydawał rozkazy. Trochę przyciszzonego gwaru i wszystko umilkło, tylko łomot armat i rozbłysłe na nowo łuny, świadczyły, że tam szaleje orkan pędzący wciąż naprzód.

Wpatrzona w ciemności oczy księżnej dostrzegły nisko czerwoną plamkę żaru sunącą od stajen ku pałacowi. Wyczulony słuch wyłowił odgłos kroków.

...On idzie i pali cygaro — podszeptnęła intuicja.

Złoto-krwawa plamka żaru znikła pod filarami galerji tarasu na parterze. Kroki zadźwięczały głośniejsz ostrogami na kamiennych płytach brzękła szabla i... ucichło.

Żadnego skrzygnięcia otwieranych drzwi, żadnej smugi światła z okien gościnnych pokojów.

— On jest, tam, na dole ..

Księżna odczuwała sercem jego obecność na tarasie. Ukryła twarz w rękach. Drżała w niej każda żyłka, każdy puls osobno tętnił. Nerwy były w niej niby struny roztargane. Całą przeszłość ujrzała jak na jawie, jego miłość, jego dumę i hart męski. Tragizm ich rozstania dziś, teraz, zabolął ją więcej, niż wtedy, gdy się żegnali.

— Widziałam cię w wizji... dziś jesteś tak blisko mnie — szeptała do siebie ze wzruszeniem. Ciągłe coś nas dzieli... rozdzieliła sfera... dzieliła przestrzeń... różne stanowiska, dziś... spotkanie... Czy mogło być coś bardziej niespodziewanego?... Olbrzymia chwila!

— Teraz dzielą nas mury... noc...

— Dlaczego teraz?... Dlaczego?...

Księżna wyprostowała się, groźnie spojrzała przed siebie na szarzejące, zbladłe łuny. Zaczepnęła w piersi duży choust powietrza, jakby nabierając zapasu tchu. Przez krótki moment walczyła z sobą straszliwie.

...Jedyna chwila... jedyna! On jest, on czeka.... Świtaniem wyruszają... ostatnia sposobność... ostatnia godzina... On czeka — wołało serce.

W duszy brzmiał nakaz potężny.

...Idź tam... idź... idź!...

...Bożko moja... przyjdź... czekam.

...To jego głos!... On ją tak nazywał, to jego wezwanie, jego rozkaz, jego wola — zawołała księżna głucho i znikła z krużganku. Zbiegła z baszty lekko i cicho. Znanem sobie bocznem wyjściem wysunęła się do parku. Ukryta w grupach wielkich drzew, tuż obok węgła pała-

cowego muru stojących, przebyła szybko małą przestrzeń. Zatrzymała się pod filarami galerji. Ujrzała go. Siedział zgarbiony na niskiej, marmurowej płaszczyźnie poręczy schodów i palił cygaro. Szelest jej sukni zbudził go z ciężkiej zadumy. Odwrócił głowę.

Młoda kobieta podeszła śmiało.

On powstał.

— Księżno!!!...

W stłumionym okrzyku tym zawarł bardzo wiele.

Zrozumiała go. Wyciągnęła do niego rękę. Mocno schował ją w swych dłoniach.

— Pragnęłam tu przyjść, musiałam! Czy... dobrze, że... przyszłam?...

Zamiast odpowiedzi rękę jej przytulił do swych płonących ust.

Nieskończona zda się minuta ciszy, w której mówi i pięści mnóstwo głosów.

Usłyszał jej szept.

„A gdy się kiedy spotkamy, inną już będziesz... bo cię przeistoczą“.

Drgnął, oderwał usta od jej ręki.

Spojrzeli sobie długo w oczy. Pomimo grubego mroku zanurzyli się w swych źrenicach i czytali w nich treść serdeczną.

— Nie przeistoczyli?... — spytał głębokim, niskim tonem głosu.

— Wzmocnili...

Zgiął się gwałtownie i przyklękawszy, dotknął czołem jej kolan. Ujął drugą jej rękę i miękkie dłonie ukochanej kobiety położył sobie na skroniach.

— Błogosławieństwo moje, moja męczarnio... moja krwawa tęsknico, mój... płomieniu życia.

Pochyliła nisko nad nim rozpaloną twarz.

— Więc i ty... i ty?...

— Zawsze!... jednakowo silnie... męczeńsko...

Trwali jak w oczarowaniu.

— Marzyłem... przyzywałem... abyś przyszła.

— Dosięgnął mnie... twój nakaz.

Dźwignął się odurzony szczęściem.

Chłodna fala rzeczywistości przewiała nad nimi. Puścił jej ręce. Stał przed nią znowu dumny, wyniosły. On, oficer Legjonów, przed księżną Bożeną.

Słowa więzły im w krtani. Wzrok surowy, władczy utopił w jej twarzy. Brwi czarne zbiegły w dziki łuk. Pionowa bruzda na czole i pogłębione linje koło ust, tchnęły stygmatem kilkoletniej walki duchowej. Zaciętość i niezłomna moc była w jego wybitnych rysach. Po kilku sekundach niemej obserwacji, ona rzekła pierwsza... Wzruszenie tamowało jej mowę.

— Długie... nasze rozstanie... i... w zupełnej... o sobie nieświadomości...

— Ja wiedziałem dużo o... księżnie... lecz... nie przeczułem...

— Że jestem ta sama?

— Tak. Pozory były inne.

Skloniła głowę jakby w zawstyżeniu. Poczem odważnie podniosła na niego oczy.

— Nie mylił się... pan. Byłam inną. Ale to już... po za mną. Uczucie moje żyło we mgle, ogłuszone... lecz nie umarło. Stłumili we mnie iskrę ideału, jaką mi

daleś ongi... nie zgasła... i zapłonie jeszcze. Może sugestja... pana... —

Zawahała się.

— Mojej tęsknoty — dokończył.

— Może to, podsunęło mi takie okoliczności... wpływy, które we mnie odnalazły swego ducha. Pójdę jego śladem.

Wziął porywczo jej obie dłonie, przytulił do swej piersi z powagą i zapalem.

— Tego pragnę całą duszą. Byłem w cieniu, teraz mię opromieniasz, tęczą wiary, że nie powróci dotychczasowa pustka mego życia. Bądź natchnieniem moich ideałów. Czy mogę być tem samem dla... pani?

— Tak. Przewodnią ideą mego istnienia i czynów, jesteś i będziesz ty... komendancie. Bo, bo tyle szczęścia, tylko, udzieliło nam nasze... Fatum.

Głos jej załamał się, zgasł. Glazura oczów zwilgotniała od łez. Do rąk jej przylgnęły rozżarzone węgle jego warg.

— Dziecko moje... Posłannictwo nasze jest szczytne, spełnimy je z godnością. Jeden ideał nam świeci, dążmy ku niemu wytrwale. Ty, w swoim zakresie, bardzo szerokim... księżno, ja, jako żołnierz pracować powinniśmy... dla kraju.

— I tylko to... i tylko już to... dla nas?...

Rzewna jej skarga wstrząsnęła go rozdzierającym bólem. Mocował się z sobą jak tytan, by nie oczadzić jej urokiem. Przywołał na pomoc wielki zapas hartu. Z pieściwą niską intonacją przemówił.

— Najśłodsza pani!... Zostaje nam służba ojczyźnie. Teraz, promieniującą gwiazdą tej drogiej służby, będzie

dla mnie twoja miłość. Tobie zaś, najdroższa, ponawiam przysięgę, że jesteś mojem umiłowaniem, moją świętością.

Upoiły ją te stanowcze słowa. Rozkwitał nad nimi czar.

— Nie zawiodę cię nigdy! zawołała z głębi duszy — proszę mi ufać.

— Wierzę. Tyś dzielna!... Zostałaś w kraju i... nie wegetujesz. Rozepchnęłaś już druty waszej cennej a skąpej klatki. Idziesz naprzód, wyprzedzając swoich. Nie ustawaj! — Oni mogą usuwać przyczyny, lecz nie skruszą idei, nie złamią celu temu, kto sam swej wiary nie zgubi. Oni to przeszłość. Ty... pani bądź przyszłością.

Różowo perlisty brzask leżał na ich twarzach, wsiąkał w mroki.

Patrzyli sobie w oczy.

W gorącym szafirze jej źrenic — ujrzał wyraźnie niezmierną głębinę myśli, ponętę i poddanie kochającej kobiety, w jego spojrzeniu dostrzegła bezdenny nurt potęgi uczucia, z niezwalczonem męstwem i niemal z despotyzmem woli.

Nie mogli oderwać od siebie przykutego wzroku. Oświeceni światem napawali stęsknione oczy widokiem swych postaci. Trzymał wciąż jej ręce i... prawie bezwiednie, pchany ogromem pragnień pociągał ją ku sobie. Gięła się ku niemu ze słodyczą, posłusznie... Magnetyzowała ją jego zmarszczka pomiędzy brwiami. Wyjęła rękę z uścisku i dotknęła palcem pionowej bruzdy. Ramiona ich zetknęły się... Zadrżeli oboje namiętym dreszczem.

— Harde masz... czoło... komendancie...

Poczuła się nagle oplecioną, w jego objęciach.

Z wybuchem szału przygarnął ją silnie do tętniącego serca, na jedno mgnienie oka. Urok zawisnął nad nimi i dotknął ich złotem skrzydłem.

Odsunęli się od siebie, zdyszani... bladzi.

— Już... świta!... trzeba iść... — wyrzuciła szeptem z falującej piersi.

Męka straszliwa odbiła się na jego twarzy, jej rysy drgały żalem aż bolesnym.

Oficer przeciągnął dłoń nerwowo po swoim czole i włosach.

— Tak, czas... za chwilę ruszamy w bój.

Zduślił w sobie lwim wysiłkiem otchłanną rozpacz rozstania.

Kobieta oddała mu obie ręce.

— Duchy nasze pójdą razem, nierozłącznie...

— Tak — rzekł z mocą. Promieniuj nadal, promienie twoje niechaj szerokie roztoczą koła. Odrodzenie ducha twego, twórcze przyjąwszy kształty, nagrodą będzie dla mnie, dla ciebie nieśmiertelną chwałą. Chcę być posiadaczem twego ducha, jedyna... moja... na zawsze, na wieki.

— Jesteś nim i nim władasz i... tak pozostanie.

Jeszcze raz dotknął ustami jej rąk gorączkowo, krótko. Ostatnim łzawym połyskiem zabłysły mu jej oczy. Szarpnęła się prawie od niego, zrobił ruch, jakby ją chciał zatrzymać. Odbiegła, obejrzała się. Stał oparty na szabli, prosty, rycerski... ze ściągniętą kurczowo twarzą i skupionemi w ponury, groźny mars brwiami.

Księżna podniosła rękę do głowy, jakimś niezdecydowanym ruchem, łzy trysnęły z pod powiek. Zawróciła się szybko i znikła za murem.



Oficer wpadł ciężko na marmurową poręcz schodów. Głowę swą ścisnął w dłoniach, jakiś głuchy jęk targnął jego piersią.

— Zgasłaś mi znowu... Bożko moja — zaszemrały słowa mężczyzny. —

Świeć... świeć... mi najmilsza dzieciно... promieniu!... ogrzewaj... Odczuję... dojrzę... Ty moja!...

Żywiołowo, szaleńczo wyciągnął przed siebie ramiona... po nią.

Ale taras był pusty.

Warty żołnierskie schodziły z posterunków nocnych. Zaczął się ruch poranny.

Zaledwo pierwsze iglice złotoróżowych blasków osypały wschód nieba, księżna Bożena była znowu na swoim krużganku.

Wszystkie oddziały legionów wyruszyły właśnie na pozycje.

Księżna patrzyła duszą swoją i drżące serce posyłała za nimi.

Komendant artylerji wiódł baterję swoją, jadąc na Mahmudzie, na jej ulubionym wierzchowcu. Wyrwała go z rąk kozaka, Daniło go przechował, a teraz sama oddała pysznego ogiera, jemu, Bohdanowi, by mu służył, by na swym grzbiecie niósł go w bój. Z uśmiechem szczęścia widziała, jak on dosiadł tego piekielnego bachmuta, śmiało, zręcznie i ujarzmił go odrazu... i pieścił i dłonią klepał rasową wygiętą szyję, całą w sieci cieniutkich żyłek.

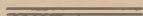
Widzi go oto z oddali. Za parkiem wspinają się na pagórek wśród pól szerokich.

Mahmud wyrzuca głową, pewno dzwoni munsztukiem i niecierpliwie żuje wędzidło. Z góry wali kopytami w ziemię, idzie z gracją w lekkich lonsadach, wdzięcznie, lecz poważnie, jakby rozumiał chwilę. Może instynktem koń faworyt odczuwa, kto jest obecnie jego panem i czyja ręka powoduje nim teraz tak stanowczo a miękko.

Księżna patrzy i patrzy... Co to on stanął... z boku szeregów stoi i patrzy na pałac, na nią patrzy!... Wznosi w górę ramię z obnażoną bronią, saltuje ją!... Wysoko podniósł rękę... to symbol szczytnego sztandaru ich ideałów. Ogniste gzygzaki wschodu migają na jego szabli. Moment!... saltuje ją jeszcze!...

...Ona rzuca ku niemu miłośnicie oba ramiona, jej białe dłonie lecą do niego jak dwa gołębie.

Już!... zwrócił Mahmuda... raptowny ostry tętent... wyprzedzając oddział swój pędzi cwałem, już znika... znika... Za nim, z głuchym hurkotem toczą się armaty aż ziemia oddaje echo. —



## X.

Przegrzmiwały burze, przeleciały nawałnice. Zawierucha jeszcze ponawiała się chwilami, jeszcze groziła, ale już po za nią przeświecało blizką pogodą.

Odrzaski nowej zorzy uroczne swoje pasma kładły na zwichrzoną atmosferę, łagodząc jej chłód i niepokój, nadzieją rychłego ciepła.

Oczekiwano tej przemiany z utęsknieniem. Wyśnione blaski nadchodzącej epoki czarowały.

Błogość wsiąkała w miliony serc gorących, u mnóstwa ramion wyrastały skrzydła zapału, do czynów rozwite.

Do tej potęgi, która powstaje. Do tych jasnych horoskopów, przenikających już wyraźnie dawne mroki. Opada resztę cieni, jutrznia wschodzi!... — wołano z entuzjazmem.

I dusze mężniały, rosła wiara. Temperamenty zahartowywały się, dążąc do tężyzny idei i mocy wytrwania. Chaos jak przed począciem nowego świata, zamęt spowodowany zalewiskiem haseł nie przerażał jeno niecierpliwii spragnione serca i oczy wypatrujące — Glorji bytu.

Dziejowa mścicielka dokonała czynu, rozsunała ciężkie kotary by zalać potopem świetlistości smutne, krwią nasycone łany, by olśnić, przeniknąć mgły z łez powstałe i osuszyć ich dolę, by zagoić blizny dawne i świeże, by dać udręczonym ziszczenie snów.

— Sąd skończony i wyrok wydany — rzekł pustelnik do hrabiego Salezego, siedząc z nim pod chatą w Smolarni.

— A tak, Nemezis odbyła swe przejście — odpowiedział magnat.

I tu świat śmiał się weselom, radował świeżą młodością. Lato rozkwitło strojnem w puszczy leśnej, ozdobiło bogato drzewa i łąkę na polance; rozpyliły się znajome wonie, pełne zawsze nowego wdzięku! Bór zachwycał zielenią, łąka kwieciami, zapachem nasiąkło całe powietrze.

Dwaj starzy chwilę milczeli jakby napawając się pięknem rozbudzonej przyrody. Poczem hrabia kontynuował.

— Krwawe to przejście, Nemezis, ale jedyne, by zasiać nasze jałowe niziny zdrowem ziarnem i by je rozfalować do ciągłego ruchu. Wówczas potworzą się pagórki i szczyty; tego nam trzeba przy plonach. Jak sądzisz, kochany profesorze, rychło li u nas ustali się pogodny dzień?...

Profesor bębnił palcami po swych kolanach, głowę miał pochyloną, oczy siwe i głębokie skierował na puszcze, gładząc ją spojrzeniem miłosnem. Ze źrenic jego bił szczyry prąd uczucia i palił się w nich żar.

— Ot... już tak!... panie hrabio. Ranek szumiący, ale południe będzie ciche, owocne i wielką falą światła

ogrzane. Przeczuwam, że małe wicherki jeszcze pobuszują, ale nie rozhulają się w zamieć niszczącą. Za wiele jest w nich pragnienia ciszy i żądz słońca, by nowe sprowadzać chmury. Dął huragan, walił grad cudzy, teraz zaczął by sieć swój własny?... Z własnego potu powstały?... to ot... ot... byłaby klęska!... Hańba!... Może nawet zagłada ostateczna.

— Ejże, panie hrabio, nadziei więcej, wiary! Trzeba ufać w nasze siły społeczne, tkwiące choćby w patryjotyzmie. A toż gdybyśmy zmarnowali podle, nasuwającą się dla nas wolność, toż byłby dowód, żeśmy jej nie godni. Cud się spełnia, czyż jeszcze wątpić, że go nie ocenimy?...

~~gib. Jed~~

— Możemy go przeoczyć. Nie wierzysz, panie Medardzie, że jest w naszym ogóle, dużo ślepoty?...

— Już się zmniejsza, hrabio. Dziejowe nieszczęścia zdarły z nas kataraktę, chyba bezpowrotnie. Coraz wyraźniej widzimy; zatem o przeoczeniu chwili mowy być nie może.

— A znasz przysłowie: „Mądry polak po szkodzie“ czyli szedł na oślep, nabił guza i dopiero wówczas spozstrzegł, że nie tędy właściwa droga.

— Zmienimy przysłowie, hrabio, na: „mądrzy polacy po dawnych szkodach“. Będzie to wyrazem skonsolidowania się ogółu, bez pojedynczych sobie panów, którzy największe nieśli szkody i... zapewnieniem, że do nowych nie dopuścimy.

— Wierzysz w nas — profesorze.

— Wierzę w naród, bo to siła, to stal zahartowana w piekielnym ogniu! Już się nie zegnije i ostrzem odępcznie przeszłość okrutną.

— A... nie stępi się znowu?...

— Nie! Zaostrza ją pragnienie swobody i rozwoju ducha, oraz straszliwe widmo wspomnień.

— Czy tylko nie ludzisz się troszeczkę, kochany pu-  
stelniku?

— Jestem tego pewny. I powtarzam, dzisiejsze wiejki, to objaw zwykły po takiej żywiolowej zawierusze. Ludzie mają w żyłach krew wzburzoną do dna, u wielu jest sfermentowana, musi się przetrawić; wyrzuci z siebie złe materje i zostawi najzdrowsze.

— O ile ferment nie weźmie góry, na zasadzie *dewizy* — *carpe diem*.

— O... panie hrabio, tę samą dewizę ogół podciągnie pod swoje hasła. Zresztą ot... już tak... jak się coś przewraca do góry nogami, następuje zawsze pewien chrzęst, jakaś wrzawa i poruszenie orbity powietrznej dokoła. Fizyczne prawo!... Ale to się uspokoi, ułoży jak trzeba.

— Lecz się przewróci. Sam to mówisz, kochany. A... nie wszystko przewrócone bywa dobre.

— Hm, może lepiej powiedzieć, nie wszystkim się to podoba, nie wszystkich zadowolni, to także naturalne. Sam przewrót wynika zwykle z przeciążenia, raczej przewagi góry nad dołem, vel podstawą. Traci się równowagę... i bęc!...

— Zdaje się, że nasze góry brzdękną teraz na łeb na szyję, — uśmiechnął się magnat.

— Hm... to możliwe.

— Bądź szczerym, panie Medardzie, i nie krępuj się mną. Ja należę do najstarszych, jestem z bardzo wypalanej gliny i pochlebiam sobie... z porcelanowej, przeto

nie obrażam się za prawdę. Nasze wyżyny istotne i fikcyjne, nowe i dawne fikną kozła, w myśl twojej teorii... z przeciążenia zapewne.

— Ot, ot... już tak, papiery spadają... W kursie społecznym...

— Spadają, czy tracą wartość?...

— O nie! panie hrabio! Walor ich zależy od nich samych. Niechże Bóg broni, aby wartość swoją zatraciły! A to co znowu!?... Tymczasem tylko spadają, obniża się ich znaczenie, gdyż są bezczynne, nie mają kursu. Lecz siłę taką odłożyć ad acta nie można, to byłby grzech przeciw prostej praktyczności.

— Siła śpiąca, bez motoru, to ciężar.

— W tem jest właśnie jądro sprawy, by znaleźć i zbudzić motor taki, panie hrabio! To jest duża dźwignia, gdy się ją poruszy. Zardzewiała jest, ciężka to prawda i głucha, no, ale dlatego też...

— Fajtnie kozła... He!

— A ot... już tak! To ją jednakże ocknie i popchnie. Usłyszysz nowe sygnały.

— I da nura!... — przerwał magnat ze śmiechem. Nie dziw się profesorze, że tak mówię, ale ja nas znam, do gruntu znam.

— Już raz dali nura, przed trzema laty; gdy wrócą, wówczas uprzytomnią sobie, że... trochę się zmieniło w kraju, po burzy i że chcąc egzystować, trzeba i własne doki oddać pod budowę nowego pancernika — ojczyzny, o dużej pojemności tonn; trzeba stać się trybami tej maszyny, gwintami śruby, która pchnie pancernik na pełne morze.

— A jeśli udziału swego dać nie zechcą?...

— Hm... to może być rezultat nieco mniej przyjemny.

— A jeśli wywędrują, pozmykają... zginą?...

— Oni zostaną, oni muszą zostać; ich nie puści wstyd, a nęćć będą przyszłe wpływy... może nawet zaszczyty?

Hrabia machnął ręką.

— Ej!... kochany profesorze, gdzież znowu zaszczyty, w nowych horyzontach, jakieś sam nazwał nadchodzącą epokę?... paradoks!

— Droga do nich wolna i szeroka, wiedzie przez — zasługę... Jest to podróż mozolniejsza od dawnych, łatwych szlaków, ale tem pożądańszy chyba i cenniejszy cel?

— Dla tych, którzy lubią trud. Ale dla takiego na przykład Krystyna... i wielu jemu podobnych, nowe perspektywy równają się katastrofie.

— To możliwe, bo oni widzieli tylko świetną aureolę swojej mitry, i to ich oślepiało. Dziś zobaczą, że przygasa... Hm!... to należy do... nieco przykrych odkryć. Mitra została, lecz jej połysk przyćmił się skandalicznie. Ot... już tak... — barbarzyński dmuchnął na nią wiatr — powiedzą pokrzywdzeni. A tymczasem nieprawda. Niech ta mitra tryśnie snopem żywego ognia, niech iskry rześiste rozsypie na kraj i złoci go i grzeje; niech łowem, wyrzuci z siebie wewnętrzne, istotowe, organiczne, że się tak wyrażę światło, wtedy otoczy ją wspaniała tęcza chwały, zasłużonej, wtedy skieruje na siebie wdzięczne oczy całego narodu, mnóstwo zjedna serc, zyska ufność kraju i jego szacunek.



— Ha!... kiedyż to my lubilibyśmy zasługi, bez ofiar.

— Niech hrabia porzuci liczbę mnogą. Bo sam ponosił i ciężkie ofiary i dał dużo pożytku dla kraju.

— Et! profesorze, robiłem to, co mi serce dyktowało i moje uczucia dla ojczyzny. Ale jam stary krytyk. Nie lubią mnie, bo mówią, że w całym dziury szukam, ja zaś widzę tylko te, które istnieją, lecz i to się nie podoba. Znam stare szczyby i nowe pęknięcia, stare łaty świeżym pokryte lakierem, błyszczą to, ale szwy znać. Ih!... kto tam na to patrzy, aby błyszczało! Mnie to boli, bo chciałbym czegoś innego, lepszego dla nas, w znaczeniu duchowem... Ale wszelkie moje próby utknęły zawsze na lakonicznem — non possumus — stosowaniem do każdej dziedziny.

— Hm!... a magistralnym powodem takiej odpowiedzi jest... ot... ot...

— Niedołęstwo i lenistwo — dokończył hrabia — w dodatku nieznajomość zasady — qui bene amat, bene cas: tibat. Ja chcę dla nas dobra, a mnie posądzają o niechęć do naszej sfery, nazywając zdemokratyzowanym obłąkańcem.

— Trzeba się jednak będzie z tym zdemokratyzowanym obłądem trochę pogodzić — rzekł Hruda i zaębnił silniej palcami po kolanie.

-- Otóż to właśnie. Tem więcej, że takie m... gdy wzburzone gotowe pochłonać wyspy najskalistsze, i... zych tradycji.

— Ee, nie koniecznie! Skruszy zwietrzałe skały, ale wyspy zostać muszą — powinny tylko nie w numizmatycznej dotychczasowej bierności.

— Teraz, profesorze, to nie bierność nawet, to brak. Gdzież my jesteście dzisiaj?... tam, u dobroduszej macoszki, która z trudem wypuszcza nas ze swej opieki, bardzo lichej pomimo wiary, z jaką szliśmy do niej umykając od siebie. Duża fala nas runęła — tam, prócz niedowiarków, domatorów, takich, jak ja i ta garstka co została. Ciekawie obserwuję ich powroty, oraz psychologię wracających. Zobaczymy, jaką teraz przyjmą postawę, respective do nowych horyzontów.

— Ot... już tak... na utworzenie towarzystwa własnej i wzajemnej adoracji, nie pozwoli status quo.

Hrabia wykonał pięścią krótkie pchnięcie w powietrze.

— Zrobiją — une retraite dans un fromage de Hollande!...

— Hm! jak pasożyty!! Wątpię! A jakże książę Krystyn czuje się po tej... milej podróży?... Widziałem go krótko, był przede wszystkim zmęczony, czy już wypoczął?...

Hrabia melancholijnie pokiwał głową.

— Ach, kochany!... wyjechała munja a wróciła ruina. To jest kompletnie teraz nieszczęśliwy człowiek; bez oparcia materjalnego to tem większe zero. Z początku, po powrocie, mówił tylko o swoich zniszczonych majątkach. Rzeczywiście zniesione są z powierzchni ziemi, byłem tam. No,... została ziemia, tout court. Cegła na cegle nie leży. Urządzili go! trzeba przyznać.

— W tamtych okolicach zniszczenia są w ogóle wielkie — rzekł profesor łagodząco.

— Tak, ale majątki Krysta wyjątkowo zdewastowane. Tam się poprostu mścili na nich; chłopci i dworska

służba. Co zaczęła pozycja, to lud dokończył, a czego pozycja nie tknęła, to lud zaczął i skończył. Słowem Kartagina!

-- Musiały tam być jakieś uboczne przyczyny w wewnętrznej konstrukcji.

Hrabia zniżył głos, choć byli zupełnie sami.

— Tam, profesorze. Horrendum! tam działy się potworne rzeczy. Niewypłacalność służbie była chorobą chroniczną i powszednią, zarywali wypłaty, nakładali kary pieniężne za byle co. Skąpstwo i wyzysk ludzi oburzający! Krystyn w nic nie wnikał, bo go to nie interesowało, byle czerpać pieniądze. Wytłaczał majątki jak gąbkę, do sucha, pracowników traktował jak zwierzęta...

— To też zbiera plon swego siewu — mruknął Hruda.

— Profesor myśli, że to on jeden?

— Och, wiem niestety, że jest jednym z wielu, zwłaszcza w tamtych stronach.

Hrabia machnął ręką, jakby zaznaczając, że nie tylko w tamtych. Pustelnik przez chwilę kręcił się trochę, chrząkał, mamrotał coś, wreszcie zapytał z wahaniem.

— Jakież, panie ty mój, Jarów zrobił wrażenie na księciu?...

Stary magnat ożywił się, na twarzy błysnął mu wesoły uśmiech.

— Nie wierzył własnym oczom, mówię ci... kochany. Aa!... dotąd nie może się nadziwić. Integralność Jarowa zdumiewa go, Bożenka... e imponuje, chociaż nieprzyznaje tego głośno. Ale jest tem wszystkim zaskoczony i jakby dotknięty. —

— Dotknięty?... ot... ot... nie rozumiem.

— Bardzo jasne! Krystyna drażni fakt, że tyle powstało inowacji, krytykuje, oburza się, wydziwia, ale przytem jest zły, że się to wszystko stało bez niego. Chociaż on by do niczego ręki nie przyłożył, nawet gdyby został. To już taka natura! Najzabawniejsze, że nie wierzy w udział chłopów i służby w ocaleniu Jarowa. Rozkłada raniiona giestem bezradnym i mówi tak: „Excusez! nie mogę sobie wyobrazić, aby cholota była zdolna do podobnych objawów wdzięczności, aby broniła od zniszczenia, mogąc samej niszczyć. Nawet pod egidą tego... apostoła, nie uplastyczniam sobie takiej kampanji“.

— To ja mam być apostołem? pewno w dodatku obszarpanym — zaśmiał się pustelnik swobodnie.

— Apostołem tak, ale skądże obszarpanym?

— Wiem, że mię książę tak nazywał. Mniejsza o to. Ale dla czego przypisuje te fakty mnie, zamiast żonie.

— No... bo... porzućmy skromność... ty kochany, byłeś sprężyną generalną.

— Ot... przesada hrabio! Gdyby księżna nie pozyskała serca tych ludzi, nie zjednała ich sobie, moje wpływy zostałyby przy... Semen i moich robakach.

— I w całej okolicy, dodaj profesorze.

— Hm... za dużo hrabia wie.

— Gadam z ludźmi i wiem, że cię na łąkach noszą, pomijając chłopów, którzy cię cenią jak bóstwo.

— Za czarownika mię mają.

Hrabia uderzył lekko profesora po ramieniu, serdecznie na niego patrząc.

— Jesteś tedy czarownikiem, dla Jarowa opatrnością. Już parę razy ci to mówiłem, kochany panie Medardzie. Spełnij jeszcze cud i przerób Krystyna.

— Drogi hrabio, on się i sam przerobi.

— ... Problematyczne!

— Tylko nie zaraz! Na niektóre rzeczy ma twardą skórę, pomimo welinowych pozorów. Ale bliska przyszłość przeniknie ten pancerz. Jeszcze doczekamy tego, hrabio.

Magnat zamyślił się. Poruszył siwemi brwiami i uniósł je wysoko.

— A może! Epokę niezwykłą się przeżywa, więc nawet i w takie nieprawdopodobieństwo trzeba wierzyć

— Kryst tymczasem jest zły za poważne straty w koniach i ekwipażach, narzeka, że niema czem jeździć, nakoniec gorzko wymawiał Enie skasowanie psiarni. Ogólnie jednak, reasumując jego stan psychologiczny, widzę, że najwięcej go przeraża obawa, uszczuplenia dochodów; to już jest wprawdzie znaczne, a może być zwiększone. Gniew Krysta za to skrupia się na znieprawionych przez niego warstwach; spodziewane ich prerogatywy i już istniejące, doprowadzają go do pasji.

— Biedny książę pan! — pokiwał żałośnie głową ubawiony pustelnik.

— A co myślisz, panie Medardzie, dla Krystyna większa tragedji nie może być.

— Wierzę... i współczuję.

— Żebyś słyszał, kochany, jak on się rozgorycza a priori, jakie wygłasza własne hasła...

— Pewno najskrajniejszego feudalizmu.

— Eee!... z epoki jurajskiej! Bożenkę to niesłychanie gnębi.

Hrabia nagle ożywił się.

— Bożenka zaczyna imponować, nawet mnie. Wierz mi profesorze. Cóż za siła w tej kobiecie!... Wiemy obaj, co żyje i stale trwa w jej duchowej istocie, co zapala jej serce. Ona, nie traktuje tego pospolicie, ona tem promieniuje i szerokie zakreśla widnokreśli dla swych promieni. Wiesz zapewne o projektach przyszłych mojej synowicy — profesorze?

— O... kolonizacjach, czy tak?...

— Właśnie. To już zamiar dojrzały. Wszystkie dalsze obszary Jarowa, Bożenka chce obsadzić kolonistami polskimi. Terytorja te oddać im na długie i bardzo dogodnie dla kolonistów wypłaty. Chodzi jej o to, by spolszczyć kresy, by zamiast cudzoziemców, których tu pakują, rodakom dać ziemię. Wszystkie zaś sumy płynące z tego źródła przeznaczają na uprzemysłowienie tychże kolonji. Preliminarja tej sprawy są już rozpoczęte, ale trzeba pewnego uspokojenia dzisiejszych zawichrzeń... wówczas wprowadzi się ją w czyn. To marzenie Bożenki.

Pustelnik z wybuchem szczerej radości splecione dłonie przycisnął do piersi.

— Hrabio!... to będzie czyn! par excellence patryjotyczny!... a... ot... ot... bardzo zaniedbany. Nikt o tem z was, potentatów, nie myślał i nie troszczył się, by te prowincje, wszakże nasze, polskie, naszemu ludowi oddawać.

— No... nie bardzo można było... wtedy... Sam wiesz!

— Był czas, panie ty mój! tylko nikt go nie wyskał, nikt go nie chwycił w lot i na tej abnegacji skorzystali napływowcy obcoplemienni. Stało się!... ale dziś, dziś, w zaraniu naszego rozwoju myśl księżny otworzy wrota, do działalności w tym kierunku. Ot... ot... panie hrabio, księżna rwała się zawsze do wielkiego czynu, gdy spełni to cel swój osiągnie.

Łzy rozrzewnienia załśniły w gorejących oczach pustelnika. Chwycił ręce hrabiego i zawołał z uniesieniem.

— Księżna to perła wśród was, to... to... Feniks. Wybacz hrabio... lecz tak jest.

— Wcale nie przeczę! Tylko tego Feniksa tyś ożywił, tyś mu skrzydła rozplątał i wskazał dal do lotu...

Profesor usiadł z rzewnym uśmiechem na ustach.

— Nie tylko ja... nie tylko ja... panie hrabio...

Nagle dumnie wznosił głowę do góry.

— Ale księżnę warto było pchnąć!... To jest duch! Nie słomiany ogień. Ona nie tylko frunęła, ona poleciała żywiołowym, zdrowym pędem i już nie utknie. Wierzę w to, bo ją znam!

Żywy błysk radości zamigotał w bladych źrenicach Salezego.

— I ja wierzę w Bożenę! Ho... ho, jakie ona ma projekta nie tylko na Jarów przeznaczone. Czynną chce być w całym społeczeństwie. No... a Jarów stanie się z czasem małą stolicą tutejszych prowincji. Bożenka chce także odbudować i uporządkować zniszczone majątki męża. Ma dużo projektów i na tamte rejony. Musi najpierw zjednać Krysta, przerobić go .. a to... prawie najtrudniejsze.

— Przyszłość uśmiecha się do nas nadzieją, panie ty mój.

— Zobaczymy! Ale patrz pan, ktoś jedzie.

Pustelnik powstał z ławki i przykrył dłonią oczy.

— Otóż jedzie księżna pani, zdaje się z Krysiem.

— A prawda, obiecywała po mnie przyjechać. Dobre dziecko.

Zatrzymał się przed chatą mały, koszykowy wolancik, zaprzężony w parę rączych kuców. Powoziło ośmioletnie książątko, z zawadjacką miną, wesole. Księżna Bożena zręcznie skoczyła na ziemię.

— Przyjechaliśmy po stryjka. Krzych ma do profesora pretensję.

— No, a toż jaką? Ot?... ot?... Będę się bronił, albo skapituluję.

— Bo, profesor dawno już u nas nie był — wołał chłopak — a ja nazbierałem cały pęk ziół i furę robaków. Ale nie przywiozłem, bo mama nie chciała trzymać. Papo krzywił się i powiedział, że mam gust wulgarny, i że będę pewno felczerem w szpitalu mamy.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

— Krzys! co ty wyplatasz? — zgromiła go matka.

— Ależ tak, mamusiu! a ja odpowiedziałem, że będę takim samym księciem jak i papo.

Hrabia i profesor mimo woli zerknęli na siebie i utkwili wzrok w ziemię.

Księżna wielkie swe, ciemne i smutne oczy, spuściła na syna.

— Miałeś być żołnierzem?

— Ha! prawda! Będę polskim generałem! Przecież można być i księciem w mundurze! Ojej! jeszcze jak! Czy to tylko książę może być taki jak papo?...



Księżna pochyliła się szybko i ucałowała syna.

— Masz rację. Ty będziesz inny! A tymczasem przeprowadź kuce, bo zgrzane.

— O czym żeście gawędzili? — zwróciła się do mężczyzn.

— Tak ot... ot, o kwestjach bieżących...

— Zaglądaliśmy przyszłości śmiało w oblicze, bez ceremonji — dorzucił hrabia.

— I jakież wnioski?...

— Że nie tyle jest enigmatyczna, ile ciekawa.

— A przede wszystkim szczęśliwie i dobrze urodzona — dodał Hruda.

— Tak, ale... nie z arystokracji — z zabawnym akcentem rzucił hrabia.

— Bez paranteli! — zakończyła księżna, z osobliwym grymasem ust i kiwnięciem ręki.

Zaśmieli się.

— Wybornie naśladujesz Krysta!

— Nie żartujmy panowie, bo to naprawdę narodziny wielkiej doby. Idzie ona ku nam jak bóstwo z zasłoniętym obliczem i niewiadomo, łaskawa, dobra i piękna dla wszystkich i... wyrozumiała czy też zmienna w nastrojach.

— Lękasz się jej... księżno?...

— Ja?... O nie! Zawdzięczając profesorowi jestem na jej przyjęcie przygotowana.

— Brawo Bożenko!

— Tak, stryjku, ja już w tej nowej dobie zorientować się potrafię — i żyć. Ja jej zresztą oczekuję, wierzę w jej moc, chciałabym tylko zbadać jej charakter i jego

siłę. Geneza jej poczęcia daje gwarancję, — prawda.. ale jej przyszła twórczość?...

— Będzie świeżą, młodą, nową! — kochana księżno. Długa podbiegunowa noc, ciężąca nad nami, minęła. Już dzień! A zaćmienia minutowe, bywają nawet... na słońcu. Mamy prawo żądać tego dnia, czekać nań, bo on nasz! I ta bogini nasza — przyszłość — jest już bez zasłony — księżno. Ona idzie pewna i wielka i jasna do nas, którzyśmy jej drogę utorowali do wyzwolenia. Bo te szlaki porane stopami naszych etapów, pędzonych na północ, to była droga na jej tron. I teraz idzie świetna, potężna i dostojna, w djademie, z pereł naszych ran i krwawych serc. Dużo składano pereł takich na jej djadem i dużo męczeńskich złotych ogniów, na jej królewski łańcuch. A czy wiesz, droga pani, jakie młoty rozkuły ostatecznie jej kajdany?

Księżna pomyślała chwilę.

— Legjony — szepnęła.

— Tak. — Gdy oni wyruszyli w pole bez przyłbicy  
Ona w tej samej chwili, była już rozkuta.

Księżna z różową łuną na policzkach oparła się ciężko na ramieniu hrabiego Salezego. Przysunęła usta do jego skroni i usłyszał cichy wiew jej słów.

— Stryjku... on był z nimi... on w ich szeregu wyruszył...

Podniosła głowę energicznie, światło miała w oczach, śmiech jakiś, zwyczajki na ustach. Zawołała z przepelnionej uczuciem piersi.

— Pójdziemy i my w nowe życie, bez przyłbicy! śmiało, z wiarą i żarem w sercu! Prawda stryjku?...

— Ty nas porwiesz za sobą.

— Ja porwę małego Krzycha. On za mną pójdzie! On będzie nowy, gorący, mężny! Ty z nami stryjku i kochany nasz pustelnik. On mię ocknął, pchnął i wskazał cele, teraz poprowadzi Krzycha, by w tej nadciągającej, jasnej przyszłości, ożył młody, tęgi duchem książę Krystyn. Nie tylko na Jarowie, lecz jako obywatel kraju.

Zapał jej udzielił się obecnym.

Rogale, 10. XII. 1918 r.

KONIEC.





## OMYŁKI DRUKU.

Z powodu fatalnej komunikacji pocztowej nie mogła  
Szanowna Autorka sama wykonać korekty.

---

<i>Str.</i>	<i>wiersz</i>	<i>jest:</i>	<i>ma być:</i>
7	3 od dołu	ale byle	no i
11	6 z góry	wyrażona	wyraźna
16	4 od dołu	szalonym pędem	tym jego cwałem
18	15 od dołu	rzadkiego jeszcze	niezbyt zwartego
19	8 z góry	pukanie	fukanie
22	2 od dołu	parów	Jarów
23	5 z góry	intencją	intuicją
27	4 od dołu	si dis	si vis
28	4 " "	elegancji	eleganciej
30	9 " "	kładyszeczkę	hładyszeczkę
31	6 z góry	miodu	među
31	9 od dołu	filutnie	nieufnie
35	2 z góry	Pikusem	Pireusem
35	10 od dołu	praksytelesów	Praksytelesów
39	15 z góry	Honda	Hruda
48	2 od dołu	nieodpowiedzialne	niedopowiedziane
57	3 z góry	potatuj	potataj
57	4 z góry	bohataj	bahataj
57	5 z góry	shlyp	sklyp
63	4 z góry	polies	folies
66	5 z góry	z cygar podszedł	z cygar. Podszedł
66	13 z góry	Dom	Dam

<i>Str.</i>	<i>wiersz</i>	<i>jest:</i>	<i>ma być:</i>
66	9 od dołu	»paczałstwem«	»Naczalstwem«
67	10 z góry	Ju. . dal...	Ym... da!...
72	14 od dołu	różową	różaną
73	15 „ „	dziwny	dziwak
75	9 z góry	rzadki	hadki
77	7 z góry	prystapjenje	prystupjenje
78	2 od dołu	rzadkie	hadkie
79	7 z góry	z nami, wiesz	z nami. Wiesz
79	15 od dołu	Tamerluna	Tamerlana
81	5 „ „	posunięty	odsunięty
81	4 „ „	sterowej	sferowej
89	10 z góry	Mussin-Puszkowem	Mussin-Puszczewem
92	11 od dołu	kalipami	halinami
98	8 „ „	dobry	drobny
99	3 „ „	los	las
99	9 „ „	wymuszone	wymarzone
100	9 „ „	Hop	Stop
104	13 „ „	przepraszał swoją	przepraszał za swoją
123	5 z góry	rozmowie	wrzawie
126	1 z góry	łany	łuny
126	8 z góry	głoszonych	spłoszonych
127	1 od dołu	nie	mi
134	8 z góry	masztelarzy	masztalerzy
140	13 z góry	turkotaniem	furkotaniem
141	1 od dołu	rodzoną	zrodzoną
142	13 z góry	»Urdjufut«	»Udrjajut«
142	7 od dołu	»rogatki«	»kogutki«





